

Dariusz Spychalski

Krzyżacki poker

Tom 2

2005

TMN

Rozdział 1

Pogranicze Kalifatu Mauretańskiego i województwa nowokrakowskiego
16 maja 1957 roku

– Zatrzymaj się durniu! Za chwilę wjedziesz wprost do okopów! – Generał Fiodor Stiepanow trącił w ramię kierowcę ośmiokołowego transportera. Chłopak, przestraszony okrzykiem, nacisnął gwałtownie pedał hamulca. Maszyną szarpnęło.

– Idiota! – burknął ze złością Stiepanow. Poziom wyszkolenia jego żołnierzy ciągle pozostawiał wiele do życzenia. – Zgaś silnik i poczekaj tu na mnie!

– Tak, panie generale! – Kierowca pochylił z szacunkiem głowę.

Stiepanow zeskoczył na rozgrzany piasek i rozejrzał się uważnie po okolicy. Pustynia tętniła życiem. Kilkuset żołnierzy czwartej dywizji gwardii budowało w pocie czoła system okopów, naszpikowany stanowiskami ciężkich karabinów maszynowych. Kilkanaście wkopanych w ziemię starych czołgów typu „Łoś” stanowiło główne punkty ewentualnego oporu. Dwa plutony saperów minowały pas ziemi, położony pomiędzy linią okopów a pobliską granicą.

Ten widok sprawił, że Stiepanow odetchnął z ulgą. Przemierzył dzisiaj już kilkadziesiąt staj, a to, co zobaczył, nie napawało go optymizmem. Pozycje obronne dwóch pułków, które miały przyjąć na siebie główny atak chrześcijan, były źle przygotowane, szwankowało zaopatrzenie, a dowódcy poszczególnych batalionów myśleli bardziej o zabezpieczeniu drogi odwrotu, niż o zatrzymaniu pochodu niewiernych. Przerażenie budziła myśl, że są to najlepsi żołnierze Kalifatu. Generał starał się nie myśleć o tym, co zastanie na wschodzie, tam, gdzie stacjonowały trzy dywizje piechoty słabiej wyposażone i dowodzone przez oficerów, pochodzących ze spokrewnionego z Berberami plemienia Burtus. Miał poważne wątpliwości co do tego, jak zachowają się niesprawdzeni ludzie, jeśli tamtędy właśnie wycofywać się będą oddziały Sulejmana. W najlepszym wypadku wpuszczą buntowników na ziemię Kalifatu, w najgorszym... Inszallah.

Generał westchnął ciężko i ruszył w stronę niepozornego namiotu, usytuowanego tuż za linią okopów. Odsunął płócienną kotarę i wszedł do środka. Młody pułkownik w brązowym mundurze gwardii spoznał na przybysza ze zdziwieniem.

– Ty tutaj? – przywitał gościa zaskoczony. – Gdybym tylko wiedział o twoim przybyciu...

– Przyjechałem na chwilę. – dowódca armii mauretańskiej uściśnął dłoń pułkownika i ucałował go w oba policzki. – Witaj, przyjacielu.

Pułkownik Salim Bejhaid, daleki krewny Kalifa, spoznał z niepokojem na Stiepanowa.

– Co cię sprowadza tak nagle? Czy w stolicy wydarzyło się coś... nieprzewidzianego?

– W mieście panuje spokój – zapewnił go tamten. – Przybyłem sprawdzić, jak sobie radzisz.

– Stosuję się do twoich zaleceń...

– Wiem. – Generał skinął z zadowoleniem głową. – Oglądałem umocnienia, które przygotowują twoi żołnierze. Spisałeś się naprawdę doskonale. Twój pułk jest jedynym, który przypomina prawdziwie wojsko. Niestety, nie można tego powiedzieć o innych jednostkach.

– Potrzeba jeszcze lat, by uczynić z armii Kalifatu siłę zdolną do walki z chrześcijanami.

– Salim westchnął ciężko.

– Niestety, masz rację. – Stiepanow usiadł na macie i zapalił papierosa. – Czas jest właśnie tym, czego najbardziej nam brakuje – dodał po chwili. – Obawiam się, niestety, że niewierni też o tym wiedzą. Jak wygląda sytuacja u ciebie?

– Na razie cisza i spokój – odparł pułkownik. – Zwiad lotniczy doniósł, że Korpus jest jeszcze kilkadziesiąt staj od granicy.

– Zbierają siły – stwierdził ze złością generał. – Wiśniowiecki wyprowadził pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a reszta tej chrześcijańskiej hołoty też nie próżnuje.

– Słyszałem, że Czesi i Bawarowie są niechętni wojnie – zauważył ostrożnie Salim. – Podobno nie ma wśród nich zgody...

– Najgroźniejszy jest Korpus. Jeśli ten pies Wiśniowiecki ruszy na północ, pójdą za nim.

– Stiepanow zaciągnął się głęboko dymem. – Ta niewierna świnia wie doskonale, że to on dyktuje warunki.

– Jeśli ten pies wejdzie na naszą świętą ziemię, jego kości pochłonie pustynia! – wycodził Salim. – Będziemy bić się o każdy dom, o każdą ulicę! Ogłosimy świętą wojnę! Cała Afryka ruszy do walki!

– Salim, przyjacielu... – Stiepanow położył rękę na ramieniu młodego człowieka. – Tylko na ciebie mogę liczyć. Musisz zatrzymać armię niewiernych najdłużej jak się da. Nasi przyjaciele z Egiptu gromadzą już wojska. Minie jednak wiele dni, zanim pomoc nadejdzie. Do tego czasu musimy radzić sobie sami. Jeśli będą napierać, wycofuj się, ale nie dopuść do rozproszenia sił.

– Moi żołnierze będą walczyć jak lwy! – krzyknął pułkownik. – Pan nas poprowadzi!

– Dobrze, Salim. – Stiepanow uśmiechnął się. – Czas jest rzeczą najważniejszą. Pamiętaj o tym.

Zza ściany namiotu dobiegły nagle odgłosy wrzawy.

– Co się dzieje? – spytał niespokojnie generał.

– Sam zobacz. – Młodzieniec uśmiechnął się tajemniczo i odsunął kotarę.

Oficerowie wyszli przed namiot. Ich oczom ukazał się niezwykle widok. Setki ludzi uzbrojonych w stare flinty i miecze, pamiętające drugą wojnę afrykańską*, maszerowało rażno w stronę pozycji pułku.

– Kto to jest?!

– Wieśniacy z okolicznych oaz. – W głosie Salima dzwięczało wzruszenie. – Lud chce się bić w obronie swojej ziemi.

– Lud? – Stiepanow spoglądał z niesmakiem na tłum chłopów, którzy przekroczyli linię okopów i zatrzymali się przed oficerami. – To przecież wieśniacy...

– Odpowiednio rzucony granat może zniszczyć czołg – powiedział twardo pułkownik. – Ci ludzie gotowi są na śmierć. Nawet jeśli niewierni wyprą nas na północ, oni będą nękać ich bez chwili wytchnienia. To nasza druga armia przyjaciela. Być może dzięki nim pokonamy niewiernych.

Salim wystąpił krok naprzód, omiół spojrzeniem chłopski szereg i zakrzyknął z całym siłą:

– Dżihad! Śmierć niewiernym!

– Dżihad! – odpowiedział mu zgodny okrzyk. – Śmierć najeźdźcom!

* Druga wojna afrykańska 1897-1899. Przyczyną wybuchu drugiej wojny afrykańskiej był zatarg o tereny leżące wokół Wzgórz Króla Jana. W jej wyniku do województwa nowokrakowskiego i Waclavii przyłączony został obszar o łącznej powierzchni 20 tysięcy staj kwadratowych.

Rozdział 2

Nowe Jasło

16 maja 1957 roku

Kapitan Kulesza przechadzał się nerwowo wzdłuż drogi, spoglądając co chwila w stronę płonącej cerkwi. Ostatni atak Arabów omal nie zakończył się przełamaniem pozycji Korpusu. Całe Przedmieście Kowali stało w ogniu. Pomiędzy ruinami arabskiego osiedla wciąż jeszcze trwały walki z niedobitkami muzułmańskiej piechoty. Kapitan minął pozycje swojego batalionu i przeszedł na drugą stronę drogi. Skupieni wokół sierżanta Jaszcz żołnierze spoglądali w napięciu na pokryte kurzawą przedpole.

– Jak wygląda sytuacja, sierżancie? – Kulesza opadł ciężko na worki z piaskiem. – Jakie straty?

– Mamy czterech zabitych i pięciu rannych – odparł ponuro sierżant. – Jeszcze kilka takich szturmów...

– Wystarczy! – Kapitan uniósł ostrzegawczo dłoń. – Co z amunicją?

– Kończy się. – Tym razem Jaszcz powstrzymał się od jakichkolwiek uwag, zresztą wyraz jego twarzy wystarczał za najbardziej dosadną z nich.

Kulesza nie odpowiedział, westchnął cicho i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

– Wie pan coś, panie kapitanie, o posiłkach? – Jaszcz wyciągnął w stronę dowódcy własną, mocno wymiętą paczkę. – Mija już piąty dzień, jak Sulejman stoi pod miastem, a Korpusu ciągle nie widać.

– Posiłki są już w drodze. – Kulesza podziękował skinieniem głowy i sięgnął po papierosa. – Musimy wytrwać jeszcze jeden dzień.

– Wczoraj słyszałem to samo – mruknął pod nosem jeden z żołnierzy.

– Posiłki są w drodze – powtórzył z naciskiem kapitan. – Musicie zrozumieć, że przemarsz przez pustynię wiąże się z wieloma problemami.

– Połowa z nas już nie żyje. – Kapral Woldemaras otarł czoło przedramieniem. W zmęczonej i zakurzonej twarzy jego oczy błyszczały złością. – Ile jeszcze wytrzymamy?

Amunicja jest na ukończeniu. Te arabskie psy atakują bez chwili przerwy! Major obiecał podesłać nam trochę pospolitego ruszenia.

Jakby w odpowiedzi na słowa kaprała, zza spalonego budynku szkoły wynurzyło się kilkudziesięciu piechurów.

Ich piaskowe mundury zlewały się z otoczeniem.

– Madziary idą! – krzyknął Żaba.

– Madziarzy tutaj? – zdziwił się Kulesza. – Bronili przecież starego browaru.

– Przybywamy wam z odsieczą – przywitał Rzeplitów Szabo. – Fiodor twierdzi, że Arabowie tędy właśnie będą próbowali nas przełamać.

Kulesza bez słowa komentarza wskazał na pokryte ciałami przedpole.

– A co po drugiej stronie miasta? Jak sprawuje się pospolite ruszenie?

– Walczą jak lwy – powiedział z uznaniem Szabo. – Jestem naprawdę po wrażeniu. Od chwili, gdy ten bandyta Sulejman stanął pod miastem, odparliśmy razem pięć szturmów.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że jesteście z nami. Trzeba wzmocnić obronę...

– Kapitan urwał nagle, zaczął nasłuchiwać.

– Idą dranie. – Żaba poruszył się niespokojnie.

– Przygotować się! – krzyknął Kulesza. – Strzelać dopiero na moją komendę!

– Na stanowiska! – rozkazał Szabo swoim ludziom. Szarpnął kapitana za ramię – Macie granaty?

– Starczy i dla was – odparł Rzeplita.

– Głowa do góry! Będzie dobrze! – Szabo poklepał go po plecach.

Tymczasem na przedpolu zaczął się ruch. Dziesięć wielkich wozów, jakich zwykle używano do transportu daktyli, wynurzyło się spomiędzy wzgórz jakieś dwieście łokci przed linią okopów. Dyszle ciągnęli rozebrani do pasa ludzie. W prześwitach pomiędzy wozami widać było nieprzebrane chmary piechoty arabskiej.

– Co to jest u diabła! – Kulesza osłonił oczy ręką.

– Kapitanie! Coś mi się wydaje, że tam są nasi! – krzyknął Żaba.

Ludzie ciągnący wozy ubrani byli w poszarpane mundury. Coś nagle przykuło uwagę Kuleszy. Trzeci wóz od prawej ciągnął wielki mężczyzna w podartej koszuli. Jego twarz wydała się kapitanowi znajoma.

– Mój Boże! Przecież to stary Kujawa!

– Kapitanie, czy to ludzie porucznika Pieroga? – rozległ się wściekły głos Woldemarasa.

– Tak... – odparł głucho Kulesza. – Te psy używają ich jako żywych tarcz.

W okopach zaległo ponure milczenie.

– Na pozycje! Przygotować się! Strzelać na moją komendę! – wrzasnął Kulesza.

– Mamy strzelać do swoich?! – zaprotestował nagle pobladły Żaba.

– Bez dyskusji! – Kapitan przypadł w okopie, starając się unikać spojrzeń podkomendnych.

– Panie Boże, wybacz mi – szepnął cicho.

Kolumna zbliżała się powoli. Już słyhać było pokrzykiwania arabskiej piechoty, lecz okopy Korpusu milczały. Kilku wojowników, ośmielonych ciszą, wybiegło przed pierwszą linię i oddało kilka strzałów w stronę niewidocznego przeciwnika. Wozy, kolebiąc się na nierównościach, podążały wprost na szaniec.

– Ognia!!! – Kapitan Kulesza przeładował karabin i, klnąc głośno, wycelował broń w stronę nadbiegających Arabów. Strzelił, przeładował i znowu wystrzelił. Dwóch Berberów upadło na piasek. Żołnierz, obsługujący karabin maszynowy podniósł się nagle i osunął na dno okopu.

– Bydlaki! – Murzyn dopadł karabinu, nakierował dymiącą lufę i nacisnął spust. Broń podskoczyła nagle i, zanosząc się przeraźliwym jazgotem, wypluła długą serię. Kapitan strzelał na oślep tam, gdzie przed chwilą dostrzegł skupiska piechoty arabskiej. Kiedy skończyły się naboje i broń umilkła, cały czas trzymał palec na spuście.

Dopiero teraz dotarło do niego, że odgłosy bitwy ucichły. Na północnym skrzydle słyhać było jeszcze pojedyncze wystrzały, ale to wszystko. Atak arabski załamał się w jednej chwili. Dziesiątki wojowników uciekało, ile sił w nogach, w stronę bezpiecznych wzgórz. Kapitan opadł na worki z piaskiem i drżącą ręką sięgnął do kieszeni po papierosy. Znalazł je natychmiast. Z trudem wydłubał jednego i wcisnął między wyschnięte wargi.

– Żyjemy, kapitanie! – W okopie pojawił się przypominający zjawę Woldemaras. Podał Kuleszy ogień i sam zapalił.

– Zaatakowali jak wściekłe psy, ale nie równać się im Korpusem. Stracili połowę ludzi.

– Ci już przynajmniej nie podniosą ręki na Rzeczpospolitą. – Kulesza wstał ociężale i wyrzwał z okopu. Dym rozchodził się powoli, odsłaniając widok na pole bitwy.

Cała równina zasłana była ciałami. Jęki konających mieszały się z pokrzykiwaniami żołnierzy, którzy opuścili okopy, by wśród poległych odnaleźć towarzyszy z pogranicznych fortów.

– Trzeba sprawdzić, czy któryś z naszych przeżył – mruknął Woldemaras. Spojrzeli na siebie i natychmiast obaj odwrócili głowy. To zwycięstwo miało wyjątkowo gorzki smak.

Kapitan spoglądał niespokojnie w stronę wzgórz, za którymi ukryli się Arabowie.

– Weź swoich ludzi i ubezpieczaj resztę – powiedział szybko. – Jeśli zauważysz coś podejrzanego, natychmiast wracajcie.

– Tak jest! – Kapral ruszył wzdłuż okopu, pokrzykując na żołnierzy ze swojej drużyny.

Wrócili kilka chwil później. Żaden z nich nie powiedział nawet słowa. Brudne twarze wykrzywiały żal i gorycz, a w spojrzeniach tliła się nienawiść. Nie trzeba było nic mówić. Złożyli na ziemi kilkanaście ciał. Kulesza pochylił się nad starym Kujawą. Szlachcic dostał w pierś. Błada twarz zastygła w wyrazie jakiegoś niesamowitego wręcz spokoju, jakby stary zadowolony był z tego, jak przyszło mu pożegnać się z życiem. Jakby na to właśnie czekał.

Tuż obok ojca leżał jego syn Antoni. Kapitan zamknął oczy młodego szlachcica, nie zwracając uwagi na zastygającą na powiekach krew, i przeżegnał się.

– Zanieście ich do podziemi kościoła – powiedział głucho.

Nie zauważył nawet, jak tuż obok niego zatrzymał się łazik dowódcy pułku.

– Co tu się dzieje? – Major Stopkiewicz przystanął na widok ciał.

– To ludzie Pieroga i szlachta z Kimlicza. Ten bandyta użył ich jako tarcz. – Twarz Kuleszy przypominała kamienną maskę. – Ich wszystkich trzeba...

– Kapitanie! – Stopkiewicz ruchem głowy wskazał na ruiny jednego z domów Przedmieścia Kowali. – Proszę za mną! Szabo, ty również.

Poszli za nim w milczeniu. Nawet Madziar stracił gdzieś swą zwykłą swadę, zatknął kciuki za pasek i podązał za majorem, zwiesiwszy ponuro głowę i nerwowo przygryzając wąsa.

– Jak stoicie z amunicją? – Stopkiewicz od razu przeszedł do rzeczy.

– Zużyliśmy już większość zapasów. – Kulesza przysiadł na przysypanym gruzem stolku, nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony. – Jeśli utrzymają częstotliwość ataków, jutro po południu przełamią naszą obronę.

– Psubraty ruszyli na nas dwukrotnie w ciągu jednej zaledwie godziny! – odezwał się Szabo.

– Wbrew pozorom to dobry znak – powiedział spokojnie Stopkiewicz. – Sulejman wie, że Korpus nadciąga. Ten drań rozpaczliwie próbuje zdobyć miasto.

– Gdzie jest Wiśniowiecki? – Murzyn spojrzał na dowódcę ponuro. – Jak długo mamy na niego jeszcze czekać?

– Według ostatniego meldunku wszystkie pułki wyszły wczoraj w nocy z Nowego Kowna...

– Nowe Kowno?! – Szabo złapał się za głowę. – Przecież to jakieś pięćdziesiąt staj stąd! Mogą być tu choćby za kilka godzin!

– To, niestety, nie takie pewne. – Słowa majora ostudziły zapal Madziara. – Wiśniowiecki idzie do nas z całym inwentarzem. Armaty, czołgi, samochody pancerne. Żeby przemieścić tak wielkie siły, potrzeba czasu.

– Na cholerę mu to żelastwo? – zdziwił się Szabo. – Żeby przepędzić Sulejmana, wystarczy kawaleria!

– Nie wiem, co zamierza, ale nie podoba mi się to zbyt. – Stopkiewicz zamilkł z zasępioną miną. – Musicie utrzymać wasze pozycje jeszcze jeden dzień. Tylko tyle.

– Jeden dzień... – powtórzył Kulesza z goryczą. – Jeden dzień, zawsze jeszcze jeden dzień... Moi ludzie przestają już wierzyć w zapewnienia o nadciągającej pomocy.

– Jeden dzień. Tylko jeden. – Stopkiewicz już nie rozkazywał. Prosił. – Musicie powstrzymać ich za wszelką cenę. W obozie Sulejmana nie dzieje się najlepiej. Z zeznań jeńców wynika, że pozostało przy nim najwyżej dwa, dwa i pół tysiąca wojowników. Jego

siły topnieją z godziny na godzinę. Dzięki temu, że się trzymamy, bunt we wszystkich północnych powiatach zgasł w zarodku.

– Potrzebujemy więcej amunicji – mruknął Kulesza. – Daj mi kilka moździerzy, a załatwię drani.

– Dostaniesz wszystko, co chcesz. – Stopkiewicz skwapliwie skinął głową. – Oddam ci wszystkie rezerwy, ale musisz się utrzymać.

– Utrzymam się – powiedział twardo kapitan. – Prędzej padnę, niż pozwolę, by ci dranie zdobyli Nowe Jasło.

– To właśnie chciałem usłyszeć. – Major położył dłoń na ramieniu Kuleszy. Nie starał się ukryć ani ulgi, ani, tym bardziej, wdzięczności. – Jeszcze jeden dzień. Potem pogonimy drania do samej granicy.

Rozdział 3

Pustynia Jasielska

17 maja 1957 roku

Zdezelowany żubr z godłem piątego pułku „Zaporoże” na burtach – biało-czarną szachownicą – minął ostatnie namioty obozowiska wojsk Sulejmana i wyjechał na otwartą przestrzeń pustyni. Siedzący za kierownicą porucznik Linde wdusił pedał gazu do oporu. Któryś z komturialnych uderzył ostrzegawczo w dach szoferki.

– Spokojnie. – Major Gruber położył dłoń na ramieniu porucznika. – Ta kupa złomu zaraz się rozpadnie. Nikt nas przecież nie goni.

Oficer zerknął w lusterko.

– Myśli pan, że nie wyślą pościgu? – spytał nerwowo.

– Nie ma obaw. – Gruber uśmiechnął się lekceważąco. – Większość tej hałastry zastanawia się, jak dać nogę z obozu. Nie w głowach im pościg.

Linde zwolnił nieco. Major rozłożył na kolanach mapę województwa i począł studiować ją z uwagą.

– Jak stoimy z ropą? – spytał po chwili.

– Mamy niecałe pół baku. Przejedziemy na tym jakieś sto pięćdziesiąt staj. Może trochę więcej.

– Sto pięćdziesiąt staj. – Gruber pokiwał głową. – Myślę, że to wystarczy.

– Który wariant wybieramy? Jedziemy na mauretańską stronę czy do Waclavii?

– Wszystko zależy od tego, gdzie jest Korpus. – Major mimowolnie obrócił wzrok na południe. – Legion Praski stoi pewnie na granicy, więc najlepszym rozwiązaniem będzie trasa północna.

– Tam są Maurowie – mruknął Linde. – Jeśli natkniemy się...

– Damy sobie radę – przerwał mu Gruber. – Najważniejsze, że w porę opuściliśmy naszych drogich sojuszników.

– Myśli pan, że wszystko pójdzie jak należy?

– Jestem o tym przekonany. – Niezachwiana pewność nie tylko w brzmiała głosie Grubera, ale i malowała się na jego twarzy. – Ten dureń Sulejman dokonał wspaniałej rzeczy. Zabił tak wielu Rzeplitów, że wojna jest nieunikniona. Za chwilę ucieknie z podkulonym ogonem, a Korpus ruszy za nim w pościg. Minie tydzień i Maurowie zostaną pokonani. A wtedy...

– Cała Afryka stanie w ogniu – dokończył Linde. – Naprawdę tego dokonaliśmy!

Gruber skierował wzrok na widoczne w oddali zabudowania Nowego Jasła.

– Prowadź ostrożnie – powiedział z uśmiechem. – Ten grat ledwie dyszy.

* * *

– Psy! Przeklęte psy! – Sulejman cisnął kamieniem w Bahtara. – Mówiłeś, że nie odważą się strzelać do swoich! Wiesz, ilu wiernych poległo?!

– Panie! Zechciej mnie wysłuchać! – Abdel Rahman, stojący przed wejściem do namiotu szejka, uchylił się przed kolejnym kamieniem. – To...

– Milcz! Posłuchałem twojej rady i moja piechota została zdziesiątkowana! Ale poprowadzisz ją jeszcze raz! Uderzymy na pozycje niewiernych jak burza! Ich wątłe okopy nie powstrzymają naszych wojowników!

– Kolejny atak nie przyniesie już rozstrzygnięcia. – Ton głosu Bahtara zmienił się nagle. To już nie sługa przemawiał do pana, ale równy do równego. – Ostatnia szansa zdobycia miasta przepadła. Nasi bracia donieśli, że wielkie siły niewiernych podążają na wschód. Wiesz, co to oznacza? Chcą nam odciąć drogę odwrotu. Jeśli nie wycofamy się jeszcze dziś, Korpus weźmie nas w kleszcze.

Sulejman spojrział na Bahtara ze zdumieniem.

– Więc nawet ty stanąłeś przeciwko mnie?

– Stałem zawsze po twojej stronie, dlatego nie pozwolę, by niewierni wybili do nogi najlepszych wojowników – odparł twardo tamten.

– To przez ciebie miasto jeszcze nie padło. Przecież to ty dowodziłeś wszystkimi atakami. Może jesteś zdrajcą? To ty namówiłeś mnie...

Bahtar sięgnął nagle po pistolet. Przeładował go i wycelował w pierś Sulejmana.

– Nie wymawiaj słów, których mógłbyś potem żałować. – Twarz Abdela przybrała kolor purpury. – Widzisz to przeklęte miasto?! Widzisz je?! – Wskazał na płonącą w oddali cerkiew. – To nie ja, lecz ty chciałeś zdobyć je za wszelką cenę! Zapomniałeś już, ile razy próbowałem przekonać cię, że przyniesie nam to klęskę? Mieliśmy szansę, wielką szansę na wyzwolenie naszej świętej ziemi, lecz przez twój bezrozumny upór wszystko przepadło!

– Nie strzelisz do mnie przecież! – Sulejman z trudem przełknął ślinę, nie odrywając spojrzenia od wylotu lufy.

– Powinienem zrobić to już dawno – odpowiedział ponuro Bahtar. – Wierzyłem głęboko, że Allah wybrał cię, byś poprowadził nas do zwycięstwa, lecz teraz dopiero widzę, jak bardzo się myliłem.

– Chyba jednak przeliczyłeś się, zdrajco! – Szejk odetchnął z ulgą na widok sporej grupy wojowników, która podążała w ich stronę. – Brać go! To zdrajca! Chciał mnie zabić!

Nikt nie posłuchał tego wezwania.

– Dlaczego stoicie?! – W głosie Sulejmana na nowo pojawił się strach.

– Nie jesteś już naszym wodzem – powiedział zimno Abdel. – Chciałem rozwiązać to inaczej, ale pokazałeś, jak słabym jesteś człowiekiem. Brać go!

– Co wy robicie! Na Allacha, nie! – Sulejman przepchnął się przez wojowników i rzucił do ucieczki. Przebiegł zaledwie kilka kroków, gdy huknął strzał.

Abdel Rahman opuścił pistolet i podszedł wolno do znieruchomiłego ciała. Pochylił się nad szejkiem i obrócił go na plecy. Patrzył przez chwilę na twarz zastygłą w grymasie strachu, po czym wyprostował się i odwrócił bez słowa. Zapadło ponure milczenie.

– Co radzisz robić? – spytał po chwili Sobi.

Abdel machnął ręką w kierunku pobliskich wzgórz.

– Musimy iść na północ. Tylko tam znajdziemy schronienie.

– Chcesz iść w stronę granicy? – Ton głosu Sobiego wskazywał, że ten pomysł nie przypadł mu do gustu. – Kalif nas zdradził. Jedyna droga odwrotu wiedzie na wschód. Musimy iść do Egiptu. Tylko Egipcjanie są w stanie zatrzymać chrześcijan...

– Granica egipska jest za daleko! – krzyknął któryś z Bahtarów. – Pustynia pochłonie nasze kości!

– Nie pójdziemy na wschód – oznajmił twardo Abdel. – Pójdziemy na północ.

– Chcesz ryzykować starcie z armią Kalifa? – spytał ze złością Sobi. – Jego oficerowie każą do nas strzelać!

– Być może nie każą – odparł bezbarwnym głosem Abdel. – Przygotujcie ludzi do drogi. Ruszamy za dwie godziny.

Rozdział 4

Nowe Jasło

17 maja 1957 roku

Generał Wiśniowiecki stał w otwartym oknie ratusza nowojasielskiego i przyglądał się zebranym na rynku mieszkańcom miasta. Mimo wczesnej pory plac wypełniał tłum. Godzinę temu do Nowego Jasła wkroczyły pierwsze oddziały Korpusu, witane przez tutejszych z nieopisanym entuzjazmem. Radosne okrzyki i chóralne śpiewy, dochodzące z gospody „U Janika”, świadczyły, że część pospolitego ruszenia zaczęła już świętować zwycięstwo nad wojskami Sulejmana. Kilkudziesięciu ludzi usuwało resztki barykady, tarasującej przejazd przez ulicę Palmową, inni przynosili worki z piaskiem, którymi zabezpieczono okna i piwnice kamienic otaczających rynek. Z piwiarni „U Mykoły”, na wprost ratusza, wynoszono rannych, na których czekały już, przybyłe wraz z Korpusem, sanitarki. W uwolnionym od oblężenia mieście życie wracało powoli do normy.

Wiśniowiecki odwrócił się od okna i spośród grupy oficerów wyłowił wzrokiem majora Stopkiewicza.

– Pańscy ludzie zasłużyli na najwyższe uznanie – powiedział uroczyście. – Przed przybyciem do ratusza objechałem całe miasto i przyjrzałem się wszystkiemu dokładnie. Jestem pod wrażeniem... pułkowniku. – Generał uśmiechnął się nieznacznie na widok zdumionej miny oficera. – Zasłużył pan na awans.

– Spełniliśmy tylko swój obowiązek – odparł zmieszany Stopkiewicz. – Poza tym to nie tylko nasza zasługa. Pospolite ruszenie i nasi sojusznicy bili się jak lwy. Bez nich nie dalibyśmy rady.

– Wiem o tym. – Wiśniowiecki z uśmiechem aprobaty odwrócił się ku stojącym na baczność Madziarowi i Czechowi. Szabo odzyskał już swój zwykły animusz i teraz wyprężył się jak struna, dumnie unosząc podbródek. Żelazny, poszarzały na twarzy i z obandażowaną głową, wyglądał jednak dużo gorzej. – Jeszcze dziś wyślę specjalne podziękowania do Nowej Pragi i Nowego Szegedu, a jutro, najdalej pojutrze, spotkam się osobiście z waszymi dowódcami i poproszę ich o zgodę na przyznanie wam orderów Orła Białego.

Obaj kapitanowie spojrzeli na siebie oszołomieni. To odznaczenie było najwyższym, jakie otrzymać mógł żołnierz Rzeczypospolitej i nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by przyznano je cudzoziemcowi.

– Zasłużyliście na to wyróżnienie. – Generał zdawał się czytać ich myśli. – Wasza postawa wykazała, że my, chrześcijanie, niezależnie od dzielących nas różnic, zawsze powinniśmy trzymać się razem. Już dziś zapraszam was do Nowego Krakowa.

– To wielki zaszczyt, generale – powiedział niepewnym głosem Żelazny.

– Jesteśmy zaszczyceni. – zasalutował Szabo.

Wiśniowiecki oddał salut, po czym zwrócił się do burmistrza i popa.

– Wam również chciałem złożyć serdeczne podziękowania. To dzięki wam duch w obrońcach nie upadł.

– My tu wszyscy kresowiacy, generale – odparł dumny z pochwały burmistrz. – Nie pierwszozna nam bić się z przekłętą arabską dziczą. Odparliśmy ich i dobrze, tyle że pół miasta zburzone... – Semen Antonycz zawiesił znacząco głos, nie byłby sobą, gdyby przepuścił taką okazję.

– Widziałem, jak wielkie straty ponieśliście. – Ton generała stał się nagle poważny, a uśmiech zniknął z jego twarzy. – Zapewniam was, że Nowe Jasło otrzyma stosowne środki, które przywrócą mu dawną świetność. Również osady spalone przez Berberów nie pozostaną bez pomocy. Każdy osadnik otrzyma nisko oprocentowany kredyt, który pozwoli mu na odbudowę domu. Osobiście zaś ofiaruję dwadzieścia tysięcy moresów na odbudowę waszej cerkwi.

Przez tłum przeszedł szmer niedowierzania. Wiśniowiecki znany był wprawdzie ze swojej hojności, lecz kwota, którą zadeklarował, pozwoliłaby na wybudowanie nawet dwóch cerkwi.

– Dwadzieścia tysięcy? – Pop Aleksy niemalże zachłysnął się z wrażenia. – Mój Boże! Tyle pieniędzy! Może starczy nawet na złoconą kopułę!

– Będzie i złocona kopuła. – Generał skinął głową. – Należy się to wam.

– Jakie to szczęście, że Bóg obdarzył nas tak znamienitym wodzem! – krzyknął w uniesieniu burmistrz. – Wiwat! Niech żyje! Niech żyje!

– Wiwat! – zawtórowali oficerowie. – Niech żyje!

– Nie zapomnę również o naszych braciach w wierze. – Generał zerknął na księdza Kaplicę. – Kościół w Kimliczu zostanie również odbudowany, a osadzie przywrócimy dawne znaczenie.

– Bóg zapłać. – W głosie kapłana słychać było wzruszenie. – Słowa, które usłyszałem, wypowiedział wielki człowiek.

– Wiwat! Wiwat!

– Dziękuję wam najmilsi, naprawdę dziękuję. – Wiśniowiecki odczekał, aż tumult ucichnie.

Gdy w sali zapadła cisza, uniósł głowę i powiódł po zebranych uważnym spojrzeniem. Jego twarz zmieniła się nagle. Zmarszczył brwi, na czole pojawiła się głęboka bruzda. Przeszedł spod okna na środek sali, założył ręce na plecach, podniósł głowę i przemówił wolno, jak gdyby chciał, aby każde jego słowo zapadło w pamięć zebranych:

– Nowe Jasło doświadczyło w ciągu ostatniego tygodnia wielkiego nieszczęścia, jakim był najazd barbarzyńców z północy. Wiecie już zapewne, że podjąłem właściwe kroki, by raz na zawsze pozbyć się grożącego nam niebezpieczeństwa. Mam nadzieję, że wy, którzy zamieszkujecie pogranicze, rozumiecie doskonale moją decyzję?

– Zaatakujemy Kalifat? – spytał szybko Semen.

– Wiem, że dla wielu wojna z Mauretanią jawi się jako największe nieszczęście, lecz wierzcie mi, innego wyjścia nie ma. Niebawem Korpus Afrykański przekroczy granicę Kalifatu Mauretańskiego i pomaszeruje na północ. – Urwał na chwilę, jakby chciał dać szansę zebranych na wygłoszenia swoich opinii, nikt jednak się nie odezwał. – Nadszedł czas, byśmy zrealizowali wreszcie wielkie marzenie naszych przodków. Dokończymy to, co oni dokończyli. Po dwustu pięćdziesięciu latach stajemy znowu do walki o rozszerzenie chrześcijańskiego panowania w Afryce. Czy wy, potomkowie pierwszych osadników, staniecie do walki z naszymi odwiecznymi wrogami?

Na sali nadal panowała cisza. Po mieście krążyły plotki o zbliżającej się wielkiej wojnie z muzułmanami, lecz niewielu dawało im wiarę. Trwające ponad osiemdziesiąt lat zawieszenie broni wydawało się być stanem naturalnym i przez to niezmiennym.

– To historyczna chwila – powiedział burmistrz łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Zapewniam pana, generale, że na nas może pan liczyć.

– Dziś jeszcze przemówię do wiernych. – W oczach popa Aleksego pojawił się błysk. – Cerkiew prawosławna stanie murem za największym wodzem, jakiego zrodziła nasza afrykańska ziemia.

– Kościół katolicki uczyni to samo – dołączył się do zapewnień ksiądz Kaplica.

– Wspólnie pokonamy naszych wrogów. Wszystkich wrogów... – Wiśniowiecki zawiesił znacząco głos.

– Nikt nie stanie nam na drodze! – Antonycz dał się porwać nastrojowi. – Poprowadź nas do zwycięstwa!

– Takie właśnie słowa spodziewałem się usłyszeć. – Generał skinął z zadowoleniem głową.

– Kiedy nastąpi atak? – spytał Stopkiewicz.

Wiśniowiecki rzucił w stronę nowo mianowanego pułkownika szybkie spojrzenie.

– Uderzymy dziś o północy. Zdaję sobie sprawę, że pańscy ludzie wiele przeszli, lecz w tak ważnej chwili potrzebny jest każdy żołnierz. Dlatego wyznaczam panu nowe, niezwykle odpowiedzialne zadanie. – Generał zamilkł na chwilę. – Dziś po południu wyruszy pan pod

granicę egipską. Pańscy ludzie wzmocnią posterunki, które chronią nas od nagłej napaści ze wschodu.

– Czy to oznacza, że Egipcjanie wyruszyli Maurom na pomoc? – upewnił się Stopkiewicz.

– Wojska Egipcjan maszerują przez pustynię – potwierdził generał. – Lecz nie mierzyć się im z Korpusem – dodał dobitnie. – Dotrą tu nie prędzej niż za dwa tygodnie, my zaś w tym czasie osiągniemy Morze Śródziemne.

– Damy radę Egipcjanom? – spytał niespokojnie któryś z rajców.

Wiśniowiecki skinął głową.

– Pobjemy ich tak samo jak Maurów. – W jego głosie słyhać było niezachwianą pewnością. – Pobjemy ich i popędzimy do samego Kairu!

– Egipt też będzie nasz! – wykrzyknął burmistrz. Jako pierwszy, ale nie ostatni. Nie jego jednego urzekła wizja chrześcijańskiej Afryki.

Dowódca Korpusu przyjmował entuzjazm zebranych z widocznym zadowoleniem.

– Przyjdzie czas i na to... – powiedział z uśmiechem, gdy gwar przycichł nieco.

– Wiwat Wiśniowiecki! Wiwat! Wiwat! – Okrzyki natychmiast ponownie przybrały na sile.

Generał uściśnął kilka wyciągniętych dłoni, po czym spojrzął dyskretnie na zegarek.

– Wybaczcie, przyjaciele, lecz czas na mnie. Mam wielką nadzieję, że niebawem odwiedzę was znowu...

Otoczony przez oficerów i żegnany nieustającymi okrzykami, skierował się ku wyjściu.

Pułkownik Stopkiewicz, stojąc przy otwartym oknie, obserwował zebrany na rynku tłum, który na widok wychodzącego z ratusza dowódcy Korpusu począł wznosić radosne okrzyki.

– Jak się czujesz jako pułkownik? – Obok dowódcy garnizonu nowojasielskiego pojawił się nagle kapitan Kulesza.

– Jak mam się czuć? Normalnie.

Kulesza spoglądał za sunącą przez rynek generalską limuzyną.

– To wyjątkowy człowiek, nie uważasz?

– Szykuj ludzi. – Stopkiewicz udał, że nie dosłyszał słów oficera. – Nie dał nam wiele czasu na odpoczynek.

* * *

Zbliżało się południe. Granatowy Toor 590, eskortowany przez dwa transportery Ryś, opuścił Nowe Jasło i skierował się w stronę odległej o pięć staj niewielkiej osady Al-Dzafer, położonej przy głównej drodze prowadzącej w stronę granicy mauretańskiej. Dwóch pasażerów samochodu, generał Wiśniowiecki i dowódca lotnictwa Korpusu, pułkownik Aleksander Junonis, w milczeniu obserwowało widok za oknem. Sępy, krążące nad ruinami nielicznych domostw, przypominały, że maszerujący na północ Korpus traktował

muzułmanów z powiatu nowojasielskiego jak zdrajców. Złapanych z bronią w ręku wieszano natychmiast, resztę odstawiano do specjalnych obozów pod Nowym Krakowem, gdzie czekać mieli na proces. Trzy gminy zniknęły bez śladu. Mieszkańcy trzech kolejnych, niemal dwadzieścia tysięcy ludzi, przerażeni okrucieństwami wojsk chrześcijańskich, uciekli na mauretańską stronę.

– Mówisz więc, że ta przeklęta świnia z Europy zamierza rozpocząć negocjacje z Kalifem? Jesteś tego całkowicie pewien? – odezwał się nagle Wiśniowiecki, odwracając wzrok od widoku zniszczeń, dokonanych przez podległych mu żołnierzy.

Pułkownik Junonis, gruby Murzyn o nalanej twarzy, ruchem głowy wskazał na kierowcę.

– Możesz mówić. To zaufany człowiek. – Generał przynaglił go niecierpliwym gestem.

– Chciałbym się mylić, ale, niestety, to prawda. – Grubas otarł ociekające potem czoło. – Dowiedziałem się, że stoi za tym nasz drogi przyjaciel, wojewoda Sierpiński.

– Sierpiński? – Na twarzy Wiśniowieckiego pojawił się grymas złości. – Mogłem się tego po nim spodziewać!

– Pieniądze Rzeplitów uczyniły wiele złego – mruknął Junonis. – Nie chcę cię martwić, ale doszły mnie słuchy, że nawet kilka starych rodów opowiedziało się za przyjęciem pomocy z Europy.

– Kto dokładnie? – wycedził przez zęby generał.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Murzyn wzruszył ramionami. – Pies z nimi, i bez nich sobie poradzimy.

– Nic nie rozumiesz – zgromił go Wiśniowiecki. – Jeśli odstępują nas stare rody, czego można spodziewać się po innych? Ryba psuje się od głowy, pamiętaj o tym.

– Wojewodę popierają Kwiatkowscy, Ziębińscy i Filipiukowie. Oprócz tego kilka pomniejszych rodów.

– Stary Filipiuk zdradził. – Na chwilę złość na twarzy dowódcy Korpusu ustąpiła zdziwieniu. – Znam tego człowieka od czterdziestu lat. Jego synowie mieli objąć starostwa na nowo zdobytych obszarach...

– Ten przeklęty Kulka to bardzo zmyślna bestia – powiedział niechętnie Junonis. – Wie doskonale, że łatwe pieniądze kuszą. Starego Filipiuka, niestety, też. Jego majątek podupadł w ostatnich latach i pieniądze z Europy bardzo by mu się przydały. Na nowe starostwa trzeba czekać, a pieniądze z Europy dostanie od ręki. Ludzie mówią, że Rzeplenci ofiarowali jemu i kilku innym po pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Rozumiesz, co to znaczy? Oni kupują po kolei wszystkich, a ludzie są tylko ludźmi.

– To nie ma już żadnego znaczenia. – Wiśniowiecki uśmiechnął się chłodno. – Rzeplenci przybyli ze swoimi pieniędzmi zbyt późno. To zaś, że dzięki nim zdrajcy pokazali swoje prawdziwe oblicze, jest tylko nam na rękę. Gdy opanujemy Kalifat, przyjdzie czas, by rozliczyć się z nimi.

– Rzeplici chcą doprowadzić do konfrontacji armii z radą miasta – stwierdził grubas. – Co zrobisz, gdy wojewoda przyjmie pieniądze? Nie możesz mu przecież tego zabronić.

– Nie przyjmą ich. – Kąciki ust generała uniosły się w enigmatycznym uśmiechu. – Możesz być pewien.

Junonis, wyraźnie zaskoczony, obrzucił dowódcę Korpusu badawczym spojrzeniem.

– Nie zamierzasz chyba... – urwał w pół zdania, jakby nagle dotarł do niego sens wypowiedzianych słów.

– Nadszedł już właściwy czas. – Wiśniowiecki skinął głową. – Nadszedł czas, by przejąć władzę.

– Mieliśmy z tym poczekać do czasu zakończenia wojny z Maurami – przypomniał ostrożnie pułkownik – Jeśli uderzymy teraz...

– Plany żyją do czasu, gdy nadchodzi moment ich realizacji – przerwał mu niecierpliwie Wiśniowiecki. – Nie rozumiesz, że musimy zatrzymać Rzeplitów? Oni stanowią teraz największe zagrożenie.

– Ludzie nie są jeszcze przygotowani na afrykańskiego Kanclerza. Mogą uznać cię za uzurpatora...

Generał uśmiechnął się gorzko.

– Spójrz tylko. – Wskazał na mijane ruiny arabskiego osiedla. – Ludzie doświadczyli, czym jest sąsiedztwo tych barbarzyńców. Myślisz, że nie pójda za człowiekiem, który wskaże im właściwą drogę? Myślisz, że opowiedzą się za bandą tchórzy, która pragnie jedynie pomnożenia swoich majątków? – Odwrócił się nagle i trącił w plecy kierowcę. – Mieczysław, powiedz mi, czy nie chciałbyś osiąść nad Morzem Śródziemnym na pięknym, dziesięciołanowym gospodarstwie?

– Oczywiście, panie generale! – odpowiedział z zapalem kierowca.

– Otóż to! – Głos dowódcy Korpusu zadrżał ze wzruszenia. – Dam ludziom ziemię, nie piasek, lecz prawdziwą ziemię, na której wyrosnie nowa Rzeczpospolita!

– Trzeba się więc spieszyć. – Junonis zaakceptował zmianę planów bez dalszych dywagacji. – Kiedy uderzymy?

– Dziś o północy Korpus przekroczy granicę, a garnizon Nowego Krakowa otrzyma rozkaz opanowania miasta – powiedział uroczyście przyszyły kanclerz.

– Zdążą się przygotować? – upewnił się grubas. – Przecież to skomplikowana operacja. Jak zamierzasz to przeprowadzić?

– O nic się nie kłópcz – odparł spokojnie generał. – Wszystko jest już gotowe.

– Jak to? – spytał zdumiony Junonis.

– Przewidujący dowódca przygotowany jest na wszystko. – Wiśniowiecki uśmiechnął się zadowolony. – Myślisz, że nie przewidziałem zdrady? Najważniejsze to uprzedzić działania wrogów. To podstawa sukcesu. Być zawsze o krok do przodu.

* * *

W niewielkiej lepiance, położonej na skraju osady Al-Dzafer, panował trudny do zniesienia zaduch. Nieruchome, ciężkie powietrze wypełniło się natrętnym brzęczeniem much. Trzech Arabów, uzbrojonych w pancernice i karabiny automatyczne, obserwowało uważnie drogę u podnóża wzniesienia, na którym skupiała się większość zabudowań osiedla. Wszystko wskazywało na to, że są oni jedynymi ludźmi, jacy jeszcze pozostali w wiosce. Wieść o zbliżającym się Korpusie Afrykańskim sprawiła, że wczorajszej nocy muzułmańscy mieszkańcy uciekli na północ, pozostawiając cały swój dobytek, zaś Afrykanie nie odważyli się powrócić do swoich domostw.

Jeden z Arabów rozejrzał się krytycznie po skromnie urządzonej wewnątrz.

– Może zrobię herbatę? Mają tu chyba herbatę? – odezwał się po polsku niczym rodowity krakowianin. – Jak zaraz się czegoś nie napiję, język przyklei mi się do podniebienia.

– Wracaj na miejsce Alojzy, oni mogą pojawić się w każdej chwili – zgañił go ostro barczysty mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach.

– Tak jest, panie poruczniku.

W lepiance zapadła cisza. Trzech ludzi trwało w bezruchu. Ich ciężkie oddechy i błyszczące od potu twarze pozwalały domyślać się, że nie byli przyzwyczajeni do klimatu Afryki.

– Powinni już być! – jęknął jeden.

– Cicho! – Dowódca uniósł ostrzegawczo rękę. Podniósł do oczu lornetkę. W odległości półtora staja na zachód dostrzegł sunącą w stronę wioski kolumnę. Sięgnął szybko po krótkofalówkę, odruchowo spoglądając w kierunku domu gminnego po drugiej stronie drogi, w którym kryła się reszta jego grupy.

– Na miejsca! Przygotować się!

* * *

Otwierający konwój transporter z niewielką prędkością minął pierwsze zabudowania oazy. Dwóch żołnierzy, siedzących w otwartym włazie, przyglądało się ze znużeniem mijanym lepiankom. Rozkaz oficera, który nakazał im uważną obserwację okolicy, traktowali z przymrużeniem oka. We wszystkich osadach, położonych na wschód od Nowego Jasła, nie spotkali żywego ducha. Ta oaza również wyglądała na opuszczoną. Wzdłuż drogi widać było porzucone wozy i kilka samochodów, do których najpewniej zabrakło paliwa. Młodszy z żołnierzy zastukał w pancernicę i krzyknął głośno:

– Wciśnij gaz Anzelm! Droga wolna!

* * *

Dowódca grupy obliznął spieczoną wargę. Pierwszy transporter był już w zasięgu broni. Naprowadził rurę pancernicy na burtę pojazdu. W celowniku pojawiła się białoniebieska

szachownica – herb czwartego Pułku Pancernego „Inowrocław”. Porucznik nabrał głęboko powietrza i nacisnął spust. Na burcie transportera wykwitła jaskrawożółta plama eksplozji. Pojazd stanął w ogniu, chwilę później eksplodowała amunicja. W tym samym momencie posypały się kule z okien domu gminnego.

Na drodze rozpętało się piekło.

Dowódca grupy odrzucił zużytą pancernicę i sięgnął szybko po kolejną. Nakierował ją na stojącego nieruchomo toora, lecz kolejny strzał okazał się już niepotrzebny. Jego ludzie spisali się znakomicie. Limuzyna i drugi ryś płonęły.

– Wystarczy! – Dowódca trącił w ramię swojego towarzysza, który krótkimi seriami ostrzeliwał płonący wrak limuzyny. – On już nie żyje! – Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Minuta piętnaście, niezły wynik.

Rozdział 5

Pustynia Jasielska – pogranicze województwa nowokrakowskiego i Kalifatu Mauretańskiego

18 maja 1957 roku

Abdel Rahman, osłaniając oczy przed stojącym w zenicie słońcem, stał nieruchomo pośrodku kamienistej równiny. Był na mauretańskiej ziemi. Przed sobą, w odległości nie większej niż trzysta łokci, widział stanowiska czwartego pułku gwardii mauretańskiej, zaś za jego plecami, w równym szeregu, stały trzy Bahtarie konnicy berberyjskiej – resztki armii Sulejmana. Gwardziści opuścili okopy i w milczeniu obserwowali Berberów. Panowała pełna napięcia cisza. Bahtar otarł spływającą po czole strużkę potu. Czekał. Minęło kilka długich chwil, gdy nagle na równinie pojawił się drugi człowiek. Szedł na piechotę. Stał przed nowym dowódcą Berberów i spojrzał na niego wyczekująco.

– Nie poznajesz mnie, Salim? – Abdel uśmiechnął się nieznacznie.

Salim Bejhaid przechylił głowę i zmrużył oczy.

– Czy poznaję? – zawahał się. – To niemożliwe... Na Allacha! Abdel? To ty?

– Witaj, przyjacielu. – Bahtar postąpił krok naprzód. – Moje serce przepełnia radość. Nie widzieliśmy się pięć długich lat.

Młody pułkownik pocałował swojego dawnego dowódcę w oba policzki.

– Mój przyjacielu! Gdzie byłeś przez ten długi czas? Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj! – Spoglądał z radością na Bahtara. – Nawet nie wiesz, jak często o tobie myślałem!

– Pan sprawił, że spotkaliśmy się w ten właśnie czas w tym oto miejscu. Dowodzę tym, co pozostało z armii Sulejmana. Przeprowadziłem ich przez kraj niewiernych i stoję oto przed tobą.

– W dziwnych okolicznościach przyszło nam się spotkać. – Salim skinął głową, a uśmiech na jego twarzy zgasł nagle. – Gdzie Sulejman? Dlaczego wysłał ciebie?

– Sulejman stoi już przed obliczem Pana – odpowiedział spokojnie Abdel, ale nie odrywał od twarzy młodzieńca uważnego spojrzenia. – Dosięła go kara za bezrozumny upór. Ten pies wygubił połowę wojowników.

– Dlaczego ruszył pod miasto niewiernych? – Pułkownik pokręcił z niedowierzaniem głową. – Gdyby tylko rozpuścił zagony po wszystkich północnych powiatach, pięćdziesiąt tysięcy wiernych stanęłoby do walki. Spoglądaliśmy na południe w nadziei, że tak właśnie się stanie.

– Uwierz mi, próbowałem odwieść go od tego szaleńczego planu, lecz on nie chciał słuchać nikogo. W jego umyśle podobnym do pustej tykwy nie było niczego, prócz żądy krwi. Uważał, że jeśli zdobędzie miasto, na niewiernych padnie blady strach. Myślał, że Korpus przestraszy się Sulejmana Wielkiego, który zdobył jedno miasto.

– Przeprowadziłeś więc ocalałych wojowników. – Salim westchnął ciężko. – Wiesz pewnie, że otrzymałem rozkaz, by nie przepuszczać Berberów na naszą stronę. Kalif boi się, że w przeciwnym razie niewierni zyskają doskonały pretekst do ataku.

– Niewierni nie potrzebują żadnego pretekstu – powiedział twardo Abdel. – Idą za nami, psy wściekłe, krok w krok i nie miną dwie godziny, jak staną na granicy. Uderzą tak czy inaczej.

– Wiesz, co to rozkaz...

– Salim... pułkowniku... Przeprowadziłem tych ludzi pięćdziesiąt staj przez pustynię, w morderczym słońcu, niemal bez wody. Są wycieńczeni i słabi, lecz jeśli odpoczną choć chwilę, staną do walki o naszą ziemię! Tu stoi zaledwie trzy tysiące gwardii i trochę pospolitego ruszenia. Ja mam dwa tysiące prawdziwych wojowników. Połączmy siły!

Młody człowiek milczał. Opuścił głowę, ale i tak nie zdołał ukryć, jak trudno było mu podjąć decyzję.

– Ten rozkaz wydał osobiście Kalif...

– Znam cię dobrze, przyjacielu. – W głosie dowódcy Berberów pojawiły się nieoczekiwane miękkie tony. – Jesteś najlepszym oficerem, jaki służy w armii mauretańskiej. Zawsze wierny, dokładny i obowiązkowy. Zrozum jednak, że jeśli wypełnisz ten rozkaz, skążesz na śmierć dwa tysiące doskonałych wojowników. Kalif nie ma pojęcia, co tu się dzieje! Pragnie uratować pokój, lecz już nie ma na to nadziei!

Pułkownik podniósł głowę i popatrzył na równy szereg jeźdźców. Potem spojrzął na Abdela.

– Gdzie są te świniójady? – spytał. – Daleko stąd?

– Idzie piechota i, niestety, czołgi. Dużo czołgów, Salim – odparł Bahtar. – Jak już mówiłem, są bardzo blisko. Myślę, że uderzą tej nocy.

Salim skierował wzrok ku widocznym w oddali Wzgórzom Króla Jana, zza których miał nadejść wróg.

– Twoi ludzie zajmą pozycję na lewym skrzydle, tam, gdzie stoi pospolite ruszenie. Wzmocnicie ich obronę, a przede wszystkim podniesiecie w nich ducha. – Salim uśmiechnął się szeroko. – Witaj w domu, przyjacielu.

Abdel Rahman odetchnął z ulgą.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Nie myślałeś chyba, że zostawię cię na pastwę chrześcijan. – Pułkownik chwycił dłoń Abdela i uniósł ją w górę. – Pokażmy im, że wśród wiernych panuje zgoda. Niech wiedzą, że Allah czuwa nad nami.

Od strony okopów i szeregu berberyjskiego dobiegły radosne okrzyki. Huknęły strzały. Berberowie ruszyli wolno w stronę pozycji gwardii mauretańskiej.

* * *

Noc ogarnęła już pustynię, a wraz z jej nadejściem na rozległej równinie, leżącej na zachód od Wzgórz Króla Jana zapanował ożywiony ruch. Tuż po zmroku dziesiątki czołgów, ukrytych za dnia w zamaskowanych wykopach, wypełzły z ukrycia i ruszyły w stronę odległej o pięć staj granicy. Ze wschodu nadciągały długie kolumny ciężarówek z dostawami amunicji, na stanowiskach artylerii czyniono ostatnie przygotowania do otwarcia ognia. Około jedenastej wieczorem na równinie zapadła cisza. Czwarta Dywizja Pancerna „Wilno” osiągnęła pełną gotowość. Dziesięć tysięcy żołnierzy oczekiwało na sygnał do ataku.

Rozdział 6

Nowy Kraków

19 maja 1957 roku

Generał Didiuk, z założonymi na plecach rękoma, przechadzał się nerwowo z jednego końca pokoju w drugi. Generał Klepacz i senator Kulka, siedzący w fotelach, przyglądali mu się w milczeniu.

– Usiądź wreszcie – odezwał się wyraźnie poirytowany Klepacz. – To twoje chodzenie wyprowadza mnie z równowagi.

– Mnie zaś uspokaja. Nie potrafię tak jak ty gapić się w ścianę – odburknął grubas i rozpoczął kolejną rundę. Dotarł właśnie do okna, gdy zatrzymał się nagle, odsunął ostrożnie firanę i ruchem ręki przywołał swoich towarzyszy.

– Chodźcie! Szybko!

– Co się stało? – spytał niespokojnie Kulka.

Na nowokrakowski rynek od strony ulicy Klasztornej wjeżdżały właśnie dwa czołgi typu „Tygrys”. Stalowe olbrzymy przesunęły się wolno pod oknami domu gościnnego „Królewski” i zatrzymały na wprost szeregu policjantów, blokujących im przejazd pod Sukiennice, gdzie w równym szeregu stało kilkudziesięciu żołnierzy Korpusu. Właz pierwszego czołgu otworzył się gwałtownie. Młody czołgista spoglądał niepewnie na policjantów. Krzyknął coś do nich, lecz ci tylko wycelowali w jego stronę karabiny. Czołgista skrył się szybko pod pancierzem. Ryknął potężny silnik. Kolos obrócił się wokół własnej osi i ruszył przez rynek z zamiarem okrążenia Sukiennic. W tej samej chwili z ulicy Browarnej wyszła kolejna grupa policjantów. Tygrys zatrzymał się gwałtownie. Potężna lufa uniosła się ku górze, policjanci sięgnęli po granaty.

– Na miłość boską! Co tam się dzieje?! – Senator Kulka, stojący za plecami generałów, bezwiednie zacisnął dłoń na ramieniu Klepacza. – Co oni wyprawiają?! Poszaleli! Naprawdę poszaleli!

– Spokojnie, bez nerwów. – Klepacz delikatnym, lecz stanowczym ruchem uwolnił się z uścisku. – Straszą się tylko, taką mam przynajmniej nadzieję.

Rzeplici z zapartym tchem śledzili przebieg wypadków. Minęły już dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy garnizon Nowego Krakowa rozpoczął rebelię. Ta nagła i nieprawdopodobna wiadomość zastała delegację z Europy podczas spóźnionej kolacji z wojewodą Sierpińskim. Wojsko błyskawicznie opanowało port i ratusz, lecz około godziny drugiej w nocy stało się coś niespodziewanego. Wśród zbuntowanych oddziałów zapanowało zamieszanie. Tuż przed czwartą miasto obiegła wieść, że przywódca rebelii nie żyje. Uwięzieni w domu gościnnym Rzeplici przeżyli nad ranem szturm rozwścieczonej szlachty, odparty z najwyższym trudem przez przydzielony do ochrony gości pluton policji. Zablockowane telefony uniemożliwiały uzyskanie jakichkolwiek informacji. Choć noc już minęła, przybysze z Europy nie mieli pojęcia, co dzieje się na zewnątrz domu gościnnego.

Tymczasem sytuacja za oknem jeszcze bardziej się skomplikowała. Otoczeni przez policjantów żołnierze otrzymali posiłki. Na rynek wkroczyła kolejna kompania garnizonu nowokrakowskiego. Przewaga liczebna była teraz po ich stronie. Policjanci, krok po kroku, wycofali się pod północną ścianę rynku.

– Myślicie panowie, że żołnierze zaatakują? – Senator Kulka, błądy i roztrzęsiony, obrzucał generałów pełnymi przerażenia spojrzeniami.

– Myślę, że nic takiego się nie wydarzy. – Klepacz starał się go uspokoić. – Jedni i drudzy chcą pokazać, że nie ustąpią. Poza tym nie wyobrażam sobie, by żołnierze tej samej armii mogli do siebie strzelać.

– Jest pan pewien? – Głos senatora zadrżał. – Może powinniśmy opuścić Nowy Kraków?

– Myślę, że powinniśmy poczekać na rozwój sytuacji – odparł niechętnie Didiuk. – Ucieczka byłaby niewskazana z wielu względów.

– Na przykład jakich?

– Sytuacja jest niejasna. – Grubas wzruszył ramionami i zmierzył Kulkę chłodnym spojrzeniem. – Jeśli rebelia zostanie opanowana, wyjdziemy na tchórzy.

– A jeśli jej nie opanują? – spytał nerwowo senator. – Co będzie, jeśli zwolennicy Wiśniowieckiego zapragną pomścić jego śmierć? Zapomnieliście już, że jesteśmy głównymi podejrzanyymi? Gdyby nie ochrona policji, dawno by nas zlinczowali!

– Nie mamy z tym nic wspólnego – stwierdził autorytatywnie Klepacz. – Tego zamachu, jeśli to naprawdę był zamach, musieli dokonać Arabowie...

– Niech mi tu pan nie pieprzy! – Senator w ciągu kilku ostatnich godzin zdążył całkowicie zapomnieć o dyplomatycznym protokole. – Kto w to uwierzy?!

– Zarzuca nam pan kłamstwo? – zachnął się generał.

– Zdajecie sobie sprawę z konsekwencji tego czynu? – Senator zdawał się nie słyszeć słów generała. – Wiśniowiecki zginął w najbardziej odpowiedniej dla nas chwili. Komu, jeśli nie nam, najbardziej zależało na jego śmierci?

– Wiśniowiecki miał wielu wrogów. – W głosie Klepacza słychać było tłumiony gniew. – Zamachu mógł dokonać każdy.

– Dlaczego podejrzewają więc nas?

– Kogoś muszą – odezwał się Didiuk. – Jesteśmy tu obcy, więc sam pan rozumie.

Senator wycofał się spod okna, opadł ciężko w fotelu i spojrzał na obu wojskowych z nietajoną odrazą.

– Nie wierzę wam – powiedział oschle. – Jesteście wysłannikami Kanclerza, który po raz kolejny udowodnił, że za nic ma wolę Sejmu! Wasza obecność tutaj to tylko pozór! Pan Chmielnicki wysłał dwóch generałów, dwie marionetki, które miały odegrać przed Afrykanami swoją rolę! Gdyby nie wy, doprowadziłbym do załagodzenia konfliktu!

– Naprawdę? – Klepacz uśmiechnął się ironicznie. – Ciekawe w jaki sposób? Może rozdając pieniądze afrykańskim rodom? Myśli pan, że nic o tym nie wiemy? Owszem, wiemy. Pańscy przyjaciele wysłali pana z okazałym zasobem gotówki.

– To pomówienie – burknął Kulka, ale na chwilę stracił gdzieś swoją butę. – Nie macie żadnych dowodów.

– Może i nie mamy, ale wiemy, że, podobnie jak my, pan również reprezentuje interesy określonych ludzi. Przybył pan tu, by pokazać, że tylko bezherbowi są w stanie opanować sytuację. Proszę się więc nie kreować na zbawcę Rzeczypospolitej.

– Jedyny znany wam sposób rozwiązywania problemów to użycie siły! – Kulka nagle nie chował już głowy w ramionach, wyprostował się i przeszedł do ataku. – Przestraszyliście się, że nie wy, lecz ja, senator Rzeczypospolitej osiągnę porozumienie! Przestraszyliście się, że pokój w Afryce uratują bezherbowi, więc użyliście sobie właściwych metod. Skutki tego widać za oknem.

– Dajcie spokój – powiedział pojednawczo Didiuk. – To, kto dokonał zamachu na Wiśniowieckiego, jest w tej chwili niemożliwe do ustalenia. A wzajemne oskarżanie się nie prowadzi do niczego. Pytanie, które powinniśmy sobie zadać, brzmi: jaki będzie to mieć wpływ na rozwój wypadków? Może wbrew temu, co pan sądzi, senatorze, dobrze się stało, że ten człowiek zginął?

– Co pan ma na myśli? – spytał ostro senator.

– Wiśniowiecki skupiał wokół siebie liczną i wpływową grupę ludzi, lecz żaden z nich nie jest w stanie go zastąpić. Rozumiecie, o czym mówię?

– Twierdzi pan, że bez Wiśniowieckiego bunt sam wygaśnie? Skąd może pan to wiedzieć?

– To bardzo prawdopodobne. – Didiuk skinął głową. – Teraz, gdy Korpus stracił swego dowódcę, nie ma nikogo, kto poprowadziłby ich do walki.

– Jest więc pan jasnowidzem – powiedział złośliwie senator. – Być może w tej właśnie chwili Korpus niszczy kolejne dywizje mauretańskie? Może wielka wojna, której tak bardzo staraliście się zapobiec, wybucha już z całą mocą?

Nagły ruch na korytarzu przerwał ten sarkastyczny wywód. Kulka poderwał się z fotela, spoglądając z niepokojem w stronę drzwi. Rozległo się ciche pukanie, wicewojewoda Walery

Kostrzebski wkroczył do pokoju, nie czekając na zaproszenie. Zanim zamknął za sobą drzwi, zobaczyli jeszcze dwóch policjantów, którzy zatrzymali się w progu.

– Dzień dobry. – Skłonił się sztywno.

– Witamy serdecznie! – Kulka odetchnął z ulgą. – Jak dobrze znowu pana widzieć! Domyślam się, że przysłał pana wojewoda?

– Zgadza się. – Kostrzebski skinął głową. – Wojewoda poprosił mnie, bym zaopiekował się panami.

– Co to znaczy? – zainteresował się podejrzliwie Klepacz.

– Ze względu na rozwój sytuacji zmuszeni jesteśmy przenieść was w inne, bardziej bezpieczne miejsce. Wasze bagaże zostały już przewiezione...

– Zaraz, chwileczkę – przerwał wicewojewodzie Didiuk. – Domyśla się pan pewnie, że w obecnej chwili najbardziej interesuje nas rozwój sytuacji w mieście. Może najpierw zechce nas pan poinformować, jak stoją sprawy?

– Sytuacja jest niezwykle skomplikowana – powiedział wymijająco Kostrzebski. – Nie czas teraz mówić o tym...

– Drogi panie! – Didiuk nie dał się zepchnąć z tematu. – Siedzimy w tym pokoju od dwudziestu godzin i chcielibyśmy wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz. Dlaczego jest pan taki tajemniczy? Co się stało?

– Negocjacje z buntownikami trwają bez przerwy – rzucił oględnie urzędnik. – Za wcześnie jeszcze mówić, co z tego wyniknie.

– Czy Korpus przekroczył granicę? – Senatora zmęczyły eufemizmy, chciał konkretnych odpowiedzi na konkretne pytania. – Czy wojna już się zaczęła?

– Według naszych informacji doszło zaledwie do kilku potyczek. Siły Korpusu pozostały na swoich pozycjach...

– Kamień z serca, kamień z serca. – Kulka odetchnął.

– Zechcecie panowie spakować swoje rzeczy, będę oczekiwał was w podziemiach domu.

– Kostrzebski spojrzął na zegarek. – Proszę się pospieszyć.

– Chciałbym wiedzieć... – zaczął Didiuk.

– Nie teraz, generale. – W głosie wicewojewody pojawiło się zniecierpliwienie. – Dowiecie się wszystkiego na miejscu.

– Czyli gdzie? – spytał ze złością Klepacz.

– Na miejscu – usłyszał w odpowiedzi.

* * *

Dwa Toory 540, eskortowane przez policję, sunęły środkiem opustoszałego Sapkowa – nowokrakowskiej dzielnicy wysokościowców. Mimo iż minęło dopiero południe, na ulicach panowały pustki, stanęła komunikacja miejska, pozamykano banki i sklepy. Wprowadzony w nocy stan wyjątkowy sprawił, że miasto wyglądało, jak ogarnięte zarazą. Na każdym

skrzyżowaniu widać było policję, a w okolicy siedziby afrykańskiego przedstawicielstwa Konsorcjum Kijowskiego pojawiły się zapory, blokujące wjazd do portu, gdzie stacjonowały zbuntowane oddziały Afrykańskiej Floty Oceanicznej. Z tylnej kanapy limuzyny Didiuk i Klepacz przyglądali się w milczeniu wymarłej dzielnicy.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– Co mam sądzić... – Klepacz wzruszył ramionami. – Paskudnie to wygląda.

– Wszystko pozamykali, całkiem jakby szykowali się do oblężenia.

– Nie kracz – odburknął generał ze złością.

– Chciałbym się mylić, ale na to właśnie mi wygląda.

Dojechali właśnie do ronda Jagiellońskiego. Pierwszy radiowóz skręcił w prowadzącą w stronę lotniska ulicę Chen Lu.

– Kalinowski, dokąd my właściwie jedziemy?

– Ja tam nic nie wiem, panie generale – odparł zmieszany sierżant. – Kazali jechać, to jadę.

– Zakazali ci mówić? – Didiuk właściwie stwierdził, nie zapytał.

– Ja nic nie wiem – powtórzył Kalinowski i pochylił się nad kierownicą. – Zaraz zresztą będziemy na miejscu.

– On nas wiezie na lotnisko. – Grubas rozglądał się bacznie dokoła. – Poznają okolicę. Zaraz będzie wiadukt, a potem te wielkie magazyny. Pamiętasz?

– Owszem, pamiętam – powiedział wolno Klepacz. – Już chyba wiem, co wymyślili Afrykanie...

– Myślisz, że... – Didiuk nie dokończył, przestał jedynie na znaczącym spojrzeniu.

W tej właśnie chwili zobaczyli kompleks portu lotniczego. Konwój skręcił w boczną drogę, minął główny budynek i wjechał wprost na pas startowy. Tam, otoczony przez kilkudziesięciu policjantów, oczekiwał już niewielki „Kos”, jeden z pierwszych samolotów cywilnych o napędzie odrzutowym. Sierżant Kalinowski zgasił silnik, wyszedł na zewnątrz i otworzył bagażnik toora. Policjanci wyjęli podręczny bagaż generałów i senatora i bez słowa ponieśli go w stronę samolotu.

– Co tu się, do cholery, dzieje! – Kulka, wściekły i zdezorientowany, spoglądał ze złością w stronę szeregu mundurowych. – Czy ktoś może mi to wyjaśnić?!

– Proszę się uspokoić, senatorze. – Zza srebrzystego kadłuba samolotu wyszedł wojewoda Sierpiński. Twarz miał poszarzałą, a oczy zaczerwienione. Na pierwszy rzut oka widać było, że miał za sobą nieprzespaną noc. Ruchem ręki odprawił funkcjonariuszy i wolnym krokiem podszedł do Rzeplitów.

– Panie wojewodo, składam oficjalny protest. – Senator zaczął wprawdzie ostrożniej obierać słowa, ale tonu nie zmienił. – Co to wszystko znaczy?! Dlaczego zostaliśmy tu przywiezieni?! Czy mam rozumieć, że zostaniemy zmuszeni do opuszczenia miasta?!

Sierpiński westchnął ciężko.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale w zaistniałej sytuacji wasza obecność na afrykańskiej ziemi jest mocno niepożądana. Przygotowaliśmy dla was samolot, którym za kilka minut odleciecie do Europy.

– Jeśli myśli pan, że to ja odpowiadam za zamach dokonany na generała Wiśniowieckiego, to jest pan w błędzie. – Senator spojrział znacząco w stronę generałów. – Czy policja rozpoczęła już śledztwo w tej sprawie? Podobnie jak pan uważam, że odpowiedzialni za ten niegodny czyn powinni ponieść wszelkie konsekwencje...

– Drogi senatorze... – Wojewoda starał się ukryć zniecierpliwienie. – Będzie lepiej, jeśli pominiemy milczeniem pewne sprawy. Sytuacja jest wystarczająco skomplikowana i nie powinniśmy jej gmatwać jeszcze bardziej. Ostatnie wydarzenia sprawiły nam zbyt wiele kłopotów. Nowych nam nie potrzeba.

– Mam tylko jedno pytanie – wtrącił się Klepacz. – Chciałbym wiedzieć, czy Korpus na pewno nie przekroczył granicy. Proszę zrozumieć, to dla nas naprawdę ważne.

Sierpiński przez chwilę patrzył Rzeplicie prosto w oczy.

– Atak został wstrzymany – odparł krótko.

– Wstrzymamy? – upewnił się Didiuk. – Czy to znaczy, że Korpus wróci do koszar?

– Mamy już nowego dowódcę, którego udało się przekonać, że rozpoczynanie wojny z Kalifatem nie jest rzeczą rozsądną. – Wojewoda uśmiechnął się nieznacznie. – Na pewnych warunkach zgodził się odstąpić od planowanej ofensywy.

– Na jakich warunkach? – spytał senator. – Czy nasze wydalenie ma coś z tym wspólnego?

– My, Afrykanie, musimy uporać się teraz z wieloma sprawami. – Wojewoda udał, że nie dosłyszał pytania. – Minie wiele czasu, nim wszystko wróci do normy. Musimy jednak dokonać tego sami, bez pomocy Europy. Mam nadzieję, że pojęli panowie sens moich słów?

– Doskonale – odpowiedział spokojnie Klepacz.

– To dobrze, to bardzo dobrze. – Sierpiński spojrział na zegarek. – Czas na mnie. Obowiązki wzywają.

– Do zobaczenia, panie Sierpiński. – Generał uściśnął dłoń Afrykanina.

– Być może jeszcze kiedyś się spotkamy. Mam nadzieję, że lot upłynie wam w przyjemniejszej atmosferze.

Wojewoda obrócił się na pięcie i ruszył w stronę oczekującego nieopodal samochodu. Chwilę później delegacja z Europy zajęła miejsca w samolocie. Generałowie, usadowiwszy się tuż za kabiną pilotów w sporej odległości od senatora, spoglądali na odjeżdżający samochód wojewody.

– No to lecimy – mruknął Didiuk.

– Ano lecimy.

– Co myślisz...

– Nic nie myślę – Klepacz poprawił się w fotelu i zamknął oczy. – Chcę się teraz wyspać.
Myśleć będę później.

Rozdział 7

Zakon Krzyżacki – Mohrungen

20 maja 1957 roku

Zygmunt Armknecht, inspektor sądowy drugiego stopnia, zatrzymał swojego kobuza na placu postojowym przy Klosterstrasse* 17 dokładnie przed delegaturą Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej. Obrzucił niechętnym wzrokiem uszkodzony błotnik samochodu i rozbitą szybę. Na tylnym siedzeniu leżał sporej wielkości kamień, którym pożegnano go w pobliskiej wiosce, gdzie był na porannej inspekcji. Na wspomnienie tego, co spotkało go przed godziną, wzdrygnął się ze strachu. Po raz pierwszy jego życie było zagrożone. Gdyby nie to, że salwował się mało godną ucieczką, zawisłby na przydrożnym drzewie. Dotarł szczęśliwie do Mohrungen*, lecz widok zbierających się na ulicach mieszczan sprawił, że Armknecht przemknął przez miasto, nie zważając nawet na czerwone światła. Ruszył w stronę budynku delegatury, czując, że wciąż ma miękkie kolana. Przed wejściem dostrzegł dwóch młodszych inspektorów, braci Pałuków.

– Chwała Bogu, żeś wrócił. – Jan, młodszy z nich, chudy i wiecznie pociągający nosem, chwycił Zygmunta za ramię. – Słyszałeś, co wyprawia się na mieście? Podobno wczoraj w nocy ktoś podpalił magazyny Kamińskiego, a nad ranem mieszczuchy próbowały sforsować bramy jego fabryki. Po mojemu, źle się dzieje.

– Nie musisz mi o tym mówić. – Inspektor wskazał na pokiereszowanego kobuza.

– Kto go tak urządził? – Starszy z Pałuków, Adam, podszedł do samochodu i dotknął pogiętej maski. – Wygląda, jakby ktoś walił w niego solidnym drągiem.

– Byłem dziś rano w Grumbach. – Armknecht wykrzywił się dosadnie trochę dlatego, by ukryć strach, który wciąż jeszcze kurczył żołądek w małą kulkę. – Chcieli mnie obwiesić.

– Co takiego?! – Jan rzucił przerażone spojrzenie na ulicę. Po drugiej stronie, naprzeciw kościoła, zbierało się coraz więcej ludzi. Ich chmurne, pełne nienawiści twarze nie wróżyły niczego dobrego.

* niem. ulica Klasztorna

* niem. Morąg

– Przeklęte bydło. – Starszy Pałuka popatrzył na tłum z ostentacyjną wyniosłością. – Tępe, opasłe mieszcuchy o mózgach zakonserwowanych piwem.

Armknecht zacisnął zęby. Jego ojciec dwadzieścia lat temu opuścił Lizen* i przeniósł się do Warszawy. On sam zaś, otrzymawszy obywatelstwo, skończył prawo i doszedł do stanowiska inspektora, jednak wciąż drażniło go lekceważenie jawnie okazywane wobec kraju, z którego pochodzili jego przodkowie.

– Chodźmy do starego, trzeba go o wszystkim powiadomić – powiedział oschle.

– O dziesiątej mam asystę w sądzie komturalnym. – Adam spojrzął na zegarek. – Powinienem już tam być.

– Czyś ty zwariował?! – Zygmunt postukał się w czoło. – Nie widzisz, co się dzieje? – Wskazał na ciągle powiększający się tłum. – Rób zresztą co uważasz, ja idę do starego.

Nie oglądając się na braci, ruszył zdecydowanym krokiem. Zatrzymał się dopiero na piętrze, gdzie mieścił się gabinet naczelnego inspektora. Dochodziła dziesiąta, lecz szef nie miał zwyczaju rozpoczynać pracy wcześniej niż o jedenastej. Armknecht spoglądał z wahaniem na drzwi, przestępując z nogi na nogę.

– Niech tam. Nie ma na co czekać – mruknął pod nosem. Zapukał zdecydowanie i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Naczelny inspektor, Jan Kociemba, siedział za wielkim, dębowym biurkiem, czytając raporty z dnia wczorajszego. Starszy jegomość z wydatnym brzuchem, ubrany w przepisowy, szary kaftan sądowy spojrzął na podwładnego przenikliwym wzrokiem.

– Co cię sprowadza, młody człowieku, o tak wczesnej porze? O ile pamiętam, miałeś być dziś w Grumbach. Sprawa numer sto dziesięć, o bezprawną interwencję policji krzyżackiej wobec obywatela Rzeczypospolitej.

Armknecht skinął głową, przełykając głośno ślinę. Zawsze, ilekroć stawał przed Kociembą, nabierał przygnębiającej pewności, że musi minąć jeszcze sto lat, zanim osiągnie takie doświadczenie. Pamięć starego była legendarna. Znał wszystkie sprawy prowadzone przez delegaturę nie gorzej niż inspektorzy, którym je przydzielono.

– To prawda, byłem w wiosce dziś rano. – Armknecht rozejrzał się w poszukiwaniu krzesła. – Musiałem jednak stamtąd uciekać.

Nie znalazł miejsca, na którym mógłby spocząć i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, wręcz głupio.

Naczelny inspektor spojrzął na podwładnego spod przymrużonych powiek.

– Opowiedz, co tam się stało. – W jego głosie pojawiła się nowa nuta.

– Dotarłem na miejsce około godziny ósmej – zaczął Armknecht. – Zgodnie z procedurą, udałem się na posterunek policji, aby ustalić przebieg zdarzeń. Z akt wynika, że niejaki Gustaw Nagi, obywatel Rzeczypospolitej, urządził w karczmie awanturę, zdemolował całą

* niem. Giżycko

salę, po czym próbował ją podpalić. Został zatrzymany, a kiedy wytrzeźwiał, zażądał przybycia inspektora, twierdząc, że jego zatrzymanie było niezgodnie z prawem.

– Znam sprawę. Ten warchoł myśli, że w Rzeczypospolitej zostanie uniewinniony. Niedoczekanie jego. U nas dostanie pięć lat bez prawa do apelacji. – Naczelnym nabił fajkę, spoglądając uważnie na Armknechta.

– Kiedy dotarłem na miejsce, na posterunku przyjęto mnie bardzo chłodno. Policjanci, zamiast postępować zgodnie z procedurą, nie dopuścili mnie do zatrzymanego, tłumacząc się rozkazami. Po kwadransie przybył oficer. – Inspektor nabrał głęboko powietrza. – Powiedział, że od północy Zakon przestał respektować Postanowienia Toruńskie i wszelkie inne umowy. Dodał, że Zakon nie uznaje już zwierzchności Rzeczypospolitej. Próbowałem protestować, ale pod posterunkiem zebrał się tłum, który żądał mojego wydania. – Na wspomnienie tych wydarzeń twarz Armknechta znów powlekła się bladeścią. – Ledwie zdążyłem dotrzeć do samochodu. Gdybym został tam chwilę dłużej, kto wie, co by się stało.

Inspektor zamilkł, wpatrując się z napięciem w twarz przełożonego.

Kociemba nie odzywał się przez chwilę, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Co się dzieje? – Spojrzał zdziwiony na aparat. – Zepsuł się, czy co?

Zakręcił raz jeszcze korbką, marszcząc czoło. Odpowiedziała mu cisza.

– Podejrzana sprawa – powiedział w zamyśleniu.

– Co tu się dzieje? – Armknecht poruszył się niespokojnie, zerkając w stronę okna.

– Tego jeszcze nie wiem, ale trzeba to niezwłocznie wyjaśnić...

Naczelnym nie dokończył, bowiem drzwi gabinetu otworzyły się z impetem i do środka wpadł mały grubasek z okularami zsuniętymi na koniec nosa, gładko wygoloną głową lśniąca od potu i wielkim brzuchem, śmiesznie podskakującym w rytm kroków.

– Widzę, panie Abdak, żeś dobrych manier jeszcze nie zdążył się nauczyć. – Kociemba spojrzął chłodno na przybysza.

– Wybacz, szefie... – wysapał tamten. – Mieszczanie stoją przed bramą! Po mojemu, to chcą nas stąd wykurzyć!

– Twoje słownictwo osobliwie przypomina mi karczemną gwarę. Bądź tak dobry i zamknij drzwi. – Kociemba podniósł się z fotela i podszedł wolno od okna. Odchylił firanę. W tej samej chwili brzęknęło rozbite szkło.

– Niech pan uważa! – Armknecht podskoczył nerwowo.

– Nic się nie stało. – Naczelnym inspektor spojrzął na leżący u jego stóp kamień.

– A nie mówiłem? – Abdak zatrzepotał rękoma. – Trzeba wezwać pomoc!

Rzucił się do telefonu i pokręcił zapamiętane korbką.

– Daj spokój, to nic nie da. Odcięli telefony. – Armknecht oparł się ciężko o biurko i popatrzył wyczekująco na szefa delegatury. – Co teraz?

– Musimy poznać przyczynę tego aktu wandalizmu. Uważasz, że powinniśmy siedzieć tu z założonymi rękoma?

– Czyja wiem? Może lepiej nie ryzykować...

Naczelnny inspektor zignorował tę radę i opuścił gabinet. Minął szeroki korytarz, kierując się na parter. Drzwi wyjściowe były otwarte na oścież. Kociemba wyszedł na zewnątrz, mrużąc oczy w promieniach słońca. Jego twarz nagle spoważniała. Całą ulicę wypełniał milczący tłum. Kilku mieszczan, ściskając w dłoniach stare flinty, weszło na teren delegatury.

– Na miłość boską! Oni są uzbrojeni! – Zza pleców Kociemby wychylił się roztrzęsiony Abdak.

– Precz stąd, okupanci! Wracajcie do siebie! – Wraz z groźbami z tłumu poleciały kamienie.

– Skąd mają broń?! Co tu się dzieje?! – Armknecht dopiero teraz zauważył opaski na ramionach brzuchatych starszych panów i młodzieńców-gołowąsów. – Oni ogłosili pospolite ruszenie!

Tymczasem wśród zgromadzonych zapanowało nagle ożywienie. Coraz więcej ludzi spoglądało w stronę rynku. Poprzez szemranie tłumu dał się słyszeć miarowy stukot podkutych butów.

Mieszczanie wycofali się na drugą stronę ulicy. Po chwili zza kamienicy naprzeciw kościoła wysunął się równy szereg ubranych w granatowe mundury żołnierzy krzyżackich. Maszerowali rytmicznie, trzymając broń na ramieniu. Na ich widok, wśród mieszkańców Mohrungen zapanowała euforia. Radosne okrzyki niemalże zagłuszały rozkazy oficerów. Oddział stanął.

– Na prawo, patrz!

Szereg wykonał zwrot w stronę budynku delegatury.

– Broń na pozycje!

Żołnierze oparli karabiny na biodrach.

– Co oni robią! Chyba nie będą strzelać! – Choć Armknecht mówił cicho, w jego głosie dźwięczały aż nadto wyraźne nuty paniki.

– Zachowajcie spokój. – Naczelnny inspektor podszedł wolno do żołnierzy.

– Chciałbym rozmawiać z oficerem.

Młody kapitan zaszalutował. Kociemba odpowiedział mu zdawkowym ukłonem, obrzucając przy tym badawczym spojrzeniem.

– Chciałbym dowiedzieć się, dlaczego zakłócony został nasz spokój i dlaczego ci ludzie chcieli wtargnąć na teren delegatury. Według prawa ten budynek jest częścią Rzeczypospolitej i takie postępowanie równa się pogwałceniu granic.

Oficer bez słowa wyjął z kieszeni białą kopertę i podał Rzepliecie. Inspektor otworzył ją niespiesznie, sięgnął po okulary i zaczął czytać.

– W tym piśmie władze Zakonu nakazują nam niezwłoczne opuszczenie delegatury pod groźbą użycia siły. Zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza? – Podniósł wzrok znad kartki.

– Otrzymałem rozkaz eskortowania was do granicy. – Kapitan wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie zamierza podejmować dyskusji w temacie.

– Co stanie się, jeśli odmówimy?

– Zmuszeni będziemy do podjęcia działań mających na celu wykonanie rozkazu. – Twarz oficera pozostała niewzruszona. – Proszę pana, aby ewakuacja zakończyła się w ciągu kwadransa. Macie prawo do zabrania rzeczy osobistych, zaś całe wyposażenie delegatury musi pozostać na miejscu – dodał tonem wykluczającym jakiegokolwiek dalsze negocjacje. Kociemba nawet nie próbował ich podejmować. Ograniczył się jedynie do kolejnego nad wyraz uważnego spojrzenia.

– Rozumiem – skwitował w końcu i wrócił na dziedziniec.

– I co? Czego chcą? – spytał Armknecht.

– Mamy opuścić teren delegatury w przeciagu kwadransa. – Naczelnny mówił spokojnie, lecz jego zaciśnięte dłonie świadczyły o skrajnym napięciu.

– W ciągu kwadransa? Czy oni oszaleli? – Przez chwilę wściekłość okazała się silniejsza niż strach młodego inspektora. – Czy nie zdają sobie sprawy, czym grozi napad na delegaturę?! Rzeczpospolita nie puści tego płazem! Za kilka dni wejdą tu nasze wojska!

– Nie byłbym tego taki pewien. To wszystko musiało być przygotowane znacznie wcześniej. – Kociemba pokręcił głową z niedowierzaniem. – Pospolite ruszenie w pełnej gotowości i wojsko. Mamy do czynienia z zaplanowaną akcją.

– Ale dlaczego oni to robią? Przecież jeszcze wczoraj wszystko wyglądało normalnie! – Armknecht spoglądał bezradnie na bramę delegatury.

– Moim zdaniem, to powstanie przeciwko Rzeczypospolitej. – Naczelnny inspektor powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli od dłuższego czasu. – Wypowiedzieli traktaty i umowy, a teraz pozbywają się naszego wymiaru sprawiedliwości.

– Jak to pozbywają się, przecież jesteśmy tu dla ich dobra? – zdziwił się mimowolnie Abdak.

– Co z archiwum, szefie? – Do Kociemby podszedł jeden z aplikantów.

– Postępujemy zgodnie z instrukcjami – padła ściszona odpowiedź.

– Mam iść...

– Pójdziecie razem. – Naczelnny inspektor ruchem głowy wskazał na Armknechta.

– A my? Co mamy robić? – Z grupy stojącej pod drzwiami wystąpiła sekretarka.

– Zabierzcie rzeczy osobiste i szykujcie się do wyjazdu.

Personel delegatury ruszył pospiesznie do budynku. Na placu przy bramie pozostał tylko naczelnny inspektor i trzęsący się za strachu Abdak.

Kilka minut później od strony rynku nadjechał czarny Toor 560, z którego wysiadł wysoki mężczyzna w granatowym kaftanie krzyżackiego sędziego. Zamienił ścisłym głosem kilka zdań z oficerem, po czym zbliżył się wolno i niepewnie wyciągnął rękę w stronę Kociemby.

Naczelnny inspektor popatrzył mu prosto w oczy. Dłoń Krzyżaka zawisła w powietrzu. Zapadło krępujące milczenie.

– Witaj, Janie – odezwał się w końcu sędzia. – Pewnie nie uwierzysz, ale jest mi naprawdę przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Jakże to są okoliczności, Gotfrydzie? Może udzieliłbyś mi kilku wyjaśnień w tej kwestii? Domyślam się, że wiesz, co tu się dzieje? – Głos naczelnego inspektora był zimny jak lód.

– Pozwól, że nie odpowiem na to pytanie. Za kilka godzin dowiesz się wszystkiego, lecz teraz... sam rozumiesz... – Krzyżak rozłożył ręce.

– Rozumiem, że naruszyliście wszystkie umowy i postępujecie niezgodnie z prawem. Dziwne jest dla mnie to, że ty, człowiek służący prawu, przychodzisz do mnie w takiej chwili. Powiedz mi, jak czujesz się, kiedy za twoimi plecami stoi setka uzbrojonych żołnierzy? Czy tak według ciebie wygląda praworządność? – spytał Kociemba tym samym tonem.

Krzyżacki sędzia podniósł głowę, a jego twarz pociemniała.

– Zarzucasz mi brak poszanowania prawa? Drażnią cię ludzie za moimi plecami? Co zaś powiesz na dziesiątki tysięcy żołnierzy Rzeczypospolitej, którzy stoją za twoimi plecami? Czy nie raz rozmawialiśmy o sprzecznym z wszelkimi zasadami praworządności podwójnym systemie sądowym? Sam nazwałeś ten system upokarzającym dla naszego kraju. Czy nie byłeś świadkiem, jak moje postanowienia niezależnego sędziego były zmieniane przez sądy Rzeczypospolitej tylko dlatego, że naruszały wasze interesy? Wiesz dobrze, że nie miało to zbyt wiele wspólnego z praworządnością. Zaprzeczysz może, że wywierano na ciebie naciski, kiedy chodziło o tak zwane „dobro Rzeczypospolitej”?

– A ty zaprzeczysz temu, że nigdy nie pozwalałem, aby polityka wzięła górę nad prawem? – odparował Kociemba. – Nie żyjemy w idealnym świecie, wiesz o tym dobrze, lecz nigdy nie pozwalałem, abyście czuli się upokorzeni naszą obecnością. Starałem się zawsze kierować naczelną zasadą państwa prawa. Ilekroć zabierano ci sprawę, pilnowałem, aby w Rzeczypospolitej złoćnicy byli traktowani z całą surowością. Powiedz mi, czy i ty uległeś emocjom? Wiesz przecież, że Rzeczpospolita nie puści płazem naszego wygnania. Droga prawa uda się wam wywalczyć znacznie więcej niż w ten sposób! – Wskazał na żołnierzy.

Sędzia popatrzył za siebie, na zacięte twarze mieszczan i nieruchome sylwetki zbrojnych.

– Uczymy się od was – powiedział. – Lud Zakonu nie chce już nowych deputacji i odwołań. Dla nich to rzeczy nieznanne i wrogie. Patrząc na was, zrozumieli, że liczy się tylko brutalna siła, która daje niezależność.

– Brutalna siła nie jest rozwiązaniem... – Naczelnny inspektor przerwał nagle, bowiem na płocie delegatury pojawił się kudłaty wyrostek, który przeskoczył zwinnie na drugą stronę i dopadł metalowego słupa, stojącego tuż obok garaży. Pod pachą trzymał zawiniątko. Wspiął się szybko na szczyt masztu, gdzie, poruszana wiosennym wiatrem, powiewała flaga Rzeczypospolitej. Zdecydowanym ruchem zerwał ją i rzucił w stronę tłumu. Trzymając się

nogami słupa, rozwinął flagę krzyżacką i przymocował materiał do grubej liny. Zebrani na ulicy ludzie powitali jego gest z nieopisanym entuzjazmem.

Flaga Rzeczypospolitej, darta na strzępy, przestała istnieć w mgnieniu oka. Niewielki jej skrawek, nadziany na koślawy badył, podpalono, podając sobie z rąk do rąk. Na budynek delegatury znowu poleciały kamienie.

– Tego się od nas nauczyliście? – Kociemba spojrzął na sędziego wyzywająco. Sędzia uśmiechnął się słabo.

– Dla ludzi liczą się symbole. Powinieneś o tym wiedzieć. Powiewająca flaga, sztandary i werble, to wszystko rozpala wyobraźnię i sprawia, że rzecz, o którą walczymy, staje się bliższa...

Popatrzył na budynek delegatury. Z okna wychodzącego na ulicę wypełzły kłęby dymu.

– Więc jednak jesteś posłuszny instrukcjom. – Pokiwał głową. – Kazałeś spalić archiwum, żeby nikt nie dowiedział się o sprawkach Rzeczypospolitej?

– Stajesz się nieprzyjemny – skwitował oschle naczelny inspektor.

Na widok płomieni, które poczęły wydobywać się z okien, żołnierze ruszyli w stronę budynku.

– Stać! – Sędzia zdecydowanym gestem zatrzymał szereg. – Żegnaj, Janie – powiedział pospiesznie. – Mam nadzieję, że mimo wszystko zachowasz dobre wspomnienia z Morąga. Choć pewnie nigdy już się nie zobaczymy, chciałbym, żebyś wiedział, że zawsze uważałem cię za doskonałego prawnika.

Kociemba skinął głową.

– Żegnaj, Gotfrydzie. Być może jeszcze się spotkamy. Mam nadzieję, że wtedy nie będą stały za mną tysiące żołnierzy.

Pięć samochodów opuściło wolno teren delegatury. Żołnierze utworzyli żywy mur, chroniący je przed atakiem wzburzonego tłumu. Trzy policyjne kobuzy ruszyły w eskorcie za kolumną. Czwarta Delegatura Rzeczypospolitej przestała istnieć.

Rozdział 8

Marienburg

20 maja 1957 roku

W sali obrad Sejmu Komturalnego panowała grobowa cisza. Czterdziestu posłów, skupionych przy oknach, spoglądało z przerażeniem na tłum mieszczan maszerujący Dominikanerstrasse*. Dziesiątki ludzi podążały na rynek, gdzie odbywał się właśnie całkowicie spontaniczny wiec, popierający ogłoszoną przed kilkoma godzinami mobilizację. Napięcie już od rana zdawało się niemalże krystalizować w powietrzu. Około pierwszej w nocy mieszkańców osiedli położonych na obrzeżach miasta obudził odgłos setek silników, dobiegający od strony pobliskiej autostrady. Długa kolumna wojskowych pojazdów osiemnastego regimentu „Marienburg” zmierzała na zachód – ku pobliskiej granicy. Wzmocnione siły policyjne patrolowały miasto, szczególnie w rejonie szóstej delegatury. Nietrudno było zauważyć, iż policja nie tyle pilnuje delegatury, co raczej blokuje ją, uniemożliwiając urzędnikom jej opuszczenie. W telewizji i radiu, zamiast normalnych programów i audycji, nadawano tylko na okrągło Heldenlied* – starą pieśń powstańców, którzy niemal dwieście lat temu stanęli do walki o wolność Zakonu. Dopiero o ósmej rano spiker Königsberga drżącym ze wzruszenia głosem zapowiedział nadzwyczajny komunikat, który wygłosić miał Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego. Wszelki ruch zamarł. Ludzie ze zdumieniem słuchali niezwykłych słów. Zakon, po stu osiemdziesięciu pięciu latach niewoli, wypowiadał posłuszeństwo swojemu ciemieżycielowi. Choć już od dłuższego czasu krążyły plotki i snuto domysły, że coś się dzieje, to jednak nikt nie przeczuwał tak niespodziewanego obrotu spraw.

Godzinę po ogłoszeniu mobilizacji ogarnięci euforią mieszkańcy miasta poczęli się gromadzić pod siedzibą Sejmu. Choć minęło południe, budynek pozostał milczący. Nieruchomi niczym kamienne posągi strażnicy nie dopuszczali nikogo w pobliże bramy.

* *niem.* ulica Dominikańska

* *niem.* Pieśń bohaterska – hymn Związku Mieszczańskiego skupiającego spiskowców, którzy 18 stycznia 1772 roku wystąpili przeciwko Rzeczypospolitej.

Podniosły nastrój powoli dawał pola niepewności. Nagle przez tłum przebiegła wieść, że na rynku wywieszono listy pospolitego ruszenia.

Marszałek Sejmu, Otto von Kamiński, odsunął się od okna i wolnym krokiem wszedł pomiędzy fotele. Usiadł ciężko, objął głowę rękoma, jakby dobiegający z ulicy gwar drażnił do niepomiaru.

– Mój Boże! Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje?! – Skarbnik Komturii, Jan Pałko, powiódł przerażonym wzrokiem po twarzach zebranych.

– Nie widzisz? – Marszałek nawet nie drgnął. – Ci idioci ogłosili właśnie powstanie przeciwko Rzeczypospolitej.

– Przecież to szaleństwo! Mistrz oszalał! – Skarbnik nie potrafił zachować nawet pozorów spokoju. – Rzeplici wyślą przeciw nam wojska!

Von Kamiński nie odpowiedział, tylko zerknął w stronę Naczelnego Sędziego Komturii, Gustawa Naumanna, który, o fotel dalej, przeglądał z roztargnieniem poranne wydanie lokalnej gazety.

– Wiesz, co dzieje się w terenie?

– Zdążyłem dotrzeć tylko do Reichenau^{*}, ale to, co zobaczyłem, wystarczy – odparł posepnie sędzia.

– Jak to wygląda?

– Nie najlepiej. – Naumann odłożył gazetę i skrzywił się z niechęcią. – Ludzie przyjęli wystąpienie Mistrza z entuzjazmem i chcą walczyć. Biedni głupcy. Jest wprost niemożliwe, żeby do tego stopnia zapomnieli, jak potężne siły stoją za Wisłą.

– Cieszą się i chcą walczyć? – Marszałek uśmiechnął się gorzko. – Nie minie tydzień, a armia Rzeczypospolitej stać będzie pod Königsbergiem. Ilu z nich zginie? Stracimy wszystko to, co osiągnęliśmy do tej pory. – Potarł nerwowo czoło. – Przekłęci dranie! Wiodą naród ku przepaści!

– Uspokój się... – Sędzia przechylił się nad oparciem i położył mu dłoń na ramieniu. – Nie doceniliśmy naszych przeciwników. Ci ludzie wiedzą dobrze, jak porwać za sobą tłumy. Mobilizacja, opaski na ramieniu, karabiny w garści i wypędzenie inspektorów. To działa na wyobraźnię. Lud czuje się panem sytuacji. Zmieni zdanie, kiedy Druga Armia Litewska i dywizje pomorskie wezmą Zakon w kleszcze.

– Musimy uciekać! – Skarbnik wystąpił na środek sali, zerkając niespokojnie w stronę okien. – Skoro odważyli się napaść na delegatury, na pewno zaatakują Sejm!

– To prawda! Zostaniemy aresztowani! – zawtórował któryś z posłów.

– Trzeba wpieryw zorientować się w sytuacji! – Marszałek uniósł rękę, by zapanować nad tumultem. – Mamy łączność z innymi Komturiami?

– Telefony nie działają od rana. – Pokręcił głową sędzia. – Dranie pomyśleli o wszystkim.

* Rychnowo

– Nie wiem jak wy, ale ja się stąd wynoszę! – Pałko obrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia.

Kilkunastu posłów poszło w jego ślady. Nie zdążyli jednak nawet dotrzeć do drzwi, gdy na dziedzińcu sejmowym rozległa się nagle seria wystrzałów. Ekspłodował granat, odłamki rozbitego szkła posypały się na zaskoczonych ludzi. Posłowie upadli na podłogę. Rozległy się okrzyki przerażenia, ktoś wzywał pomocy. Neumann i von Kamiński podpełzli do okna i przycupnęli pod parapetem, nasłuchując dobiegających zza okien odgłosów. Pośród krzyków i wrzasków, które rozlegały się na dziedzińcu, pojawił się nagle nowy, bardzo niepokojący dźwięk. Klekot czołgowych gąsienic. Marszałek podniósł się z klęczek, przywarł do ściany i wychylił ostrożnie głowę. Na widok sunącego wolno czołgu zamarł z otwartymi ustami.

– Co to jest, do cholery?! – wykrztusił, kiedy już udało mu się zapanować nad wzburzeniem. – Co oni wyprawiają?!

– To jest dowód na to, że naprawdę ich nie docenialiśmy – powiedział ponuro Naumann, który również obserwował niezwykle widok. – Mistrz chyba rzeczywiście oszalał.

Na dziedzińcu żołnierze rozbierali oszołomioną rozwojem wypadków straż sejmową. W korytarzu zadudniły podkute buty. Posłowie cofnęli się w popłochu pod mównicę, kiedy pchnięte z drugiej strony drzwi stanęły nagle otworem. Gromada komturalnych wbiegła na salę.

– Ręce na głowy! Szybko!

Żołnierze bezceremonialnie obszukiwali każdego z posłów, ustawiając ich rzędem pod ścianą. Von Kamiński podszedł szybko do młodego porucznika, dowódcy komturalnych.

– Jakim prawem wtargnęliście na teren Sejmu! To zwykła napaść i bezprawie!

– Od północy Zakon Krzyżacki nie uznaje już Postanowień Toruńskich – poinformował go chłodno oficer. – Działalność wszystkich Sejmów od tej chwili jest nielegalna.

– Nielegalna jest wasza akcja. Pańscy mocodawcy...

– Proszę stanąć pod ścianą. – Oficer wymownie poklepał kaburę pistoletu. – Nie zamierzam prowadzić z panem dyskusji.

– Wystąpimy z protestem! – Marszałek zamierzał coś jeszcze powiedzieć, lecz zamilkł, kiedy na dany przez oficera znak dwóch żołnierzy wycelowało w jego stronę karabiny.

– Powiedziałem, pod ścianę. Drugi raz tego nie powtórzę – mruknął ze złością porucznik.

– Nie macie już żadnych praw. Wasz czas minął.

Rozdział 9

Jałta

22 maja 1957 roku

Choć zbliżała się godzina siódma wieczorem i potworna spiekota panująca za dnia ustąpiła bryzie znad morza, Promenada Słońca wyglądała na opustoszałą. Tłumy gości, którzy zwykle o tej porze opuszczali domy gościnne, aby zażyć atrakcji oferowanych przez najsłynniejszą ulicę Krymu, przeredziły się znacznie. Smętni właściciele tatarskich dwukółek, głównego środka lokomocji w zamkniętym dla samochodów centrum miasta, wypatrywali tęsknym wzrokiem klientów. Niezliczone winiarnie – symbol Jałty – również świeciły pustkami. Ten nienaturalny stan rzeczy był najlepszym dowodem na to, że wydarzenia ostatnich tygodni bardzo zaszkodziły największemu czarnomorskiemu kurortowi. Perspektywa wojny z Turcją skutecznie odstręczyła turystów od przyjazdu na Krym, na drogach którego pojawiały się wciąż nowe kolumny wojska, ciągnące w stronę Sewastopola i Teodozji – głównych baz floty czarnomorskiej.

W parku Białego Pałacu panował już zmierzch. Korony wiekowych drzew poruszał lekki wiatr, tłumiący słowa rozmowy, jaką toczyło dwóch mężczyzn. Przechadzali się wolnym krokiem środkiem szerokiej alei prowadzącej w stronę lądowiska dla śmigłowców. Starsi panowie ubrani w luźne letnie koszule wyglądali na nobliwych seniorów, którzy korzystając z pięknej pogody, wybrali się na wieczorną przechadzkę.

– ...Podzielałam pańską opinię, że mimo niechętnych gestów Nowego Krakowa nasze kontakty z Afrykanami ulegną wkrótce poprawie. Jest przecież rzeczą niemożliwą, aby pamięć o... powiedzmy, nieprzyjemnym incydencie mogła zaważyć na naszych przyjacielskich stosunkach. Sądzę, że musi minąć po prostu trochę czasu i zgoda powróci. – Kroczący obok Maksyma Chmielnickiego mężczyzna, wyższy od Kanclerza o głowę, którego postura przywodziła na myśl wielkiego, ospałego niedźwiedzia, mówił wolno, ważąc każde słowo. – Chciałbym również nadmienić, że nasze stronnictwo odcina się w sposób zdecydowany od wyrażanych przez pewnych ludzi opinii, jakoby za śmiercią Wiśniowieckiego stały siły specjalne Rzeczypospolitej. Uważamy, że w obecnej chwili

ustalenie sprawców zamachu wydaje się niemożliwe. Być może nawet, ze względu na wspólne dobro całego polskojęzycznego świata, winnych nikt nie powinien szukać. Rzeczą bowiem najważniejszą jest to, że udało się powstrzymać wybuch konfliktu zbrojnego, którego skutki mogłyby być zgubne dla nas wszystkich. – Mrukliwy jegomość przystanął, czekając na reakcję gospodarza.

Chmielnicki zatrzymał się również. Wyraz jego twarzy był pogodny i przyjacielski, lecz spojrzenie pozostało czujne. Słowa, które przed chwilą usłyszał, stanowiły dla niego dużą niespodziankę. Nie spodziewał się, że jego przeciwnicy polityczni nie będą starali się wykorzystać śmierci Wiśniowieckiego do własnych celów. Chcąc zyskać na czasie, sięgnął do kieszeni po fajkę i nabijając ją, przyglądał się ukradkiem swojemu rozmówcy.

Adam Żubr, spadkobierca legendarnej fortuny, jego kontrkandydat w nadchodzących wyborach na najwyższy urząd państwowy, wzbudzał w Kanclerzu mieszane uczucia. Chmielnicki wyczuwał godnego przeciwnika, zdeterminowanego w dążeniu do władzy, lecz jednocześnie oddanego Rzeczypospolitej bez reszty. To jedno budziło w Kanclerzu odruch sympatii. Gdy dwa dni temu do Białego Pałacu dotarło pismo z prośbą o osobiste spotkanie, nie był pewien, czy powinien wyrazić na nie zgodę. Szalę przeważało jednak wystąpienie w Sejmie przywódcy bezherbowych, w którym zdementował dziennikarskie rewelacje, jakoby opozycja posiadała dowody na to, że za zabójstwem Wiśniowieckiego stoi najwyższy urzędnik Rzeczypospolitej.

– Ja również cieszę się, że sytuacja w Afryce wraca do normy – odrzekł Kanclerz uprzejmym tonem. – Mamy potwierdzone informacje, że zarówno armia egipska, jak i Korpus otrzymały rozkaz powrotu do koszar, więc można powiedzieć, że wojna w Afryce już nam nie grozi...

– Ciągle pozostaje, niestety, nierozwiązany problem Turcji – przerwał mu szybko Żubr. – Niepokoi nas sytuacja na Kaukazie. Zdaje pan sobie chyba sprawę, czym może skończyć się opanowanie przez Imperium Osmańskie tamtejszych pól naftowych. – Spojrzenie wielkoluda spochmurniało, a głos stał się zdecydowany i oschły – Wie pan dobrze, że z tego rejonu pochodzi ponad połowa naszego importu. Utrata tego obszaru będzie prawdziwą katastrofą. Nie wolno do tego dopuścić. Uważam, że powinien pan podjąć kroki zdecydowanie zmierzające do jak najszybszego załagodzenia sporu z niewiernymi.

Maksym Chmielnicki uniósł dumnie głowę, starając się nie okazać gniewu, wywołanego przez sposób, w jaki Żubr przedstawił powód chwilowego zawieszenia broni. Zaraz jednak uznał, że popełnia błąd, nie doceniając pojednawczego gestu przywódcy bezherbowych. Jego przeciwnik, który mógł przecież wykorzystać zamieszanie związane z tajemniczą śmiercią Wiśniowieckiego, zrezygnował z doskonałej okazji zniszczenia swojego konkurenta. Zamiast walki, która pograżyłaby kraj w chaosie, wybrał współpracę dla dobra Rzeczypospolitej, kiedy jej żywotne interesy zostały zagrożone.

– Ja również uważam, że należy uczynić wszystko, aby nie dopuścić do zajęcia przez Turków pól naftowych. – Chmielnicki skinął głową; on także niepokoił się sytuacją na Kaukazie. Przekłęci niewierni, pragnąc zmusić Rzeczpospolitą do zaniechania marszu na południe, zgromadzili u granic Gruzji i Azerbejdżanu siły, w przypadku wybuchu konfliktu błyskawicznie mogące uporać się z nielicznymi stacjonującymi w tym rejonie świata jednostkami Rzeczpospolitej. Szybka odsiecz nie wchodziła w rachubę. Rosja, dla której utrata kaukaskiej ropy nie oznaczała katastrofy energetycznej, z pewnością nie wyraziłaby zgody na przemarsz wojsk przez swoje terytorium. Pamięć o niedawnej Drugiej Wojnie Wschodniej*, zakończonej podpisaniem upokarzającego dla Imperium Carów traktatu pokojowego, była wśród Rosjan wciąż żywa. – Pragnę pana zapewnić, że podejmę wszelkie działania w celu powstrzymania dalszej eskalacji konfliktu. – Kanclerz wypuścił kłęb dymu i po chwili wahania dodał: – W dniu jutrzejszym udaje się do Istambułu delegacja z propozycją zawarcia porozumienia. Zarówno ja, jak i znaczna część naszego stronnictwa dążymy do pokojowego rozwiązania konfliktu.

– A pozostała część? – zapytał szybko Żubr. – Czy jest pan pewien, że zdoła pan odwieść swoich przyjaciół od pomysłu marszu na Istambuł?

– Jestem pewien, że zdołam tego dokonać. – Chmielnicki zmierzył rywala wyzywającym spojrzeniem. – Zastanawiam się jednak, czy nasze głosy wystarczą. Tak się bowiem składa, że w kwestii wojny z Turcją linia podziału na herbowych i bezherbowych dawno już uległa zatarciu. Wśród was również są tacy, którzy pragną zniszczenia Imperium Osmańskiego. Jak zachowają się podczas głosowania?

– O to może pan być spokojny. – Na twarzy Żubra pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. – Nie dopuszczę, aby oddali kreskę za wojną.

Chmielnicki skinął głową, starannie maskując ulgę i radość. Dręcząca go wizja głosowania, w której większość zgromadzenia narodowego opowiada się za konfliktem zbrojnym z Turcją, odeszła w przeszłość. Jednomyslność dwóch największych stronnictw w Sejmie gwarantowała zachowanie pokoju. – Wydaje mi się więc, że doszliśmy do porozumienia – powiedział powściągliwie.

– Ja też tak uważam. – Żubr wydawał się być równie zadowolony z przebiegu rozmowy.

W milczeniu pokonali ostatni odcinek dzielący ich od położonego na tyłach Białego Pałacu łądowiska, gdzie oczekiwał prywatny śmigłowiec najbogatszego Europejczyka. Kanclerz zatrzymał się na skraju betonowej płyty i wyciągnął rękę w stronę swojego politycznego adwersarza.

* Druga Wojna Wschodnia – jej bezpośrednią przyczyną było zawarte pomiędzy Turcją i Rosją tzw. porozumienie naftowe, którego wynikiem była gwałtowna zwyżka cen ropy. 15 marca 1924 roku po fiasku negocjacji z Moskwą armia Rzeczpospolitej przekroczyła granicę rosyjską. 18 sierpnia 1925 roku po zaciętych walkach, w których zginęło blisko trzysta tysięcy żołnierzy i cywilów, oddziały czwartej armii Megapolis wkroczyły do Baku, osiągając wybrzeże Morza Kaspijskiego. Zawarty 19 grudnia 1926 roku traktat pokojowy przywrócił niepodległość Gruzji i Azerbejdżanu, których władze zmuszone zostały do wyrażenia zgody na stacjonowanie wojsk Rzeczpospolitej na swoim terytorium przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

– Dziękuję za przybycie. – Kanclerz starał się, by jego słowa zabrzmiały szczerze. – Pańska wizyta to dla mnie prawdziwy honor.

– Zaszczyt to dla mnie – odparł wstrzemięźliwie Żubr. Uścisnął mocno dłoń Chmielnickiego, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę śmigłowca. Pilot uruchomił silnik. Chwilę później niewielka maszyna wzbiła się w powietrze, obierając kurs na zachód.

Kanclerz w milczeniu obserwował oddalający się śmigłowiec. Dopiero teraz ustąpiło z niego napięcie. To krótkie, trwające zaledwie godzinę spotkanie kosztowało go wiele sił. Czekał na nie cały dzień, ale było warto. Opadł ciężko na jedną z ławek w alejce prowadzącej do pałacu i przez chwilę delectował się widokiem nieba, na którym pojawiły się pierwsze gwiazdy. Poczul, że jest naprawdę szczęśliwy. Zapobiegł wojnie w Afryce. Nie dbał o to, czy potomność oskarży go o zabójstwo Wiśniowieckiego. Nawet jeśli zostanie uznany za winnego, to przecież przyświecał mu cel nadrzędny – dobro Rzeczypospolitej. Zrobił to, co konieczne. Pomyślność kraju była rzeczą najważniejszą. Niebawem zawrze porozumienie z Turkami i nawet jeśli przegra wybory, z pewnością nie przejdzie do historii jako ten, za sprawą którego Rzeczpospolita pogrążyła się w długiej, bezsensownej wojnie.

Poczul nagle ochotę na wino. To był bardzo dobry znak. Uśmiechnięty i rozluźniony oddał się marzeniom o czekających go jeszcze latach życia, kiedy to być może nie będzie już musiał troszczyć się o losy ojczyzny. W tej właśnie chwili podjął decyzję, że jeśli przegra wybory, przyjmie ów fakt ze spokojem. Przyłapał się na tym, że ma już dość sprawowanego urzędu. Może jego czas już minął? Dziś zrozumiał, że ma godnego następcę. A że bezherbowy? No cóż. Kto wie, czy dawne podziały nie powinny odejść już do lamusa. Ten człowiek mógł objąć przywództwo wielkiego narodu Rzeplitów.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków od strony pałacu.

– Co tam, Walery? – zwrócił się do swojego sekretarza, który stanął kilka kroków przed ławką. – Co to jest? – zapytał, spostrzegłszy w jego ręku złożoną na dwoje kartkę papieru.

– Wiadomość z Wilna. – Głos sekretarza był dziwnie poważny. – Krzyżacy zamknęli granice. Odmawiają na razie wyjaśnień. Podejrzewamy, że w protektoracie doszło do buntu.

Kanclerz wstał z ociąganiem z ławki i sięgnął po meldunek. Jego dobry nastrój prysnął jak bańka mydlana.

– Co to, do cholery, znaczy? – Spojrzał na sekretarza chmurnie. – Zamknęli granice? Dlaczego?

– Tego, niestety, nie wiemy...

Chmielnicki raz jeszcze przebiegł wzrokiem treść meldunku. Bunt w protektoracie? Nie donoszono mu o jakichkolwiek problemach w tym rejonie. Ta informacja była równie mało prawdopodobna jak lądowanie kosmitów we Lwowie.

– Chodźmy do pałacu – odezwał się nagle. – Muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

Rozdział 10

Północny Bałtyk

21 maja 1957 roku

Na pomoście niszczyciela raketowego „Ryga” panowała ciężka cisza. Dowódca okrętu, komandor Izaak Kulis, przyglądał się w milczeniu jednostkom Ostseeflotte, które mijaly niszczyciela w odległości jakichś dwóch mil morskich. Jego uwagę przykuwały dwa potężnie uzbrojone krążowniki – „Ulryk von Jungingen” i „Königsberg”. Komandor zdawał sobie sprawę, że jeśli Krzyżacy zdecydują się na atak, jego okręt nie będzie miał w tym starciu żadnych szans. Myśl ta nie polepszała i tak podłego nastroju, który męczył go od kilku już godzin. Spojrzał szybko na zegarek i ruchem ręki przywołał swojego zastępcę, Antoniego Jaźwińskiego.

– Wszystkie baterie gotowe? – spytał chmurnie, nie odwracając wzroku od wrogich okrętów.

– Oczywiście. – Oficer skinął głową i spojrzał na dowódcę z namysłem, jak gdyby zastanawiał się, jak zacząć rozmowę.

Komandor dostrzegł jego wahanie.

– Co jest? Mów, co leży ci na sercu.

– Wiesz dobrze, o czym myślę. – Jaźwiński wskazał widoczne w oddali jednostki. – Tu jest chyba cała flota zakonna. Sądzisz, że w takiej sytuacji powinniśmy kontynuować misję? Nie wiemy, jak zareagują, gdy zbliżymy się do tej przeklętej wysepki, lecz mam przeczucie, że raczej nie będą specjalnie zadowoleni. Widać wyraźnie, że pilnują jej jak oka w głowie. Uważam, że należy powiadomić dowództwo o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Nie mają przecież bladego pojęcia, co tu się dzieje! Skoro chcą wysadzić inspektorów, niech przyślą tu pancerniki!

Komandor słuchał swojego zastępcy w milczeniu. Choć ukrywał to skrętnie, jego również dręczyły wątpliwości. Otrzymał rozkaz dotarcia w rejon Wysp Alandzkich i wysadzenia dwóch inspektorów na jednej z nich, wzbudzającej szczególne zainteresowanie dowództwa. Opuścili port w Tallinie wczoraj o godzinie dziewiątej wieczorem i zbliżali się

właśnie do fińskich wybrzeży, gdy około godziny czwartej nad ranem dotarła na okręt wiadomość o „prawdopodobnym buncie w protektoracie”. Komandor długo zastanawiał się, cóż to właściwie może oznaczać, bowiem prócz tej krótkiej, lakonicznej wiadomości nikt nie potrafił udzielić bardziej wyczerpujących wyjaśnień. Kontaktował się z dowództwem, lecz zamiast uzyskać precyzyjne dane, brnął coraz bardziej w informacyjny chaos. Pozwolił sobie na sugestię odstąpienia od misji do chwili ustalenia faktycznego stanu rzeczy, otrzymał jednak kategoryczny nakaz jej kontynuowania. W dowództwie nie wierzono, aby Krzyżacy ośmielili się zaatakować okręt Rzeczypospolitej. On też tak uważał, dopóki nie zobaczył w pełni zmobilizowanej, gotowej do walki Ostseeflotte.

– Musimy kontynuować misję – powiedział, starając się usilnie, by w jego głosie brzmiały spokój i pewność. Następnie podniósł głowę i odezwał się głośniejszym głosem, jakby chciał, żeby wszyscy obecni na pomoście usłyszeli jego słowa:

– Oni wiedzą, że jeśli nas zaatakują, armia Rzeczypospolitej nie puści tego płazem.

Jeden z inspektorów podszedł wolno do dowódcy i spojrzał w stronę krzyżackich okrętów z widocznym lękiem.

– Czy mógłby pan umożliwić mi skontaktowanie się z moimi zwierzchnikami? Muszę złożyć raport o rozwoju sytuacji...

– Pańscy zwierzchnicy kontaktują się z dowództwem floty, które informuje ich o wszystkim na bieżąco – przerwał mu ostro komandor. Zbyt ostro. Zrozumiał to zaraz, gdy dostrzegł chmurne spojrzenie tamtego. – Proszę się niczego nie obawiać – powiedział znacznie łagodniej. – Jeśli napotkacie na problemy, jeśli Krzyżacy będą próbowali stawiać opór, wycofamy się i wezwiemy pomoc.

Nie zwracając już uwagi na inspektora, skierował wzrok ku krzyżackiej flocie. Na pomoście zapadła cisza, a napięcie było wręcz namacalne. Komandor, spięty i chmurny, położył rękę na słuchawce wewnętrznego telefonu, łączącego go bezpośrednio ze stanowiskami wyrzutni raketowych. Czas zdawał się płynąć wolno, bardzo wolno. Jednostki wroga stopniowo pozostawały w tyle. Po kwadransie, który wydał się wiecznością, stało się wreszcie jasne, że Krzyżacy najwyraźniej nie mieli zamiaru atakować samotnego niszczyciela.

– Puścili nas – odezwał się wreszcie Jaźwiński nie kryjąc ulgi. – Miałeś jednak rację. Nie odważyli się na atak.

Izaak Kulis zdawał się nie podzielać radości swojego zastępcy.

– Tu jednak coś nie gra... – zaczął z namysłem.

– O czym mówisz? – Jaźwiński obrzucił go szybkim spojrzeniem. – Myślisz, że coś kombinują?

– Nie wiem – odparł niewyraźnie komandor. – Coś mi tu śmierdzi...

Obrócił się na pięcie i przeszedł szybko przez pomost.

– Czy coś się stało? – Za jego plecami pojawił się natychmiast inspektor. – Odnoszę wrażenie, że...

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku. – Dowódca okrętu uśmiechnął się z wysiłkiem i wskazał na północ, gdzie w odległości trzech mil morskich majaczył niewyraźny kontur wysepki Kuele. – Oto cel waszej misji. Za kwadrans dotrzemy na miejsce i wysadzimy was na brzeg. Czy życzy pan sobie, aby prócz was na ląd zeszło też kilku moich ludzi?

Inspektor pokiwał głową, wyraźnie zadowolony z propozycji komandora.

– Byłbym bardzo zobowiązany. W obecnej sytuacji...

Oślepiający błysk światła, który pojawił się nagle nad wysepką, sprawił, że zebrani na pomoście ludzie zamarli w bezruchu.

– Chryste panie! – Inspektor postąpił krok do tyłu i potrząsnął głową. – Moje oczy! Co się stało! Moje oczy!

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Oniemiali oficerowie przyglądali się w osłupieniu niezwykłemu zjawisku. Jaskrawa, pulsująca kula ognia w ułamku sekundy osiągnęła średnicę dwustu łokci, ogarniając skalistą wysepkę. Jej blask słabł z każdą chwilą, lecz objętość rosła błyskawicznie, przybierając stopniowo postać monstrualnych rozmiarów grzyba, utworzonego z okruchów skalnych i pary wodnej. Wszystko to rozgrywało się w ciszy, która dodatkowo potęgowała wrażenie niesamowitości.

Rzeplici poczuli nagle, jak owionął ich żar, który przenikał przez metalowe ściany pomostu. Odezwały się pierwsze okrzyki, gdy w okręt uderzyło rozpalone powietrze, które rozchodziło się na boki z prędkością przekraczającą prędkość dźwięku. Chwilę później nad wzburzoną powierzchnią morza przetoczył się grom.

Komandor Kulis ocknął się z odrętwienia. Nie potrafił nawet zrozumieć, co wywołało tak potężny wybuch. Wiedział, że powinien szybko coś zrobić, jednak nie mógł oderwać wzroku od olbrzymiego grzyba, którego wysokość osiągnęła już półtora staja.

– Na miłość boską! Co to jest! Co to, do cholery, jest?! – okrzyk Jaźwińskiego zabrzmiał tuż nad jego uchem.

– Antoni! – Kulis dotknął ramienia swojego zastępcy. – Przejmujesz dowodzenie! Utrzymać pełną gotowość bojową!

– Co zamierzasz? – spytał niespokojnie oficer.

– Jak to co? – burknął komandor. – Trzeba powiadomić dowództwo o tym, co tu się wydarzyło. Myślę, że bardzo ich to zainteresuje.

Rozdział 11

Jalta

22 maja 1957 roku

Zbliżała się trzecia w nocy. W wielkim salonie na parterze Białego Pałacu panowała pełna napięcia cisza. Trzech ludzi skupionych wokół stołu spoglądało w milczeniu na Kanclerza, który po raz kolejny czytał dostarczone kilka godzin temu krzyżackie ultimatum. Zmęczoną twarz ożywiało rumieniec wściekłości.

– Żądają więc anulowania Postanowień Toruńskich, uznania pełnej niepodległości protektoratu i powstrzymania się od wszelkich akcji militarnych – powiedział zdławionym głosem. – Czy ktoś może wytłumaczyć mi, dlaczego nasze służby nie wykryły spisku, który, jak sądzę, przygotowywany był od dłuższego czasu? Czy ktoś może powiedzieć mi, dlaczego tak się stało?

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność – odezwał się Janusz Sapieha. – Otrzymywałem sygnały, że na północy dzieje się coś niepokojącego, lecz nie uznałem tych informacji za istotne. Dziś jeszcze złożę dymisję...

– Twoja dymisja niczego nie zmieni – przerwał mu ze złością Kanclerz. – Nie będziemy teraz dyskutowali o oczywistych zaniedbaniach wywiadu Rzeczypospolitej. Czy dowiedzieliście się już czegoś o tej broni? Skąd oni ją wzięli i co to właściwie jest?

– Nie mam dobrych wiadomości. – Jan Zamojski położył na stole grubą teczkę opatrzoną nadrukiem „ściśle tajne”. – To raport przygotowany przez Kijowski Instytut Fizyki. Jeśli zechcesz go przejrzeć...

– Nie sądzisz chyba, że będę teraz zaznajamiał się z tym opasłym tomiskiem – uciął krótko Chmielnicki. – Pytam raz jeszcze, co to za gówno?!

– Z raportu wynika, że Krzyżacy posiadają broń o wprost niewyobrażalnej sile rażenia – powiedział ostrożnie Zamojski. – Pokaz, którego dokonali na Bałtyku, wykazał, że jeden ładunek potrafi zniszczyć miasto wielkości Wilna, Warszawy lub Poznania. Nasi naukowcy są zaskoczeni faktem, że Krzyżacy skonstruowali tę broń...

– Są zaskoczeni... – W głosie Kanclerza pojawił się gryzący sarkazm. – Ile czasu potrzebują, by zbudować to diabelstwo?

Zamojski chrząknął z zakłopotaniem.

– Obawiam się, że nie nastąpi to prędko – wydusił z trudem. – Być może i dziesięć lat będzie za mało...

– Dziesięć lat? – Chmielnicki spojrzał na szefa sił specjalnych z absolutnym niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że nasi szanowni naukowcy, na których wydajemy siedem miliardów moresów rocznie, nie są w stanie zbudować tej broni?

– Niestety, to prawda. – Zamojski był głęboko skonsternowany.

– Uderzmy na nich – odezwał się milcząco do tej pory generał Aleksy Potapiuk, dowódca Drugiej Armii Litewskiej. – Zajęcie protektoratu zajmie moim dywizjom nie więcej niż dwa dni. Spadochroniarze w ciągu doby opanują Królewiec. Gdy odetniemy łeb hydrze, bunt zgaśnie w zarodku. Czekam tylko na rozkaz ataku.

– Chyba oszalałeś! – Zamojski spojrzał na Potapiuka ze złością. – Atak na protektorat w obecnej sytuacji jest niedorzecznością! Nie zdajesz sobie chyba sprawy z konsekwencji takiego czynu! Nie widzisz, co dzieje się na ulicach? Ludzie się boją! Panicznie!

– Te sukinsyny omal nie wpędziły nas w wojnę na południu i w Afryce, a wyście nawet tego nie zauważyli – odparował chłodno Potapiuk. – Armia musi naprawić to, co inni spieprzyli...

– Popełniliśmy błąd, lecz twoje rozwiązanie sprowadzi na Rzeczpospolitą nieszczęście, przy którym przyjęcie ich warunków wydaje się niczym – powiedział ostro Sapieha. – Krzyżacy mieli dość czasu, by przetransportować to świństwo do któregoś z naszych miast. Co stanie się, gdy zdetonują bombę w centrum Lwowa?

– Nie odważą się. – Potapiuk wzruszył ramionami. – Wiedzą przecież, że jeśli to zrobią, zrównamy protektorat z ziemią.

– Wszystkie wielkie miasta są zagrożone. Operacja militarna...

– Dość! – Chmielnicki uderzył pięścią w stół. – Wszelkie spory na bok! Wasza kłótnia jest bezprzedmiotowa!

Zamilkli speszeni.

– Zakazuję podejmowania jakichkolwiek działań zbrojnych – oznajmił Kanclerz po chwili. – Jutro rano spodziewam się wizyty delegacji sejmowej, która wyrazi swoją opinię o zaistniałej sytuacji. Do tego czasu Rzeczpospolita nie podejmie żadnych rozwiązań siłowych. Czy to jasne?

Spojrzał wymownie na Potapiuka.

– Druga Litewska będzie oczekiwać na rozkazy. – Generał skinął głową.

Chmielnicki zwrócił się do szefów sił specjalnych i wywiadu.

– Wam zaś nakazuję, byście zjednoczyli siły i przystąpili natychmiast do działania. Wasi ludzie mają obecnie tylko jedno zadanie: odnaleźć i zdobyć broń, która zagraża Rzeczypospolitej.

– Penetracja protektoratu w obecnej chwili może być bardzo utrudniona... – zaczął ostrożnie Zamojski.

– Chcesz powiedzieć, że trzydzieści tysięcy twoich ludzi to sami idioci, którzy nie potrafią wypełnić obowiązku wobec ojczyzny? – Głos Kanclerza był lodowaty.

– Nie to miałem na myśli... Chodzi o to, że na próbę penetracji protektoratu spiskowcy mogą zareagować w nieprzewidziany sposób. Być może działania naszych służb uznają za akcję zbrojną...

– Macie odnaleźć tę broń – powtórzył z naciskiem Chmielnicki. – Po raz pierwszy od trzystu lat ktoś ośmielił się ponieść rękę na Rzeczpospolitą. Cokolwiek sądzą o tym inni, ta ręka zostanie odcięta. Nie pozwolę, by ktokolwiek zagroził panowaniu Najjaśniejszej w naszej części Europy. Nigdy, powtarzam, nigdy nie dopuszczę, by nas upokorzono. Mam nadzieję, że dobrze mnie zrozumieliście?

– Będzie, jak sobie życzysz – skinął głową Sapieha. – Przerzucimy na północ wszystkie siły i odbierzemy im tę broń.

– To właśnie chciałem usłyszeć. Biercie się do roboty, czas nie jest naszym sprzymierzeńcem.

Rozdział 12

Königsberg

22 maja 1957 roku

Zbliżała się czwarta nad ranem. W niewielkiej bibliotece w prywatnych apartamentach Wielkiego Mistrza czterech ludzi słuchało w skupieniu szefa służb komturalnych, który, siedząc w fotelu, zdawał relację z wydarzeń ostatnich godzin. – Jak do tej pory Rzeplici zgromadzili przy naszych granicach około dwustu tysięcy żołnierzy. Tak jak przypuszczałem, największe siły zgromadzili na północnym Mazowszu. Według tego, co ustalili moi ludzie, stoją tam trzy brygady pancerne i co najmniej pięć dywizji piechoty. Daje to jakieś siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

– Siedemdziesiąt tysięcy? – spytał z niepokojem Wilhelm Tellow. – Tak potężna koncentracja może wskazywać, że te świny coś kombinują.

– Spodziewaliśmy się tego – odparł spokojnie Wiktor von Osten. – Ten obszar nadaje się doskonale do działań wojsk pancernych. Jeśli uderzą, to właśnie tutaj.

– Co na północy? – spytał Mistrz. – Co porabia Druga Litewska?

– Czterdzieści tysięcy żołnierzy stoi nad Niemnem, drugie tyle w okolicach Suwałk i Augustowa. To przeważnie piechota, ale sytuacja zmienia się z godziny na godzinę. Rzeplici bez przerwy podciągają nowe siły.

Mistrz pokiwał głową.

– Zgodnie z przewidywaniami otoczyli nas ze wszystkich stron.

– To prawda – potwierdził von Osten. – Ich plan na wypadek wojny z Zakonem przewiduje koncentryczne uderzenie ze wszystkich kierunków.

– Nie brzmi to najlepiej – mruknął Libel.

Mistrz popatrzył na komtura przenikliwie.

– Spodziewałeś się czegoś innego? – spytał chłodno.

– Nie, ale teraz, gdy plany stały się rzeczywistością... sami rozumiecie.

– Chcą nas zastraszyć, ale im się nie uda – powiedział twardo Nowotny. – To wszystko nie jest niczym więcej niż grą nerwów. Te psy spodziewają się, że wielkie siły, jakie zgromadzili, zmuszą nas do uległości.

– Rzeplici nie uderzą. – Von Osten uśmiechnął się cynicznie. – Gdyby mieli to zrobić, ich wojska stałyby już pod Königsbergiem. Prężą muskuły, lecz nasza demonstracja na Bałtyku przyniosła oczekiwany skutek. Wystraszyli się nie na żarty.

– Co z ich siłami specjalnymi? – Tellow nie do końca mógł uwierzyć w tak łatwą wygraną. – Słyszałem, że stają na głowie, by odszukać miejsce, w którym przetrzymujemy bomby.

– W ciągu dziesięciu ostatnich godzin przechwyciliśmy dwudziestu ich agentów. – Von Osten skrzywił się z niesmakiem i wyższością zarazem. – Moi ludzie nie nadążają z ich wyłapywaniem, ale tego również się spodziewaliśmy. Ci idioci poniewczasie zorientowali się, jak wielki błąd popełnili i starają się w jeden dzień nadrobić kilka lat zaniedbań.

– Może powinniśmy jednak jakoś zareagować? – spytał Nowotny z ożywieniem. – Powieśmy na przykład kilku albo rozstrzelajmy.

– Wybacz, ale to bez sensu – zmitygował go Mistrz. – Rzeplici muszą zrozumieć, że nigdy nie uda im się odnaleźć naszej broni. Dopiero gdy to pojmą, zwycięstwo będzie nasze. Dlatego powinniśmy spokojnie przeczekać najazd ich sił specjalnych.

– Jesteś pewien, że nie odnajdą składu? – upewnił się Tellow.

– W odróżnieniu od Rzeplitów, my doceniamy naszych przeciwników. – Von Osten uśmiechnął pogardliwie. – Mamy przygotowane cztery punkty, w których розміścimy nasz arsenał.

– Zastanawiam się, czy czterdzieści osiem godzin, które daliśmy im na podjęcie decyzji, nie jest zbyt krótkim terminem – powiedział z wahaniem Tellow. – Jeśli postawimy ich pod murem, mogą zrobić coś nieprzewidzianego.

– Wydaje mi się, że puszcza ci nerwy – mruknął ze złością von Osten. – Powiedz, czego właściwie się spodziewałeś? Myślałeś, że Rzeplici zgodzą się potulnie na wszystkie nasze warunki?

– Chciałem powiedzieć tylko, że niepotrzebnie zamykamy sobie drogę do pertraktacji – odparł szybko tamten. – Być może drogą dyplomatyczną udało się osiągnąć znacznie więcej...

– Powiedz lepiej, że się boisz – prychnął pogardliwie Nowotny, jego też irytowało asekuranctwo ęckiego komtura.

– A może uważasz, że powinniśmy się wycofać? – Szef służb komturalnych nagle nabrał podejrzeń.

– Twierdziłeś, że twoi ludzie pogrążą Afrykę w chaosie – mruknął Tellow. – Tymczasem doszło tam do kilku nic nieznaczących potyczek. Rozwścieczyliśmy tylko niepotrzebnie naszych wrogów. Teraz nawet bezherbowi są przeciwni przyjęciu naszych warunków...

– O ile pamiętam, nie wносиłeś wcześniej jakichś krytycznych uwag – przerwał mu ostro von Osten.

– Zapewniałeś, że twoi ludzie nie zawiodą...

– Przestańcie! – Mistrz podniósł ostrzegawczo dłoń. – Nie czas teraz na kłótnie!

Umilkli.

– Moim zdaniem, ludzie Wiktora spisali się nieźle. – Konrad von Elster zmierzył Tellowa chłodnym spojrzeniem. – Być może to właśnie dzięki wydarzeniom w Afryce wynik wyborów w Rzeczypospolitej będzie dla nas korzystny. Afera z Wiśniowieckim jest wystarczającą nagrodą za poniesione trudy. Chmielnicki jest już politycznym trupem. Dość jednak o tym. Skupmy się na rzeczy najważniejszej. Jeśli do jutra nie otrzymamy odpowiedzi na nasze ultimatum, zdetonujemy kolejną bombę. Tym razem jednak znacznie bliżej zamieszkałych terenów. Zakon nie pozwoli się lekceważyć.

– Wszystko jest już przygotowane. – Von Osten skinął głową. – Jeśli Rzeczpospolita nie zaakceptuje naszych warunków, zdetonujemy ładunek dwadzieścia mil od Gdańska. To będzie ostatnie ostrzeżenie. Gdy ono nie pomoże, dowiedzą się, czym naprawdę jest bomba atomowa.

Rozdział 13

Okolice Ortelsburga

23 maja 1957 roku

Zarośla na skraju drogi poruszyły się nieznacznie. Ukryty za nimi Mateusz wychylił ostrożnie głowę i rozejrzał się na boki. Droga Ortelsburg – Nidzica, biegnąca przez rozległe lasy aż do samej granicy, była pusta. Wokół panowała cisza. Przemytnik przeskoczył płytki rów i stanął na szerokim pasie asfaltu.

– Wychodźcie, droga wolna!

Z krzaków wynurzyło się trzech jego kompanów.

– Nareszcie! Mam już dość lasu! – Sołtys, trzęsąc się z zimna, spoglądał krytycznie na swoją przemoczoną i brudną koszulę. – Gdzie podziało się to przekłete słońce?!

Kuna spojrzął w zasnute chmurami niebo.

– Za kilka godzin najpewniej zacznie się wypogadzać...

Jakby w odpowiedzi na jego słowa gdzieś na północy zagrzmiało.

– Bieszczadzka wróżka – parsknął gniewnie Sołtys. – Na przepowiadaniu pogody to ty się nie znasz.

– Nie bądź taki mądry – odciął się olbrzym. – Pamiętam jak wczoraj mówiłeś, że burza przejdzie bokiem.

– Gdybyśmy nie skręcili na północ, ominęłaby nas na pewno – odparł z godnością Sołtys.

– Przestańcie pieprzyć – wtrącił się Dymitr. – Powinniście cieszyć się, że idziemy na zwiad. Przynajmniej zażyjemy trochę ruchu. Reszta tych biedaków siedzi teraz w błocie i szczeka z zimna zębami.

– Też mi atrakcja! – Grubas wzruszył ramionami. – Ruchu to ja zażywam bez przerwy, od tygodnia. A tak właściwie, to po jaką cholerę ta przechadzka?

– Dwa staje na zachód jest wioska – odezwał się Mateusz. – Musimy rozeznaczyć, czy nie ma tam jakichś wojsk krzyżackich. Do granicy już niedaleko, trzeba więc zachować ostrożność.

– Nie wiem, czy zauważyliście, ale odkąd wyszliśmy z puszczy, te krzyżackie patałachy przestały latać nad naszymi głowami – powiedział Kuna. – Czy to nie dziwne? Może przestali nas szukać?

– Raczej nie spodziewali się, że ruszymy w tę stronę. Miałem rację, by iść na zachód. – Boryna zarzucił karabin na ramię. – Ruszajcie tyłki. Za godzinę musimy być z powrotem.

Przemytnicy ruszyli skrajem drogi.

– Otto, chodź do nas! – Kuna ruchem ręki przywołał trzymającego się za nimi Brandenburczyka.

Ten jednak odwrócił głowę i mrużąc coś pod nosem, zwolnił kroku.

– Daj mu spokój, jeśli taka jego wola, niech idzie sam – mruknął Mateusz. – Nie będziemy błagać go, by zechciał nam towarzyszyć.

– Powinieneś z nim pogadać – upomniał go łagodnie Dymitr. – Jest przecież jednym z nas...

– Powiedziałem już, że nie będę o nic go prosił. – Tamten uniósł ostrzegawczo dłoń. – Kilka ostatnich dni pokazało, jakim naprawdę jest człowiekiem. To maminsynek, pieprzony młody żonkoś, który, gdy tylko pojawia się najmniejsze zagrożenie, ucieka z podkulonym ogonem. Co on sobie wyobrażał? Myślał, że bycie przemytnikiem to łatwy chleb?

– Sam go wybrałeś. – Sołtys wzruszył ramionami. – Proponowałem ci przecież mojego szwagra, ale ty byłeś zdania, że Otto nada się lepiej.

– Pomyliłem się – przyznał Mateusz ze złością. – Ten idiota błagał mnie, bym dał mu szansę. Zabrałem go z majątku mojego ojca, gdzie do końca życia pracowałby jako najmita. I co? Minął rok, a ten gówniarz zapominał już, komu zawdzięcza swoje ocalenie. Jedyne, czego pragnie nasz drogi Otto, to dostać obywatelstwo i otworzyć tę swoją knajpę. Żona, dzieci, kamienica w Poznaniu i tytuł bezherbowego. Świetna recepta na życie, szkoda tylko, że kosztem lojalności względem nas. Zaraz gdy wyjdziemy z tych przeklętych lasów, wypłacę mu jego udziały i niech spieprza do żony. Zobaczmy, jak poradzi sobie, gdy przestanę go kryć.

– Chcesz go wyrzucić? – zdziwił się Kuna. – Zgarną go najdalej po miesiącu. Bez obywatelstwa...

– Mam to gdzieś, rozumiesz? – burknął przemytnik. – Teraz, gdy jesteśmy w tarapatach, wszyscy powinniśmy trzymać się razem. Takie są zasady. On je złamał. Nie potrzebujemy takiego kompana.

Na to nie mieli już argumentu. W milczeniu minęli zakręt, za którym otwierał się widok na prosty odcinek drogi.

– Tak się zastanawiam, Mateuszu, co będzie, jak wreszcie wydostaniemy się na drugą stronę – odezwał się po chwili Kuna. – Wiesz, co mam na myśli...

– Nie, nie wiem – mruknął niechętnie przemytnik.

– Nie udawaj głupiego – zirytował się Sołtys. – Kuna pyta, co dalej.

- Jak to co? – Mateusz wzruszył ramionami. – Będziemy robili to, co do tej pory.
- Nasi najlepsi klienci siedzą w krzyżackich więzieniach – przypomniał mu sucho tamten.
- Czy ty nie widzisz, co dzieje się wokół? Krzyżacy rozbili największe klany i wszystko wskazuje na to, że zamierzają zrobić z Prusami porządek. Z kim więc będziemy handlować?
- Czasami jesteście jak dzieci. – Boryna pokręcił z niedowierzaniem głową. – Naprawdę sądzicie, że Rzeczpospolita pozwoli, by Krzyżacy załatwili Prusów?
- Sam mówiłeś, że minie wiele miesięcy, nim zjadą się komisje rozjemcze – zauważył Sołtys. – Do tego czasu, a pewnie jeszcze przez następny rok, nie będziemy mieli zajęcia.
- Nawet jak wypuszczą Witolda, po tej całej awanturze długo jeszcze nie będzie mógł z nami handlować – dołączył się Dymitr. – Pamiętasz, co było dwa lata temu, jak złapali ludzi Trokajły? Wszystkie klany wstrzymały zakupy. Teraz będzie pewnie znacznie gorzej. Czeka nas więc półtora roku posuchy. Co najmniej.
- Widzę, że rozmawialiście już o tym. – Przywódca spojrzał podejrzliwie na swoich kompanów.
- Zastanawiamy się po prostu, co dalej – odparł Kuna.
- Istnieje wiele możliwości. – Mateusz wykonał w powietrzu nieokreślony ruch ręką.
- Pytanie brzmi: jakich? – Sołtys spoglądał na niego wyczekująco.
- Mam kontakty na wschodzie. Moglibyśmy wyjechać do Megapolis i zająć się przerzutem rosyjskich chłopów. Koszt tej inwestycji nie jest aż tak wielki. Wystarczy zakupić na początek jeden kuter.
- Myślisz, że tamtejsze klany wpuszczą nas ot tak, bez słowa? – zapytał z powątpiewaniem Sołtys. – Handel z Prusami to w porównaniu z przemysłem chłopów małe piwo. Możemy skończyć z nożem w plecach...
- Ryzyko istnieje zawsze – przerwał mu Boryna. – Jeśli macie jakiś inny pomysł, słucham.
- Może wyjedziemy na południe? – zaproponował Kuna. – Moi bracia i szwagier na pewno nam pomogą.
- Co masz na myśli? – Dymitr zerknął nie niego podejrzliwie. – Będziemy paść owce? To odpada. Ja się na to nie piszę.
- Głupi jesteś! – Olbrzym machnął wielką jak bochen dłonią. – Nim przystałem do was, chodziłem na turecką stronę. Znam doskonale góry i tamtejszych przemytników. Za jednego Turka bierze się jakieś pięćset, sześćset moresów. Jeśli idzie cała rodzina, wychodzi nawet po siedem stów za głowę.
- To bez sensu – mruknął Dymitr. – Rosyjskich chłopów przewozisz przez morze, tureckim trzeba zorganizować przerzut przez Rumunię aż do Rzeczypospolitej. Za dużo zachodu za tak niewielkie pieniądze.
- Dymitr ma rację – odezwał się Sołtys. – Jak odliczysz koszty, pozostaje naprawdę niewiele...

– Nie będziemy o tym teraz rozmawiać. Gdybyście zapomnieli, to przypomnę wam, że ciągle jesteśmy w protektoracie. Sprawdźmy tą cholerną wioskę. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mogli się stąd wynieść. Poza tym...

Mateusz zamilkł nagle ze wzrokiem utkwionym w nieodległy zakręt.

– Co jest... – Sołtys nie dokończył zdania, bowiem zza kępy krzaków porastających skraj drogi wynurzyła się nagle postać ubrana w żółty przeciwdeszczowy płaszcz. Człowiek ów z widocznym trudem pokonał płytki rów i wyszedł na drogę. Teraz dopiero dostrzegł przemytników. Zatrzymał się jak wmurowany z bezradnie uniesionymi rękoma, wpatrując się w nich przerażonym wzrokiem. Pierwszy zareagował Kuna. Wyszarpnął zza pasa pistolet i wymierzył go w nieznanego.

– Stój! – przeładował broń. – Łapska do góry! Nie ruszaj się! Drgniesz, a odstrzelę ci łeb!

Człowiek krzyknął coś niezrozumiale, klęknął na asfalcie, założył ręce na kark i pochylił nisko głowę.

Przemytnicy, nieco zaskoczeni takim zachowaniem, przez krótką chwilę stali nieruchomo, przyglądając mu się z namysłem.

– Co to za jeden? – Grubas spojrzał na kamratów. – On się chyba bardziej wystraszył nas, niż my jego.

Mateusz podszedł do nieznanego, trącił go butem i powiedział ostro:

– Kim jesteś i co tu robisz? Odpowiadaj szybko!

– *Don't shoot! Please!* – Człowiek dygotał ze strachu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w Kunę, który trzymał pistolet wycelowany w jego pierś. – *I don't mean to run! I will do what you want!*

– Co on gada? – Olbrzym podrapał się po głowie i zerknął na Ottona. – Przetłumacz, co powiedział.

– To nie po niemiecku. – Brandenburczyk wrzucił ramionami. – Pierwszy raz słyszę ten język.

Zapadła cisza. Przemytnicy przyglądali się w milczeniu skulonej postaci. Mężczyzna mógł mieć około sześćdziesiątki. Jego wychudłą twarz znaczyły liczne zmarszczki, pogłębione teraz przez zmęczenie i strach. Resztki posiwiałych włosów lepiły się do czaszki, nadając mu wygląd żalosny, budzący litość.

– Zejdźmy z drogi – zarządził Mateusz. – Trzeba go dokładnie przepytać.

Kuna wsunął pistolet za pas, ujął starca pod pachy, podniósł go z kłęczek i pociągnął za sobą. Przeszli w milczeniu kilkadziesiąt łokci i zatrzymali się pośród niewysokich sosen.

– Posłuchaj, dziadku – przemówił łagodniejszym tonem Mateusz. – Powiedz nam, skąd tu się wziąłeś? Mieszkasz gdzieś w okolicy? Nie chcemy zrobić ci krzywdy, ale musimy wiedzieć, kim jesteś.

Starzec przekrzywił głowę, jakby słowa przemytnika jednocześnie zaskoczyły go i zaciekawiły. Otworzył usta, zamknął je, wreszcie odezwał się ostrożnie:

– *Ich kenne eure Sprache nicht* – powiedział z obawą. – *Aber ich kann Deutsch...*

– Tego też nie rozumiesz? – Sołtys spojrział na Brandenburczyka.

– Twierdzi, że nie zna polskiego, ale mówi po niemiecku – przetłumaczył natychmiast Otto.

– *Sind ihr die Untertanen von Kalif Rzeczpospolita?* – Ton głosu nieznanego zmienił się nagle. Słychać było w nim pełne napięcia wyczekiwanie. – *Seid ihr keine Kreuzritter, nicht wahr?*

Przemytnicy nie odrywali wzroku od Ottona, który, wyraźnie zaskoczony, przyglądał się starcowi podejrzliwie.

– O co pytał? – rzucił niecierpliwie Sołtys.

– To chyba jakiś wariat. Pyta, czy jesteśmy poddanymi kalifa Rzeczypospolitej.

– Że co? – spytał niepewnie Kuna. – Jakiego znowu kalifa?

– Skąd mam wiedzieć – mruknął Brandenburczyk. – Według mnie to jakiś świr. Może gdzieś w pobliżu jest dom wariatów i on stamtąd uciekł? Wygląda jakoś dziwnie...

– Powiedz mu, że jesteśmy Rzeplitami – nakazał Mateusz.

Otto wzruszył ramionami i przetłumaczył. Starzec przyglądał się przemytnikom z uwagą.

– *Ihr müßt mir helfen* – powiedział nagle.

– Mówi, że musimy mu pomóc.

– W czym ci możemy pomóc? – zaciekawił się Sołtys.

Nieznajomy zaczął mówić szybko, żywo przy tym gestykując.

Gdy umilkł wreszcie, Otto zerknął niepewnie na kompanów.

– To jakieś brednie... Twierdzi, że jest profesorem fizyki i że godzinę temu uciekł z jakiegoś tajnego ośrodka, w którym Krzyżacy produkują nową, bardzo niebezpieczną broń. Powiedział, że brał udział w budowie tej broni i że trzeba ich powstrzymać, bo niechybnie jej użyją. Twierdzi też, że już na pewno go szukają i strasznie się boi. – Otto umilkł, rozglądając się niespokojnie na boki.

– Zaraz, powoli... – Na twarzy Mateusza pojawił się wyraz zainteresowania. – Kim on właściwie jest?

– Twierdzi, że jest Anglikiem. Powiedział, że Krzyżacy porwali go z domu i przywieźli okrętem podwodnym do Królewca.

– Anglikiem? – Kuna przyglądał się starcowi z dziecięcym niemal zaciekawieniem. – Nigdy nie spotkałem żadnego Anglika.

– To jeden z narodów Zachodniego Kalifatu – wyjaśnił odruchowo Dymitr. – Mieszkają na wyspie położonej po drugiej stronie Kanału Świętego Stefana.

– Spytaj go, co to za broń – powiedział niecierpliwie Mateusz.

– *Was für eine Waffe ist das?*

Nieznajomy zaczął mówić wzburzonym głosem.

– Co powiedział? – ponaglał kompana Sołtys.

– Twierdzi, że skonstruował dla Krzyżaków broń, której moc jest tak wielka, że potrafi zniszczyć duże miasto. Mówi, że Krzyżacy zmusili go do pracy. Podobno obiecali wydostać z więzienia jego syna, którego przetrzymują jacyś Muzatylici albo jakoś tak. Twierdzi, że go oszukali i że jego syn nie żyje. Dowiedział się o tym kilka dni temu i postanowił uciec, aby powiadomić tego kalifa o grożącym niebezpieczeństwie. Powtórzył, że musimy ich powstrzymać.

– Co o tym myślicie? – spytał ostrożnie Boryna.

– Czy ja wiem? – Kuna podrapał się po głowie. – To wszystko brzmi... dość dziwnie.

– Niekoniecznie – powiedział w napięciu Dymitr. – Biorąc pod uwagę, co dzieje się w protektoracie, coś w tym może być. Krzyżacy rzeczywiście poczynają sobie, jakby mieli coś w zanadru.

– Tę nową broń? – spytał kąpiąco Sołtys. – Przecież to jakieś bzdury.

Uwaga przemytników skupiła się na nieznanym, który wyczuł chyba ich wahanie, bowiem obrócił się i wskazał na zachód.

– *Im Gutshof, der sich zwei staja hinter dem Dorf befindet, ist eine Montierungswerkstatt. Sie haben schon vier fertige Bomben. Ich meine, daß sie vorhaben, die Bomben am spätestens gestern aus dem Dorf herauszufahren. Ihr müßt euren Kalif davor warnen!*

– Co powiedział? – Tym razem Mateusz nie wytrzymał.

– Twierdzi, że gdzieś w pobliżu jest montownia tej broni i że Krzyżacy zamierzają jutro ją wywieźć. Powiedział, że Krzyżacy mają już cztery gotowe bomby. Powtórzył, że musimy ostrzec kalifa.

– Co on z tym kalifem? – spytał ze zdziwieniem Kuna.

– Chodzi pewnie o Kanclerza – powiedział Dymitr.

– *Vor drei Tagen nahmen sie eine Bombe weg.* – Starzec spoglądał na przemytników w napięciu. – *Sie wurde auf Alandinseln detoniert!*

– Powiedział, że trzy dni temu zabrali jedną bombę i że zdetonowali ją na Wyspach Alandzkich – przetłumaczył Otto.

– *Ihr müßt sie aufhalten!* – W głosie starca dźwięczała rozpacz. – *Das ist meine Schuld! Ich machte das, weil ich meinen Sohn retten wollte! Sterben bald Millionen Menschen!*

– Mówi, że zbudował tę broń, bo chciał ratować syna, i że jeśli Krzyżacy jej użyją, zginą miliony ludzi – przetłumaczył Otto. – Odnoszę wrażenie, że on chyba nie kłamie – dodał od siebie.

– Miliony ludzi? – Mateusz zmarszczył brwi i spojrzał na starca z uwagą. – Jak się nazywasz, człowieku? Jakie jest twoje imię? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Ja jestem Mateusz Boryna. – Wskazał na siebie – A ty?

– *My name is William Hopkins, my friend* – odparł w swoim języku naukowiec.

– Trochę przydługo – mruknął Kuna. – Te muzułmańskie imiona są jednak strasznie rozwlekłe.

– W porządku, panie Friend. – Mateusz zerknął na Ottona. – Powiedz mu, że dobrze trafił. Powiedz, że zrobimy wszystko, by Krzyżacy nie użyli broni, którą dla nich zbudował.

Otto przetłumaczył słowa Mateusza. Na twarzy starca pojawiła się ulga.

– *Beeilt euch! Das Ziel ist am wichtigsten* – powiedział drżącym głosem.

– Co robimy? – spytał Dymitr.

Mateusz spojrział na zegarek.

– Pójdę do wsi i rozeznam się w sytuacji. Wy zaś odprowadzicie Anglika do obozowiska. Spotkamy się za dwie godziny.

– Pójdiesz sam? – Dymitr pokręcił głową. – To chyba nie najlepszy pomysł. Nie znasz języka. Co będzie, jak ktoś cię o coś spyta?

– Jakoś sobie poradzę – odparł Mateusz.

– Pójdę z tobą – odezwał się nagle Otto. – Jakby co, możemy udawać robotników sezonowych. – Zerknął na Mateusza z ukosa. – Chyba, że nie chcesz.

Przemytnik wzruszył ramionami, oddał karabin Dymitrowi i wziął od niego pistolet.

– Możesz iść – powiedział po chwili. – Bylebym tylko nie musiał wysłuchiwać twoich narzekań.

* * *

Na placu przed *Gemeindehaus*^{*}, mieszczącym się nieopodal starego, siedemnastowiecznego kościoła husyckiego, zebrał się pokaźny tłum ludzi. Mieszkańcy wioski, z opaskami pospolitego ruszenia na ramionach, otaczali wojskowego żubra, z platformy którego dwóch żołnierzy wydawało karabiny i amunicję. Wieśniacy, którzy odebrali broń, przechodzili pod kościół, gdzie przemawiał przebrany w mundur sierżanta armii krzyżackiej sołtys Novego Sadu, Vaclaw Havliček.

– Jak już mówiłem, najważniejszą rzeczą jest zachowanie spokoju. Gdyby zdarzyło się, że Rzeplenci przekroczą granicę, nie wolno nam ulegać panice. Nasze zadanie polega na tym, żeby zatrzymać ich na kilka godzin, do czasu, aż nadejdą posiłki z Ortelsburga. Rzeplenci nie są wcale tacy straszni, jak myślicie...

– Co ty pieprzysz, Vaclaw! – krzyknął Zygfyrd Küste, właściciel największego we wsi sadu. – Jak te bydlaki ruszą na nas, z wioski nie zostanie kamień na kamieniu! Oni mają czołgi i samoloty! Jeśli stawimy opór, zbombardują nas, a potem wszystkich wsadzą do więzienia!

Sadownik rozejrzał się po otaczających go mieszkańcach wsi.

– Ludzie! – zawołał mocnym głosem. – Mistrz oszalał chyba, skoro porywa się na Rzeczpospolitą! Wracajmy do domów! Nie będziemy nadstawiać karku za szaleńców! Po co oni to robią?! Co za różnica, czy rządzić nami będą z Königsbergu czy Ortelsburga!

* niem. dom gminny

Zapanowało poruszenie. Mieszkańcy Novego Sadu spoglądali na siebie niepewnie, szepecząc cicho. Sołtys ujął się pod boki i zerknął groźnie na Zygryda.

– Ostrzegam cię, że to, co mówisz, może zostać uznane za zdradę. Ogłoszono mobilizację i jako sołtys zobowiązany jestem dopilnować, by wszyscy, powtarzam, wszyscy, stanęli do obrony naszej ojczyzny. Nie zmuszaj mnie, bym doniósł na ciebie na policję.

– Mobilizację ogłosił Königsberg – odparł ze złością tamten. – Nie musimy ich słuchać!

– Bzdura – powiedział z naciskiem Havliček. – Rozkaz o mobilizacji wydał nasz komtur...

– W Marienburgu nie ma żadnej mobilizacji! – krzyknął ktoś z tłumu.

Sołtys zacisnął usta i wycodził przez zęby:

– Nie doprowadzajcie mnie do wściekłości! Przyszło polecenie przygotowania wioski do obrony i tego musimy się trzymać!

– Ludzie! – Z tłumu wysunął się karczmarz Aleksy Kosma. – Czy wy naprawdę nie rozumiecie o co w tym wszystkim idzie?! Mistrz chce uwolnić nas od Rzeplistów! Nasza nowa broń zetrze ich w pył!

– Głupi jesteś, Kosma – mruknął Küste. – Oni mają tak wielką armię, że ta cała broń nie zda się na wiele.

– Zygryd, ostrzegam cię po raz ostatni. – Sołtys wystąpił krok naprzód i zmierzył sadownika chmurnym spojrzeniem. – Zaraz wezwę policję. Zobaczysz, że się doigrasz.

Küste mruknął coś pod nosem i zamilkł z naburmuszoną miną.

Havliček podszedł ku rodzinie Kotików.

– Ty, Karel, i twoi synowie weźmiecie sobie do pomocy kilku ludzi i zajmiecie stanowiska obok karczmy. Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze, jak obsługuje się karabin maszynowy?

Karel Kotik, jeden z najbogatszych gospodarzy, skinął głową.

– O mnie się kłopotcz. Dwadzieścia lat temu byłem najlepszym strzelcem w całym regimencie. Moje chłopaki też wiedzą, jak obchodzić się z bronią. Jak tylko zobaczę jakiegoś Rzeplitę, odstrzelę mu łeb.

– Ty, Schultz – Sołtys sięgnął ramienia wioskowego piekarza – pójdziesz razem z Kosmą i jego synami na pagórek koło młyna i urządzisz tam punkt obserwacyjny. Będziesz miał z niego dobry widok na całą okolicę.

– Co mam robić, jak pojawią się Rzepiki? – spytał piekarz.

– Jak to co? – obruszył się sołtys. – Natychmiast powiadomisz mnie o tym.

– W porządku. – Schultz zarzucił karabin na ramię. – Jak zobaczę jadące w naszą stronę czołgi Rzeplistów, natychmiast cię o tym powiadomię.

– Reszta idzie ze mną nad stawy – zarządził Havliček. – Będziemy kopać rowy przeciwczołgowe. Pójdziecie teraz po narzędzia i za kwadrans spotykamy się koło karczmy. Przyjść mają wszyscy, potrzeba wielu ludzi. Czy wszystko jasne?

Mieszkańcy Novego Sadu przytaknęli zgodnie.

– Jesteś pewien, że powinniśmy iść przez wieś? – Otto spoglądał z niepokojem w stronę otoczonych sadami zabudowań wioski. – Ten folwark, o którym mówił Anglik, leży z drugiej strony. Może zejdźmy z drogi i pójdźmy przez łąki?

– Jesteś, niestety, głupszy, niż myślałem – prychnął pogardliwie Mateusz. – Sądzisz, że idąc przez łąki nie wzbudzimy niczyich podejrzeń?

– We wsi może zatrzymać nas policja – odparł dziwnie potulnym tonem Brandenburczyk. – Często tak robią. Zwłaszcza teraz, na wiosnę, gdy gospodarze przyjmują do roboty.

– Zapomniałeś chyba, co dzieje się w protektoracie. Krzyżacka policja ma co innego na głowie niż wyłapywanie robotników sezonowych.

– Masz rację. – Otto skinął głową i przyspieszył kroku, aby nie pozostać w tyle. – Na pewno nie zwrócą na nas uwagi.

Boryna zerknął na swojego towarzysza podejrzliwie.

– Coś zrobił się nagle taki słodki?

– Myślę po prostu, że czas najwyższy zakończyć naszą kłótnię. Nikt nie mógł przewidzieć, że Krzyżacy napadną na Prusów. Stało się i tyle. Jak wydostaniemy się z protektoratu, odrobimy szybko straty i wszystko wróci do normy.

– Słyszałeś, co mówiłem na drodze. – Mateusz uśmiechnął się z satysfakcją. – Niestety, moja decyzja jest ostateczna. Gdy znaleźliśmy się w opałach, ty myślałeś tylko o własnej skórze. Nie mogę już na tobie polegać.

– Popełniłem błąd, ale chcę to naprawić – oświadczył zarliwie Otto. – Daj mi jeszcze jedną szansę.

– Zawiodłeś mnie, a gdy kto straci moje zaufanie, rzadko je odzyskuje.

– Zrobię wszystko byś uwierzył, że zrozumiałem swój błąd...

– Pożyjemy, zobaczymy. – Mateusz machnął niecierpliwie ręką. – Teraz nie czas o tym dyskutować.

Minęli pierwsze zabudowania i skierowali się w stronę kościoła, wznoszącego się w centralnym punkcie Novego Sadu. Po prawej stronie, nieopodal posterunku Gemeindepolizei, dostrzegli nagle kilkudziesięciu mieszkańców wsi, którzy ze szpadlami w dłoniach maszerowali w stronę łąk położonych tuż za sadami. Na ramionach kmieci widniały białe opaski z czarnymi krzyżami.

– Co to jest, do cholery? – Mateusz przyglądał się wieśniakom w osłupieniu. – Co znaczą te opaski?

– Pospolite ruszenie – wymamrotał jego towarzysz.

– Pospolite ruszenie? Czy oni postradali rozum? Chcą rozpocząć wojnę z Rzeczpospolitą?

– Pamiętasz, co mówił ten Anglik? Ta nowa broń ma podobno niesamowitą moc.

Mateusz zacisnął usta i rozejrzył się uważnie na boki. Jego wzrok spoczął na pobliskiej kaufhali „Piotr i Paweł”, na drzwiach której bielił się wielkich rozmiarów plakat z czerwonym nagłówkiem „Mobilisierung”.

Przemytnik podszedł do wystawionego pod drzwiami pojemnika z gazetami, uniósł pokrywę i sięgnął po egzemplarz „Volkstimme”*. Niemal całą tytułową stronę zajmowało czarno-białe zdjęcie, przedstawiające coś, co przypominało wielki grzyb, wznoszący się nad powierzchnią morza.

– Co jest, do cholery? – Boryna przyglądał się zdjęciu wyraźnie zaskoczony.

– Pokaż. – Otto niemal wyrwał mu gazetę i przebiegł wzrokiem treść artykułu.

– No i co?

– To jest właśnie ta Wunderwaffe – powiedział przejętym głosem Brandenburczyk.

– Co?

– Cudowna broń. Bomba atomowa. Napisali, że to najstraszliwsza broń, jaka istnieje i że nikt jej się nie oprze. Tak właśnie napisali.

Mateusz jeszcze przez chwilę przyglądał się niezwykleму zdjęciu, po czym złożył gazetę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wrzucił do pojemnika dziesięciogroszową monetę i rozejrzył się po pustej ulicy.

– Idziemy – zakomenderował.

Ruszyli przez opustoszałą wieś. Gdy kilka minut później ostatnie zabudowania Novego Sadu pozostały za nimi, przystanęli na chwilę.

– To chyba tam. – Boryna wskazał na położone pod lasem zabudowania sporego folwarku. – Będzie ze dwa staje...

– Wszystko się zgadza – potwierdził jego towarzysz. – Anglik mówił o brukowanej drodze. Jak blisko chcesz podejść? Jeśli to jest tajny ośrodek, pilnują go pewnie komturialni.

– Podejdziemy pod samą bramę.

– Jak nas złapią, marnie skończymy.

– Sam powiedziałaś, że na wiosnę krąży po wsiach pełno najmitów. Myślisz, że jesteśmy jedynymi, którzy odwiedzili ten majątek?

– Skąd wiesz, co się z nimi stało? Może siedzą gdzieś w zamknięciu, albo, co bardziej prawdopodobne, już nie żyją. Wiesz już, z kim mamy do czynienia. Ci ludzie nie żartują.

– Stąd niczego nie zobaczymy. Równie dobrze moglibyśmy nie iść tam w ogóle – powiedział zniecierpliwiony Mateusz.

Otto westchnął ciężko i odezwał się apatycznym głosem:

– Jakby co, będziesz udawał Rosjanina. Chociaż nie, to bez sensu. W protektoracie Rosjan nie lubią. Wiem, będziesz udawał niemowę.

– Co takiego? Niemowę?

* niem. Głos Ludu

– Po niemiecku potrafisz powiedzieć zaledwie kilka słów. Co będzie, gdy o coś cię zapytają?

– Zobaczymy na miejscu – odparł wymijająco Mateusz. – Chodźmy wreszcie, szkoda czasu na próżne gadanie.

Szli skrajem pustej alei, ostrożnie, rzucając ukradkowe spojrzenia za siebie i na boki, ku rozległym polom żyta, które na południu graniczyły z oddalonym o pół staja lasem, na północy zaś ciągnęły się aż do pierwszych zabudowań wioski. Stare lipy tworzyły nad ich głowami zielony baldachim, poruszany wiejącym znad pół wiatrem. Przesycone wilgocią powietrze niesło zapowiedź kolejnych opadów. W połowie drogi, gdy widać już było dach stajni i dworu, o bruk uderzyły pierwsze krople deszczu. Kilka minut później rozpadało się na dobre.

Otto zapiął kaftan, wsunął dłonie do kieszeni kurtki, obejrzał się za siebie i powiedział z lękiem:

– Wiesz co, mam złe przeczucia. Pusto tu jakoś i tak strasznie...

Boryna nie odpowiedział. Jemu też zaczął udzielać się niepokój towarzysza. Ostatnie dwieście łokci pokonali w milczeniu. Zatrzymali się przed okazałą, kutą w żelazie bramą.

– Co teraz? – Brandenburczyk stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w odległy o sto łokci, przesłonięty częściowo drzewami, okazały, mocno zapuszczony dwór.

– Wypatruj, czy nie widać czegoś dziwnego.

– Czego mam wypatrywać?

– Nie wiem, może coś wpadnie ci w oko.

Mateusz odgarnął opadające na czoło mokre włosy i rozglądał się uważnie. Rozmyta w strugach deszczu bryła budynku wyglądała na opuszczoną. Zabite deskami okna kontrastowały dziwnie z doskonale utrzymanym parkiem. Drzwi stajni również zamknięte były na głucho. Na brukowanym dziedzińcu, obok kilku pokrytych plandekami maszyn rolniczych, stały dwie ciężarówki, na których burtach widniało wielkie czerwone jabłko z umieszczonym powyżej napisem „Obst und Gemüse – Jan Plecha, Novy Sad”.

– Co o tym myślisz? – odezwał się po chwili Otto drżącym z napięcia głosem. – Wszystko niby normalnie, jednak z drugiej strony...

– Nikogo tu nie ma. I jeszcze ten dwór. Wygląda, jakby nikt w nim nie mieszkał. Co to może znaczyć?

– Może właściciel zamierza rozpocząć remont?

– A gdzie robotnicy, gdzie materiały? To jakaś stara rudera.

– Wychodzi więc na to, że jeśli była tu rzeczywiście jakiś montownia, to już jej nie ma. – Otto desperacko próbował uwierzyć we własne słowa. – Krzyżacy spakowali się i odjechali w stronę dal. Możemy wracać.

– Anglik mówił, że Krzyżacy rozpoczną ewakuację jutro. Jutro, nie dziś.

– Gdzie więc są? – Brandenburczyk wzruszył ramionami. – A może w ogóle ich tu nie było? Może oszukał nas ten... jak mu tam, Friend?

– Po co miałby to robić?!

– Nie wiem – odparł zrezygnowany Otto. – Nie wiem, o co tu chodzi...

– To nasze spotkanie na szosie to wprost niesamowity zbieg okoliczności. Czy to nie dziwne, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu o właściwym czasie? Czegoś takiego nie da się zaplanować – odparł niecierpliwie Mateusz. – To zupełnie niemożliwe.

Nie czekając na reakcję towarzysza, podszedł do bramy i spróbował podnieść ciężką, metalową sztabę.

– Co chcesz zrobić? – W głosie Ottona pojawił się niepokój. – Nie zamierzasz tam chyba wchodzić?

– Owszem, zamierzam. – Boryna podszedł do wysokiego na półtora łokcia płotu, wszedł na wysoką podmurówkę i jednym susem znalazł się po drugiej stronie.

– Na co czekasz? – rzucił w stronę oniemiałego Brandenburczyka. – Przełaź!

Otto dołączył do niego z ociąganiem.

– Wiesz, że teraz to już nie przelewki? – odezwał się struchlałym głosem. – Wtargnęliśmy na teren prywatny. Jak nas złapią...

– To wtedy będziemy się martwić. Teraz obejrzymy sobie wszystko dokładnie. I przestań wreszcie jojczyć. Robisz wszystko, żeby upewnić mnie w przekonaniu, jak wielkim jesteś tchórzem.

Brandenburczyk zacisnął gniewnie usta.

– No to załatwmy to wreszcie – burknął niechętnie.

Rozglądając się uważnie na boki, podążyli szeroką żwirową aleją, prowadzącą w stronę dworu. Deszcz szeleszczący w koronach drzew tłumił odgłos ich kroków. Na dziedzińcu zatrzymali się w bezpiecznym cieniu jednego z żubrów. Z bliska dwór przedstawiał się znacznie gorzej. Odchodzący całymi płatami tynk odsłonił cegły, a dach na pierwszy rzut oka domagał się natychmiastowego remontu.

– Co dalej? – Otto starał się nie okazywać strachu. – Chcesz jeszcze coś obejrzyć? Mówię ci, że ich tu już nie ma. Sam przecież widzisz, jak to wszystko wygląda...

Mateusz nie słuchał. Stał pośrodku dziedzińca, spoglądając w zamyśleniu na drzwi dworu i otwarte okna na poddaszu. Potem skierował wzrok na położoną po prawej stronie stajnię. Podszedł wolno do wielkich drewnianych wrót i spróbował je otworzyć, lecz te nie ustąpiły. Obrócił się... i zamarł nagle w bezruchu. Z miejsca, w którym stał, o jakieś sto pięćdziesiąt łokci dalej, widać było fragment bielonego wapnem budynku i otwartą na oścież bramę, przez którą mogła swobodnie przejechać ciężarówka. W jasno oświetlonym wnętrzu dostrzegł kilku ludzi. Przebiegł szybko przez dziedziniec i zatrzymał się pomiędzy ozdobnymi świerkami, które rosły rzędem wzdłuż wąskiej alejki prowadzącej w głąb parku.

– Co się dzieje? – zza żubrów dobiegł syk Ottona. – Zobaczyłeś coś?

– Chodź do mnie! Szybko!

Brandenburczyk znalazł się obok niego w mgnieniu oka.

– No i co? – spytał nerwowo

– Za dworem jest jakiś budynek, chyba chlewnia, sądząc po wyglądzie.

– Chlewnia? Myślisz, że Krzyżacy trzymają swoją broń w chlewni?

– Tego nie wiem, ale są tam jacyś ludzie. Chcę sprawdzić, kto to taki.

– Na pewno chcesz tam iść?

– Jak się boisz, to poczekaj tutaj

– Dobra, idziemy.

Mateusz rozsunał ostrożnie gałęzie świerków i rozejrzał się na boki. Ten rejon parku nie był już tak dobrze utrzymany, jak część widoczna od strony drogi. Można było odnieść wrażenie, że właścicielowi majątku zależało na tym tylko, aby park prezentował się okazale z zewnątrz. Krzewy jałowca i berberysu tworzyły zwarty, trudny do przebycia gąszcz, niekoszone trawniki pełne były wybujałych chwastów. W centrum parku połyskiwał niewielki staw ze sztuczną wysepką, stała na niej porośnięta bluszczem letnia altanka.

Okrążyli staw i po chwili znaleźli się wśród młodych modrzewi, zza których otwierał się widok na odległy o pięćdziesiąt łokci budynek chlewni. Mateusz opadł na kolana i odchylił delikatnie mokrą gałąź.

– Co my tu mamy – mruknął cicho, zerkając z zainteresowaniem w stronę otwartej bramy.

Wewnątrz budynku trwała gorączkowa krzątanina. Kilkunastu ludzi w białych kombinezonach ładowało na ciężarówkę drewniane skrzynie, większe zaś podwoził niewielki podnośnik widłowy. Za ciężarówką, w głębi budynku, widać było fragment betonowego postumentu otoczonego barierką i długie rzędy metalowych szaf, ciągnące się wzdłuż ścian.

– Co o tym myślisz? – spytał cicho Boryna.

– Czy ja wiem? – Otto nawet nie patrzył na budynek. Rozglądał się po parku z wyraźnym niepokojem. – Nie podoba mi się to miejsce. Anglik jednak nie kłamał. Krzyżacy...

– Cicho! – syknął Mateusz. – Ktoś idzie...

Z głębi parku wyszło dwóch ubranych w żółte przeciwdeszczowe płaszcze strażników, którzy przeszli wolno wzdłuż muru i zatrzymali się na wprost drzwi, dziesięć łokci od szpaleru modrzewi. Po chwili dołączył do nich trzeci, uzbrojony podobnie jak pozostali w karabin.

– Kto to, kurwa, jest... – wyszeptał przerażony Otto. – Spieprzajmy stąd...

Mateusz trącił go w bok.

– Słuchaj, o czym gadają – mruknął ze złością.

Brandenburczyk przełknął z trudem ślinę, pochylił się do przodu i zamarł z opuszczoną głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiego napięcia.

– I co?

– Cicho... – szepnął Otto marszcząc brwi. – Słabo ich słyszę...

Po minucie rozmowa ucichła. Dwóch strażników poszło w stronę dworu, trzeci wszedł do budynku.

Otto podniósł się ostrożnie z ziemi. Pobladł, a w oczach miał przerażenie.

– Wynośmy się stąd – wymamrotał zdławionym głosem. – Szybko! Nie ma ani chwili do stracenia!

– Ale...

– Błagam cię, choć ten jeden raz mnie posłuchaj. – W spojrzeniu Brandenburczyka było coś takiego, że Mateusz zaprzestał nalegań.

– W porządku, ruszajmy tyłki.

Wycofali się szybko spośród modrzewi. Otto, nie bacząc na swojego towarzysza, podążył wytrwale w stronę bramy. Zatrzymał się dopiero na skraju żwirowej alei, lustrując uważnie wysadzaną lipami drogę i widoczne za płotem pola otaczające folwark.

– Jeszcze nie wrócili, chwała Bogu... – powiedział z ulgą.

– Kto nie wrócił? – spytał zniecierpliwiony Mateusz. – Mów zaraz, coś usłyszał.

– Wydostańmy się stąd najpierw...

Przeszli na drugą stronę. Otto nawet się nie zatrzymał, pociągnął towarzysza za ramię i szybkim krokiem ruszył, skąd przyszli.

– Przestań się trząść i zacznij wreszcie gadać!

– Anglik nie kłamał. To miejsce to jakiś tajny ośrodek, którego pilnują komturialni...

– O czym ty mówisz? Jacy komturialni?! Tam prawie nikogo nie ma!

– Otóż to! – Otto pokiwał głową. – Mieliliśmy wiele szczęścia, żeśmy się na nich nie natknęli. Oni szukają tego naukowca. Z tego, co zrozumiałem, to ktoś ważny i bardzo chcą go odnaleźć. Mówili, że pewnie daleko nie uciekł i że szybko go złapią.

– Tak więc to wygląda... – Mateusz pokiwał głową. – A te bomby, co z nimi?

– Bomby? – Na twarzy Brandenburczyka pojawił się wyraz zmieszania. – No cóż, nie mówili o nich zbyt wiele...

– Przestań pieprzyć! Widzę przecież, że coś ukrywasz!

Otto pochylił głowę i zagryzł wargi, wyraźnie nad czymś się zastanawiał.

– Nie wiem, czy dobrze pojąłem sens tego, co powiedzieli, ale chyba jedną z nich dziś wywiozą...

Potał nerwowo brodę i odezwał się z wahaniem:

– Ma być detonowana na morzu, pod Gdańskiem. Powiedzieli, że z miasta nie zostanie kamień na kamieniu...

Mateusz zacisnął szczęki i zmrużył oczy.

– Jesteś tego absolutnie pewien? – spytał zmienionym głosem. – No cóż... Tak, czy nie?

– Tak, jestem pewien, że dobrze zrozumiałem. Ale może to przesada z tym wybuchem. Nie wyobrażam sobie, żeby Krzyżacy odważyli się...

– Idziemy! – Mateusz zacisnął dłonie w pięści i ruszył w stronę bramy.

– Co chcesz zrobić? – spytał niespokojnie drepzczący za nim Otto.

– Przecież to jasne, trzeba ich powstrzymać.

W głównej hali montowni technicy pospołu z naukowcami uwijali się jak w ukropie, pakując wyposażenie do drewnianych skrzyń, które ustawione w wielką pryzmę oczekiwały na załadunek. Choć przygotowania do ewakuacji trwały nieprzerwanie drugą już dobę, wszystko wskazywało na to, że nie uda się jej przeprowadzić w wyznaczonym terminie. Rozkaz o likwidacji ośrodka dotarł trzy dni temu i zaskoczył wszystkich. Protesty naukowców, domagających się co najmniej tygodnia na dokończenie załadunku, odrzucono stanowczo, tak więc już drugi dzień trwał wyścig z czasem. Wszystko zostało podporządkowane ewakuacji.

Kapitan Arnold Kądziela, dowódca ochrony ośrodka, energicznym krokiem przeciął plac przed montownią i wszedł do budynku. Zatrzymał się obok gotowej do odjazdu ciężarówki i rozejrzał po hali. Na widok sterty skrzyń na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. Ujął się pod boki i ryknął wściekle:

– Profesorze Zlog! Zechce pan podejść tutaj na chwilę!

Jeden z naukowców, starszy mężczyzna z nasuniętymi na koniec nosa okularami, zamarł z naręczem tekturowych teczek.

– Pan, panie Kądziela, chyba się zapomina – odpowiedział chłodno. – Nie jestem jednym z pańskich podwładnych i nie życzę sobie takiego tonu. Jeśli chce mnie pan o coś spytać, proszę pofatygować się osobiście.

– Jest pan odpowiedzialny za dotrzymanie terminu ewakuacji. – Kapitan zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał tej uwagi. Stał na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał się zimno grupie naukowców. – Zdaje pan chyba sobie sprawę, że jakiegokolwiek opóźnienie nie wchodzi w rachubę? Termin opuszczenia majątku wyznaczono na godzinę dwunastą dnia jutrzejszego. Jest to termin nieprzekraczalny. Czy zdaje pan sobie sprawę, że będę zmuszony powiadomić naszych zwierzchników o opóźnieniu?

Profesor Zlog odłożył teczki na bok, wytarł ręce w roboczy fartuch i podszedł wolno do kapitana.

– Drogi panie Kądziela, skoro tak pan stawia sprawę, to proszę dzwonić zaraz. Nie zamierzam narażać drogiego sprzętu tylko dlatego, że ktoś wymyślił sobie nierealny termin.

– Pan nie dopełnia swoich obowiązków...

– A pan? – przerwał mu gwałtownie Zlog. – Co pan wyprawia? Gdzie są pańscy ludzie? Dokąd ich pan wysłał? Ośrodek pozostał bez ochrony i to w chwili, gdy potrzeba jej najbardziej! Czy może mi pan to wszystko wyjaśnić? Gdzie jest profesor Hopkins? Czy pan coś przed nami ukrywa?

Przez twarz kapitana przemknął cień niepewności. Zerknął na grupę techników, którzy przerwali pracę, przysłuchując się z zaciekawieniem kłótni.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – powiedział ostro, starając się w ten sposób pokryć zmieszanie. – Proszę kontynuować załadunek. O szóstej wysyłamy transport specjalny. Do tego czasu pierwsza grupa transportowa musi być już gotowa.

Odwrócił się na pięcie i, nie czekając na reakcję naukowców, opuścił szybko budynek montowni. Przeszedł wzdłuż szpaleru modrzewi i skręcił w pierwszą z brzegu alejkę. Rozejrzał się uważnie na boki i gdy uznał, że nikogo nie ma w pobliżu, zaklął siarczyście. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Co go podkusiło, żeby zaczynać kłótnię z tym idiotą? Przecież ten bałwan Zlog, ten uczoney wariat, mógł w każdej chwili donieść jego zwierzchnikom, że niemal od dwóch godzin nikt nie ochrania największej tajemnicy Zakonu! Usiadł na starej, spróchniałej ławce i sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki. Wyjął pomietą paczkę i, nie bacząc na dane sobie przyrzeczenie, że porzuci wreszcie ten paskudny nałóg, zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i skupił wzrok na krzewach róż rosnących po drugiej stronie alejki, starając się zebrać myśli.

Czyżby ta banda okularników zaczęła coś podejrzewać? Chyba tak. Być może nawet rozmawiali już o tym. Przecież nie sposób nie zauważyć, że szef zespołu badawczego nie pojawił się w montowni. Może ukrywanie nieobecności Hopkinsa to był błąd? Może powinien powiedzieć im, że Hopkins zachorował albo źle się poczuł? Ale czy daliby wiarę jego słowom? Przecież widzieli go wczoraj zupełnie zdrowym. Kądziela wyrzucał sobie, że wyszedł tak nagle. Teraz dopiero zaczną gadać. Wypuścił dym i zagryzł wargi. Raz jeszcze przeanalizował sytuację. Uczony przepadł około godziny szóstej, najdalej w pół do siódmej nad ranem. Rano naukowiec udał się na swój zwykły spacer po ogrodzie. Przynajmniej w pierwszej chwili spacer wydawał się zwykły, bowiem Hopkins nie wrócił na śniadanie. Dopiero wtedy ludzie kapitana donieśli mu o zniknięciu Anglika.

Kądziela nakazał przeszukanie całego terenu, a kwadrans później wysłał pościg. Oznaczało to, że ten zdrajca zyskał co najwyżej godzinę przewagi. Przecież taka fajtlapa nie była zdolna pokonać w tym czasie więcej niż jedno, góra dwa staje! Nie znał terenu, nie mógł liczyć na pomoc miejscowej ludności, więc gdzie miał się schronić? Do granicy kawał drogi, poza tym gdyby nawet szedł lasami, to prędzej czy później zgubiłby się w nich. Psy podjęły trop w lesie na północ od ośrodka, więc ten człowiek szedł na ślepo, bez określonego celu. No bo dlaczego miałby uciekać w głąb wrogiego terytorium? To zupełnie bez sensu. A może nie?

W głowie kapitana zaświtała nagle myśl, że przecież tak naprawdę nie wie nic o tym człowieku z jakiegoś dzikiego kraju, który pojawił się tu w bliżej nieokreślonych okolicznościach. Nigdy nie powiedziano mu, kim właściwie jest Anglik, prócz krótkiej informacji, że należy mieć na niego szczególne baczenie. Profesor wyglądał jednak i zachowywał się normalnie. Szybko nauczył się języka i nie dawał żadnych powodów do niepokoju. W porównaniu z innymi naukowcami był nawet bardziej pracowity, często

przesiadywał do późna w swoim pokoju na poddaszu. Pewnego dnia poprosił o możliwość porannych spacerów, na które Kądziała osobiście zezwolił. Na początku kazał go pilnować, później jego ludzie przyzwyczaili się do codziennych przechadzek profesora Hopkinsa. A może ten człowiek nie był tak śmiesznie niezdatny, na jakiego wyglądał? Może tylko udawał, planując ucieczkę? Kapitan uśmiechnął się gorzko. Przyzwyczajenie okazało się zgubne. Oto w chwili, gdy jego ojczyzna stanęła do walki z odwiecznym ciemńycielem, on, dowódca ośrodka, w którym przetrzymywano cudowną broń Zakonu, czekał pogrążony w niepokoju na efekt poszukiwań. Wysłał niemal wszystkich ludzi, lecz ci ciągle nie wracali. Spojrzał na swoją złotą Pragę i zacisnął usta. Dochodziła dziewiąta. To już ponad dwie godziny, jak Hopkins zniknął. Poczł ponownie wzbierającą falę niepokoju, którą starał się stłumić od samego rana. Odrzucił ze złością papierosa i podniósł się z ławki. Nie podda się. Nie zamelduje, że popełnił błąd. Jego rodzina nie wybaczyłaby mu tak wielkiej plamy na honorze. Pochodził przecież z jednego z największych szlacheckich rodów Zakonu, który od wieków służył krajowi i nigdy go jeszcze nie zawiódł. On też nie zawiedzie. Za chwilę jego ludzie wrócą z tym szczerzym pomiotem, który odważył się narazić jego nazwisko na pohańbienie. Wtedy... Nie, wtedy nic nie robi. Najważniejsze jest to, aby nikt nie dowiedział się, że popełnił błąd. Pogada sobie z tym ścierwem na osobności i zaproponuje mu układ, że w zamian za milczenie puści w niepamięć jego ucieczkę. Jego podwładni go nie zdradzą, a naukowcy... No cóż, wymyśli jakąś wiarygodną bajeczkę. Nikt się nie może dowiedzieć o tym, co zaszło dzisiejszego ranka. Zaraz powrócą jego ludzie i cała rzecz zakończy się bez niepotrzebnych komplikacji. Tak stanie z pewnością. Niepotrzebnie ulega panice. Najważniejsze, to zachować spokój i kontrolować sytuację.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho i nabrał głęboko powietrza. – Jeszcze pół godziny cierpliwości i wszystko wróci do normy.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści, kiedy przemytnicy dotarli do miejsca, w którym lipowa aleja łączyła się z drogą powiatową Ortelsburg – Nidzica. Skryci za drzewem odczekali, aż przejadą samochody podążające w stronę Ortelsburga, po czym przebiegli szybko na drugą stronę. Zeszli do płytkiego rowu i przysiedli na jego skraju, zerkając co rusz ku widocznym w oddali zabudowaniom Nowego Sadu.

– Udało się, naprawdę się udało. – Otto, dysząc ciężko, odgarnął do tyłu mokre włosy. – Powiem ci, że kiedy leżliśmy tą przekłętą aleją, miałem pełne portki strachu. Bogu dzięki za ten deszcz. Leje tak, że świata nie widać. Jak sobie pomyślę, co by z nami zrobili, gdybyśmy wpadli im w ręce... Wleźliśmy w samo gniazdo szerszeni...

– Przypomnij sobie lepiej, czy w tej cholerniej wiosce była budka telefoniczna – przerwał mu niecierpliwie Mateusz. – Była czy nie?

– Chyba była... – Otto westchnął ciężko. – I tak nam nie uwierzą. Jak to właściwie sobie wyobrazasz? Zadzwonisz do Kowalskiego i co mu powiesz? Że we wsi Nowy Sad Krzyżacy

urządzili sobie tajny ośrodek, w którym przetrzymują swoją tajną broń? Wyśmieję cię, oczywiście jeśli w ogóle będzie chciał rozmawiać.

– Znasz kogoś innego, do kogo możemy zadzwonić?! Kowalski to jedyny człowiek, który może przekazać wiadomość wyżej.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. – Otto pokręcił głową z rezygnacją. – To wszystko wydaje mi się zupełnie nierealne. Nawet jeśli nam uwierzą, nie mogę wyobrazić sobie, co miałyby się dalej wydarzyć.

– Wyobraźnia nigdy nie była twoją mocną stroną. – Mateusz podniósł się z trawy i trącił Brandenburczyka w ramię. – Zamiast głądzić, po prostu zadzwońmy. Rusz tyłek.

Chwilę później maszerowali już rażno brukowanym traktem, wzdłuż którego ciągnęły się sady i pola. Przemknęli chyłkiem przez opustoszałą wieś i zatrzymali się na wprost piekarni usytuowanej nieopodal kościoła.

– Jest! – Mateusz odetchnął z ulgą na widok niebiesko-żółtej budki telefonicznej. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pięciomarkową monetę i obrócił ją w palcach.

– Poczekaj na zewnątrz – powiedział do Ottona. – We dwóch się nie zmieścimy – dodał wyjaśniająco.

– Jak chcesz – burknął obrażony Brandenburczyk.

Mateusz przymknął drzwi i sięgnął po słuchawkę.

Wsunął monetę i nakręcił numer.

– Majątek państwa Borynów, słucham uprzejmie – usłyszał nagle starczy głos.

– Witaj, Antoni, Mateusz z tej strony...

– A to niespodzianka! Skąd panicz dzwoni? Tyle czasu, tyle czasu! Już my tu wszyscy panicza wypatrywali...

– Wybacz, Antoni, nie mam zbyt wiele czasu. – Mateusz przerwał wywód służącego. – Poproś panią do telefonu.

– Już proszę, już proszę.

– Synku najdroższy! – Radosny okrzyk zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że dzwonisz! Czemuś tak długo milczał?! Zamartwiałam się o ciebie!

– Wszystko w porządku, mamó. Posłuchaj mnie uważnie, mam ci coś ważnego do powiedzenia...

– Gdzie ty jesteś? Słabo cię słyszę.

– Jestem w protektoracie, mamó...

– Co tam robisz? Obiecałeś, że będziesz na Wielkanoc. Nie byłeś. Niepokoiłam się o ciebie...

– Mamó, mam mało czasu. Dzwonię z budki telefonicznej, więc posłuchaj mnie uważnie. Słyszałaś pewnie o tej nowej krzyżackiej broni? O tym wielkim wybuchu na morzu?

– Boże mój jedyny! W coś ty się znowu wmieszał? Ja wiem, że ciężko pracujesz, żeby wyciągnąć nas z długów, ale...

– Mamo, w nic się nie wmieszałem. Wszystko jest w porządku...

– Poczekaj, synku, ojciec chce z tobą rozmawiać.

Mateusz zacisnął rękę na słuchawce.

– Czy jest znowu pijany?

– Jak możesz tak mówić! Wiesz, jak ciężko przeżył licytację...

– Jest pijany czy nie? – spytał ze złością Boryna.

– Oddaję ci go.

– Synu, to ty? Jesteś tam? Odezwij się wreszcie!

– Jestem...

– Dlaczego nie przyjechałeś na święta? Matka wszystko przygotowała! Czekaliśmy na ciebie!

– Nie mogłem, byłem zajęty.

– Znam ja te twoje zajęcia! Zamiast pilnować interesów, chodzisz z tą swoją bandą! Cała okolica ze mnie się śmieje!

Przemytnik zacisnął zęby i z trudem hamując złość, wycedził:

– Nie będę teraz o tym rozmawiać. Dzwonię, ponieważ jesteście w niebezpieczeństwie...

– Kostrzebski, ta przekłeta bezherbowa świnia, wykupił Owczarza! Miesiąc temu! Położył bydłak dwieście tysięcy i wziął cały majątek! Był u nas dwa tygodnie temu i proponował mi to samo! Słyszysz?!

– Słyszę, że jesteś pijany...

– Chcą nas wykupić, a ty włóczysz się z bandą obwiesiów zamiast ratować rodowe dobra!

– Po to właśnie się włóczę, żeby do tego nie dopuścić! – wybuchnął Mateusz. – Zarabiam pieniądze, żeby wykupić to, coś przepił!

W słuchawce zapadła nagła cisza. Mateusz uderzył słuchawką o aparat.

– Sukinsynu! Przekłety sukinsynu!

Otarł ręką czoło, spojrzał na oczekującego Ottona i sięgnął po książkę telefoniczną. Otworzył jej polskojęzyczną część i odszukał spis instytucji państwowych województwa brzesko-kujawskiego. Przerzucił kilka stron.

– To chyba będzie to. – Jego palec zatrzymał się na numerze telefonu Czwartej Komendy Policji z siedzibą w Toruniu.

Sięgnął po słuchawkę i wrzucił kolejną monetę. Nabrał głęboko powietrza i wykręcił sześciocyfrowy numer. W słuchawce rozległ się, piskliwy, jednostajny sygnał.

– Bądź na miejscu – mruknął przez zaciśnięte zęby.

– Czwarta komenda, słucham – odezwała się grzecznie telefonistka.

– Chciałbym rozmawiać z nadinspektorem Antonim Kowalskim – powiedział szybko.

– Proszę czekać.

Minęło kilkadziesiąt sekund. Słyszał wyraźnie jednostajny stukot maszyny do pisania. Ktoś w niewielkiej odległości rozmawiał głośno.

– Pospiesz się, do cholery – spoglądał co chwila na zegarek.

– Kowalski, słucham – rozległ się nagle basowy głos. – Słucham. Jest tam kto?

– Witam, nadinspektorze, mówi Mateusz Boryna.

W słuchawce zapadła cisza.

– Że co? Boryna? Ten Boryna? Czy to jakieś kpiny?

– Domyślam się, że jest pan zaskoczony, ale to naprawdę ja. Proszę posłuchać mnie uważnie. Mam niezwykle ważną wiadomość. Proszę, żeby przez chwilę pan mi nie przerywał. Dzwonię z budki telefonicznej z protektoratu. Pozostało mi jakieś siedem minut, więc przejdę od razu do rzeczy.

Mateusz mówił szybko, starając się jednak, by jego opowieść brzmiała logicznie. Relacja z wydarzeń ostatniego tygodnia zajęła mu cztery minuty.

– ...bombę wywozą dziś wieczorem. Dotrze na miejsce najpewniej jutro rano. Czy zrozumiał pan wszystko, co powiedziałem? – spytał drżącym z emocji głosem.

– Zrozumieć zrozumiałem, ale to, co usłyszałem, brzmi nieprawdopodobnie! – Po tonie głosu Mateusz poznał, że Kowalski właśnie teraz obiecuje sobie przy najbliższej okazji dokładnie pokazać przemytnikowi, co sądzi o tego typu żartach.

– Wiem, ale proszę mi wierzyć – nie wymyśliłbym czegoś takiego! Powiem szczerze, że nie wiem, jak przekonać pana, że to, co powiedziałem, jest prawdą. Wiem, co pan o mnie myśli, lecz musi mi pan uwierzyć. Stoję w tej pieprzonej budce i widzę stąd, jak wieśniacy kopią rów przeciwczołgowy. – Minął się nieco z prawdą, bowiem widok z budki ograniczał się tylko do frontu kościoła, lecz uznał jednak, że doda to jego słowom dramatyzmu.

– Panie Boryna, ja też nie wiem, co powiedzieć. Opowiedział mi pan, jak wszedł do pilnie strzeżonego ośrodka, dowiedział się, że samochód z tym świnstwem jedzie do Królewca i wyszedł stamtąd bez szwanku. – Kowalski nie szczędził ironii. – Domyśla się pan, co o tym sądzę?

Mateusz zacisnął usta.

– Wiem, jak to brzmi, ale tak właśnie było.

– Biorąc pod uwagę pańską przeszłość, mogę spodziewać się różnych rzeczy...

– Inspektorze. – Przemytnik z trudem pohamował narastającą złość. – Ma pan moje akta. Jest w nich informacja, że ojciec mój posiada pod Gdańskiem majątek. Dlatego właśnie zamierzam nakłonić Prusów, by zaatakowali Krzyżaków.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

– Mówi pan poważnie? – Rozmówca był wyraźnie zaskoczony.

– Najzupełniej, inspektorze.

– Sądzi pan, że Prusowie zgodzą się zaatakować folwark? Mówił pan, że jest ich zaledwie czterdziestu i są słabo uzbrojeni.

– Komturalnych również nie ma wielu – odparł ze zniecierpliwieniem Mateusz. – Uderzymy z zaskoczenia i opanujemy teren. Jednak jeśli nie otrzymamy szybko pomocy...

– Dobrze, panie Boryna. Przekażę co usłyszałem, ale niczego nie obiecuję.

– Niech pan tylko powiadomi armię! – Mateusz usłyszał sygnał informujący, że pozostało mu pięć sekund rozmowy. – Niech im pan powie, że mają zaledwie kilka godzin! Kilka godzin! Jeśli będzie to możliwe, spróbuję się jeszcze skontaktować!

W słuchawce zapadła cisza. Przemysłnik westchnął ciężko. Wyszedł z budki i zerknął na Ottona, który przyglądał mu się z niepokojem wypisanym na twarzy.

– I co? Co powiedział?

– Przekáže wiadomość.

– Uwierzył ci?

– Czy uwierzył? – Mateusz wzruszył ramionami. – To akurat nie jest istotne. Najważniejsze, żeby armia przysłała nam posiłki.

– Posiłki? Jakie posiłki? O czym ty mówisz?

– Uderzymy na majątek.

Brandenburgczyk otworzył usta ze zdumienia.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz zaatakować komturalnych?

– Dokładnie. – Boryna energicznie pokiwał głową. – Uderzymy na majątek, opanujemy go i poczekamy, aż Rzeczpospolita przyśle posiłki.

– Rozumiem, co czujesz...

– Gównie rozumiesz! Inaczej byś mówił, gdyby te świnię chciały zniszczyć Berlin.

– No tak – Otto westchnął ciężko. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z ryzyka? Wiesz, co stanie się, jeśli Rzeczpospolita nie zdecyduje się na wysłanie wojsk?

– Będą tu za kilka godzin. – Mateusz desperacko pragnął, by jego słowa miały pokrycie w rzeczywistości.

– A Prusowie? Zgodzą się uderzyć na folwark? – Otto z wolna poddawał się biegowi zdarzeń.

– Zgodzą się. – Kąciki ust Boryny drgnęły nieznacznie. To była ta łatwiejsza część planu.

– Coś wymyślił?

– Opowiem po drodze. – Mateusz spojrzął na zegarek. – Za kwadrans dziesiąta. Zbieramy się stąd.

* * *

Nadinspektor Antoni Kowalski, szef Czwartej Komendy Policji państwowej w Toruniu, odłożył słuchawkę i zerknął na swojego zastępcę, inspektora Mieczysława Jaworca, który dwa biurka dalej rozmawiał przez telefon i jednocześnie notował coś w kajecie.

– Mietek, kończ rozmowę i chodź do mnie!

– Stało cię co? Mam huk roboty...

– Przystań się mądrzyć i chodź ze mną. Musimy pogadać. – Kowalski machnął niecierpliwie ręką i ruszył w stronę swojego gabinetu, mieszczącego za przeszkloną ścianą, która dzieliła główną salę komendy na dwie części.

Gdy znaleźli się w gabinecie, nadinspektor zamknął drzwi i wskazał podwładnemu krzesło.

– Siadaj.

– Co jest? – Inspektor przyglądał się zwierzchnikowi badawczo. – Dziwnie wyglądasz... Kowalski zajął miejsce za biurkiem, zapalił papierosa i spojrzał na Jaworca z namysłem.

– O ile pamiętam, to ty zajmujesz się grupą tego przemytnika Boryny?

– No ja. A bo co?

– Opowiedz mi o nim. Wszystko, co wiesz, ze szczegółami.

– Ze szczegółami? – Inspektor wzruszył ramionami. – To zajmie ze dwie godziny.

– Chcę wiedzieć, jaki to człowiek i jakie ma kontakty – sprecyzował Kowalski.

– Nie znam go aż tak dobrze, wódki razem nie piliśmy. Widziałem go tylko raz, gdy moi ludzie przyskrzynili go na granicy. Gdy go zatrzymaliśmy, zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Wiem na pewno, że wiozł karabiny dla Prusów, ale te zniknęły bez śladu. Najpewniej dowiedział się o obławie i porzucił je gdzieś w lesie. Szukaliśmy ich, ale bezskutecznie. Boryna szedł w zaparte. Nawet mu powieka nie drgnęła. Co by o nim nie powiedzieć, ma sukinsyn nerwy ze stali. – W głosie Jaworca pojawiła się niechęć, ale i coś jakby podziw.

– A reszta jego grupy? Co to za ludzie?

– To zbieranina z całej Rzeczypospolitej. Dymitr Laszko, najemnik, który przez kilka lat służył w prywatnych oddziałach Afrykanów. Walenty Kuna, góral z Bieszczad, na weselu swojego brata zabił po pijanemu jednego z gości. Andrzej Kościuch znany jako Sołtys, pełnił ten urząd w swojej rodzinnej wsi, dopóki w kasie nie odkryto braku piętnastu tysięcy moresów. Skazany na pięć lat odsiedział wyrok, po czym przyłączył się do Boryny. Ostatni z nich, to Otto Hötzel, Brandenburczyk z Berlina. Wiem o nim tylko to, że pracował w majątku ojca Boryny. Mówiąc krótko, to same szumowiny.

– Gdzie leży ten majątek? – spytał szybko Kowalski.

Jaworzec zawahał się na chwilę.

– Gdzieś pod Gdańskiem, wieś nazywa się chyba Gdynia albo jakoś tak.

– Rozumiem. – Kowalski skinął głową.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – spytał nieco zniecierpliwiony inspektor. – Skąd to nagłe zainteresowanie Boryną?

– Odebrałem przed chwilą bardzo dziwny telefon. – Kowalski zaciągnął się głęboko. – Wyobraź sobie, że dzwonił do mnie właśnie Boryna.

– Słucham? – Na twarzy Jaworca pojawił się wyraz niedowierzania. – Dzwonił do ciebie? Czego chciał?

Nadinspektor opowiedział. Nie pomijając żadnego szczegółu rozmowy.

– Co o tym sądzisz? – Spojrzał na podwładnego z zaciekawieniem.

– Co tym sądzę? – Tamten wzruszył ramionami. – Dość nieprawdopodobna historia. Z drugiej strony... Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby coś takiego wymyślać. Poza tym to żaden histeryk, tylko kawał twardego skurwysyna.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Jaworzec spoglądał na szefa wyczekująco.

– A ty? Co ty byś zrobił?

– Powiadomiłbym armię – odparł po chwili inspektor. – Niech sami podejmą decyzję.

Kowalski westchnął ciężko i popatrzył niezdecydowanie na telefon.

– Jeśli to prowokacja, wyjdziemy na durniów...

– A jeśli to prawda?

– Jeśli to prawda, zostaniemy bohaterami...

Rozdział 14

Jałta – Biały Pałac

21 maja 1957 roku

Niewielki śmigłowiec „Dniestr-2” przemknął zwinnie pomiędzy szczytami Gór Krymskich i po kilku minutach lotu znalazł się nad przedmieściami Jałty. Pilot obniżył lot i posadził maszynę na tyłach Białego Pałacu. Nie umilkł jeszcze jęk turbiny, kiedy dwaj pasażerowie wyskoczyli na trawnik i instynktownie przygięci w obawie przed kręcącymi się wciąż łopatami wirnika, ruszyli w stronę otoczonej drzewami budowli.

Przed drzwiami oranżerii, w otoczeniu agentów ochrony czekał Aleksander Sörgel, osobisty lekarz Kanclerza.

– Witam panów – przywitał się sztywno.

– Jak wygląda sytuacja? – spytał bez wstępów pierwszy z nich. – Jak on się czuje?

– Jest źle – odparł poważnym tonem Sörgel. – Proszę o ograniczenie czasu wizyty do niezbędnego minimum. I jeśli to możliwe, proszę go nie denerwować. Ostatnie dni były dla niego naprawdę bardzo ciężkie.

– Rozumiem. – Przybysz skinął głową. – Postaramy się nie zająć mu zbyt wiele czasu.

* * *

Maksym Chmielnicki siedział w swoim ulubionym fotelu wystawionym na środek tarasu i wpatrywał się znieruchomiałym wzrokiem w spokojną taflę Morza Czarnego. Na jego twarzy, chorobliwie bladej, malowało się znużenie.

Wydarzenia ostatnich dni zaowocowały kolejnym kryzysem. Wczoraj nad ranem pojawiły się duszności i bóle w piersiach, których nie zdołał już ukryć przed lekarzami. Sörgel kategorycznie stwierdził, że jeśli jego podopieczny natychmiast nie zostanie przewieziony do szpitala, nie weźmie na siebie odpowiedzialności za jego życie. Chmielnicki równie kategorycznie odmówił.

Biały Pałac, otoczony przez tłumy dziennikarzy, został odizolowany od świata zewnętrznego kordonem policji. Wejść do budynku można było tylko posiadając specjalną

przepustkę, a każdy z pracowników podpisywał klauzulę absolutnej tajności. Stan zdrowia najwyższego urzędnika Rzeczypospolitej stał się pilnie strzeżoną tajemnicą państwową, a wszystko na osobiste polecenie samego Kanclerza. Chmielnicki rozpaczliwie próbował ratować honor własny i Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy, odkąd objął urząd kanclerski, jego ukochana ojczyzna była w sytuacji, w której znalezienie wyjścia było zadaniem daleko ponad jego siły i możliwości. Teraz dopiero widać było, jak za sprawą buntu w protektoracie ucierpiał prestiż Najjaśniejszej.

Zdumiona Europa śledziła z zapartym tchem sytuację na północy. Finowie i Szwedzi, porażeni stratami, jakie spowodowała eksplozja bomby atomowej, odmówili uznania krzyżackich spiskowców za zbrodniarzy. Przyjęli potulnie krzyżackie ultimatum, dotyczące przekazania wszystkich wysp bałtyckich zagarniętych podczas Wojny Północnej. Turcja natychmiast poparła Krzyżaków, proponując im zawarcie sojuszu przeciwko Rzeczypospolitej, z zachodu docierały wieści, że i Hamburg zamierza uznać niepodległość protektoratu. Chmielnicki nie musiał czytać gazet, by wiedzieć, że odpowiedzialnością za wszystkie nieszczęścia obciążano właśnie jego.

Za dwa tygodnie zbierało się Zgromadzenie Narodowe, które miało głosować wotum zaufania dla rządu. Wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że rząd zostanie odwołany. Dumni Chłopi*, skuszeni obietnicami Laborystów, przeszli już do wrogiego obozu. Bezherbowi jeszcze się wahali, lecz i oni najwyraźniej stracili wiarę w możliwość uratowania obecnego układu politycznego. A wrogowie Kanclerza nie zamierzali czekać do wyborów. Nadto, za kilkanaście godzin upływał termin krzyżackiego ultimatum. Chwila, w której będzie musiał podjąć trudną decyzję, była coraz bliżej...

Nagły ruch w okolicach drzwi przerwał jego ponure myśli. Obrócił głowę, spoglądając z zaskoczeniem na Zamojskiego i Potapiuka.

– Wy tutaj? – spytał zdziwiony. – Czy coś się stało?

Dowódca Drugiej Armii Litewskiej i szef Wydziału Piątego stanęli przed Kanclerzem, przyglądając mu się badawczo.

– Jak się czujesz? – spytał Zamojski, nie siląc się nawet na ukrywanie troski.

– Jeszcze żyję – odparł niechętnie Chmielnicki. – Pogłoski o mojej szybkiej śmierci to bzdury wypisywane przez tych zidiociałych pismaków. Mówcie, z czym przychodzicie.

– Spójrz na to. – Zamojski podał kanclerzowi szarą kopertę oznaczoną nadrukiem „ściśle tajne”.

Chmielnicki otworzył kopertę i przebiegł wzrokiem treść meldunku. W miarę jak czytał, wyraz jego twarzy ulegał zmianie.

– Mój Boże, czy to możliwe? – Podniósł zdziwione spojrzenie na swoich gości.

* Dumni Chłopi – określenie to w pierwotnym znaczeniu dotyczyło powstańców biorących udział w Wielkim Buncie Ukraińskim. Od 1724 roku mianem tym zaczęto określać pierwsze założone przez Dymitra Koziańczuka chłopskie ugrupowanie polityczne.

– Jesteśmy ostrożni w osądach, ale istnieje spora szansa, że ten człowiek mówi prawdę – odparł Potapiuk.

– Mateusz Boryna. – Kanclerz ponownie spojrzął na meldunek. – Czy to nie ten sam, który kilka lat temu napadł na krzyżacki statek?

– Ten sam – potwierdził Zamojski. – Jego ojciec posiada pod Gdańskiem majątek, więc motywy są tu raczej oczywiste, z drugiej jednak strony w jego relacji można znaleźć wiele niejasności. Twierdzi, że wszedł na teren tajnego ośrodka i wydostał się stamtąd chwilę po tym, jak podsłuchał rozmowę o kolejnej detonacji bomby, która ma nastąpić po odrzuceniu krzyżackiego ultimatum. Moi ludzie nie wykluczają możliwości, że jest to prowokacja, mająca zmusić nas do ustępstw.

– Powiedziałeś jednak, że istnieje prawdopodobieństwo, iż mówi prawdę. – Chmielnicki wpatrywał się w Zamojskiego w napięciu.

– Gdybyśmy nie zakładali, że mimo wszystko to może być prawda, nie byłoby nas tu. – Potapiuk spojrzął na zegarek. – Boryna twierdzi, że Prusowie próbują opanować montownię. Teraz trzeba podjąć decyzję, czy wyślemy samolot zwiadowczy. Tylko w ten sposób możemy przekonać się, czy mówił prawdę.

– Musisz jednak wiedzieć, że Krzyżacy mogą uznać to za naruszenie warunków ultimatum – powiedział ostrożnie Zamojski. – To bardzo ryzykowna sprawa. Jeśli coś pójdzie nie tak, konsekwencje mogą być niewyobrażalne.

Chmielnicki zacisnął dłoń na kartce papieru. Wbił wzrok w linijki tekstu, jakby starał się przeniknąć ukrytą w nich tajemnicę.

– Generale Potapiuk, proszę wysłać samolot – zdecydował w końcu. – Muszę wiedzieć, co tam się dzieje.

Rozdział 15

*Zakon Krzyżacki – wieś Novy Sad
22 maja 1957 roku*

Mateusz i Walocha, przycupnąwszy wśród krzaków jeżyn porastających skraj lasu, przyglądali się w milczeniu zwiadowcy, który w przemoczonym, uwalanym błotem kubraku, podobnym bardziej do worka niż do ubrania, siedział na wprost nich, próbując opanować szczykanie zębów.

– Dotarłeś więc tylko do ogrodu – odezwał się po chwili dowódca Legionu. – Zauważyłeś kogoś? Jakieś posterunki, patrole?

– W ogrodzie nie było nikogo. – Prus pokręcił przecząco głową. – Pełzłem wzdłuż ogrodzenia. Jest nowe, solidnie wykonane, wysokie na jakieś półtora łokcia. Za ogrodem płot biegnie wzdłuż szpaleru brzoź. W tym właśnie miejscu kończy się osłona...

– Widziałeś kogoś na placu przed chlewnią? – Spytał niecierpliwie Mateusz.

– Plac był pusty – odparł zwiadowca. – Dalej nie szedłem, bo istniało ryzyko, że ktoś mnie jednak wypatrzy.

Walocha opuścił głowę, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Wracaj do reszty. – Odprawił podwładnego ruchem ręki i popatrzył na przesłonięty drzewami dwór. Z miejsca, w którym się znajdowali, widać było tylko dach budynku.

– Dobrze wybrali punkt – mruknął niechętnie. – Wokół wszędzie pola i tylko jedna droga, którą łatwo kontrolować. Trudno będzie ich zaskoczyć.

– O czym mówisz? – Przemytnik przyglądał się Prusowi badawczo. – Słyszałeś przecież, że ochrona jeszcze nie wróciła. Folwarku pilnuje zaledwie kilku ludzi.

– Tego nie wiemy na pewno – przerwał mu tamten. – To, że zwiadowca nikogo nie widział, o niczym jeszcze nie świadczy. A jeśli się na nich natkniemy... No cóż. Sam wiesz najlepiej, czym to się skończy.

– Nie masz racji! – zaprotestował gwałtownie Boryna. – Gdyby tam byli, zauważylibyśmy to na pewno. Ale ich tam po prostu nie ma. Jestem pewien!

Walocha westchnął ciężko, po czym obrócił się do tyłu i ruchem ręki przywołał siedzącego pod drzewem Hopkinsa.

– Profesorze, zechce pan podejść na chwilę – powiedział po niemiecku.

– Tak, oczywiście. – Naukowiec podniósł się ociężale i, kuśtykając, podszedł do Prusa.

– Domyśla się pan zapewne, że zamierzamy uderzyć na majątek?

– Wdzięczny jestem Allachowi, że natchnął was duchem walki. – Hopkins uśmiechnął się z wysiłkiem, ale z pewnością szczerze.

– Niech opowie pan wszystko, co wie na temat tego miejsca. Ilu jest komturalnych, jaką mają broń i jak są rozlokowani?

– Ilu ich jest, nie wiem na pewno – odparł z namysłem profesor. – Myślę jednak, że niezbyt wielu. Czterdziestu, może pięćdziesięciu. Patrolują ośrodek dwadzieścia cztery godziny na dobę, mają też kilkanaście psów. Posterunki są w ogrodzie, parku i w pobliżu montowni. Co do uzbrojenia, niewiele mogę powiedzieć. Nie znam się na tym. Mają karabiny, ale ich dowódca, kapitan Kądziała, zakazał obnoszenia się z bronią.

– Niech pan sobie przypomni, czy widział pan karabiny maszynowe. To takie pistolety, z których można strzelać bez chwili przerwy.

– Wiem, co to karabiny maszynowe. Nie widziałem, ale nie wykluczam, że mogą nimi dysponować.

– A ten oficer, ich dowódca, co to za człowiek?

– Gdyby mieszkał w Anglii, służyłby pewnie w Fastacie. – W głosie Hopkinsa pojawiła się mimowolna odraza. – Trzyma swoich ludzi krótko, jest obowiązkowy i zawzięty, ale brak mu polotu.

– Rozumiem. – Walocha skinął głową. Patrzył na ogród, bezmyślnie pocierając brodę.

– Co powiedział? – Mateusz po prostu musiał wiedzieć.

– Niewiele. Potwierdził tylko, że komturalnych nie ma więcej niż pięćdziesięciu.

Prus zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

– Wpół do jedenastej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy musieli utrzymać się przez jakieś cztery, pięć godzin.

– Damy radę! – Boryna starał się niezłomnie wierzyć we własne słowa. – We wsi jest tylko pospolite ruszenie, nie ma się czym przejmować.

– Wiem o tym. – Walocha skinął głową. – Pospolite ruszenie to głupstwo, ale jeśli zdążą zorganizować odsiecz... No cóż, będziemy w niezłych opałach.

– Gramy o wysoką stawkę. Wiesz dobrze, ile możecie zyskać, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Wiem o tym dobrze. – Dowódca Legionu wciąż nie odrywał spojrzenia od dworu. – Tylko dlatego zdecydowałem się na to szaleństwo.

– To nie szaleństwo, to szansa...

– Jeśli już, to chyba na to, żeby położyć głowę w słusznej sprawie, bo na to, żeby ją wynieść cało – minimalna. Być może Rzeczpospolita zdecyduje się na atak. I tak, zanim podejmą decyzję, będzie już po nas.

– Nie rozumiem cię. – Mateusz spojrział na Walochę ze zdziwieniem. – Uważasz, że atak na folwark to samobójstwo, a mimo to chcesz to zrobić? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Wbrew pozorom to bardzo proste. Jeśli tylko istnieje choćby cień nadziei, że zdobędziemy tę przeklętą broń, gotów jestem poświęcić siebie i wszystkich moich ludzi... – Walocha zamilkł nagle, bowiem gdzieś z tyłu rozległ się głośny krzyk.

– Puść mnie do cholery! – Kostas, czerwony z gniewu, próbował uwolnić się z objęć Waltora. – Puść mnie! Chcę z nim pogadać!

– Uspokój się. – Waltor próbował powstrzymać rozjuszonego młodzieńca. – Masz iść ze mną...

– Spieprzaj! Nigdzie nie pójde. – Kostas odtrącił rękę Waltora, stanął przed dowódcą Legionu na szeroko rozstawionych nogach i zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Co ty sobie wyobrażasz?! Kazałeś Waltorowi odprowadzić mnie do granicy? Myślisz, że się na to zgodzę?!

– Jesteś głową klanu – odparł spokojnie Walocha. – Nie pozwolę byś brał udział w ataku. Możesz zginąć...

– Nie traktuj mnie jak dziecko! Nigdzie nie pójde!

– Posłuchaj mnie...

– To ty mnie posłuchaj! – przerwał ostro Kostas. – Jestem głową klanu, tak? Musisz mnie więc słuchać, mam rację? Więc powiem ci, jak będzie. Zostanę z wami i wezmę udział w walce. Może jestem młody i nie mam wielkiego doświadczenia, ale strzelać potrafię doskonale. Ty poprowadzisz ludzi, a ja będę wśród nich. Nie może być tak, że głowa klanu bierze nogi za pas, gdy inni ryzykują życie. I nie próbuj mnie przekonywać – dodał twardo. – Nie zmienię zdania.

– Całkiem jakbym widział Witolda. – Waltor spoglądał na młodzieńca z uznaniem.

– To w końcu Kaunigas. – Mateusz poklepał chłopaka po plecach. – Gorąca głowa i ośli upór.

– Przestańcie mi tu pieprzyć! – mruknął ze złością Walocha. – Nie po to wyprowadziłem go z Kiejsztan, żeby teraz położył głowę!

– Będziemy go dobrze pilnować – powiedział Waltor.

– Nikt mnie nie musi pilnować – burknął Kostas, zerkając spode łba na dowódcę Legionu.

– Jeśli koniecznie chcesz zostać, musisz mi obiecać, że nie zrobisz żadnego głupstwa – powiedział tamten po chwili pełnego niechęci milczenia. – Żadnych bohaterskich czynów. To prawdziwa walka, w której zginąć może wielu ludzi. Zrozumiałeś mnie dobrze?

– Co miałem nie zrozumieć. – Kostas wzruszył ramionami. – Będę na siebie uważał. Zadowolony?

Walocha westchnął ciężko.

– Przydzielam cię do kompanii Jastrzębi. Ruszamy za kilka minut.

Kostas uśmiechnął się radośnie.

– Dzięki!

Dowódca Legionu spoglądał nachmurzonym wzrokiem za oddalającym się młodzieńcem.

– Waltor, obejmiesz dowództwo nad Jastrzębiami. Masz nie spuszczać go ani na chwilę z oka. Ani na chwilę.

– Będę go pilnował, możesz być spokojny...

– I jeszcze jedno. Gdyby coś poszło nie tak, natychmiast wrócisz z nim do lasu i przeprowadzisz przez granicę. Gdyby się opierał, użyj siły. On nie może wpaść knechtom w łapy.

– Jakby co, wyniosę go na własnych rękach – obiecał dowódca Jastrzębi.

– Czy coś się stało? – spytał niespokojnie Hopkins, który przysłuchiwał się rozmowie w napięciu.

– Wszystko w porządku, profesorze – odparł Walocha. – Za chwilę ruszamy do ataku.

– Pójdę z wami – powiedział szybko naukowiec. – Nie przydam się w walce, ale dopilnuję, by ładunki były bezpieczne. To bardzo skomplikowane urządzenia i nikt niepowołany nie powinien przy nich majstrować.

– Dobrze. – Walocha nabrał głęboko powietrza i zerknął na Mateusza. – Obejmiesz komendę nad Sokołami. Obejdiesz z nimi ogród i uderzysz wprost na budynki, w których knechty przetrzymują bomby. Pamiętaj, żeby oszczędzać amunicję.

– O nic się nie bój – odparł spokojnie przemytnik. – Pogonię drani.

– Tylko bez brawury. – Walocha podniósł ostrzegawczo dłoń. – Jeśli będą stawiać opór, poczekaj na mnie.

– Postaram się wyprzeć ich na dziedziniec. – Mateusz ruchem głowy wskazał na dwór. – To niczym nie osłonięty plac, łatwo ich tam wykończymy.

– Nie dopuść, żeby zaszyli się w parku. Jeśli wleżą między drzewa, trudno będzie później ich wyłuskać...

– Powodzenia. – Walocha uśmiechnął się nieznacznie. – Niech Bóg ma cię w opiece.

– Ciebie też. Uważaj na siebie. – Mateusz obrócił się na pięcie i ruszył przez krzaki jeżyn.

Minął Prusów z kompanii Jastrzębi i po kilku minutach wytężonego marszu znalazł się na leśnej drodze prowadzącej w głąb lasu. Przeszedł nią sto łokci i skręcił między drzewa.

– Kto idzie?! – Gdzieś z prawej strony dobiegł go nagły okrzyk.

– Nie drzyj się, Otto, to ja. – Na widok Brandenburczyka celującego do niego z karabinu zatrzymał się nagle. – Przestań wymachiwać tą flintą. Jeszcze zrobisz komuś krzywdę. Gdzie reszta?

– Czekamy na ciebie. – Speszony Otto wskazał na grupę ludzi skupionych pod wielką sosną.

– Jesteś wreszcie. – Sołtys podniósł się z ziemi. – I co? Kiedy ruszamy?

– Za kilka minut. Najpierw pójdzie Walocha, my zaraz za nim.

Mateusz spojrział w stronę folwarku. Cel ich ataku – budynek chlewni – widać było stąd w całej okazałości. Otaczały go drzewa, posadzone rzędem wzdłuż wysokiego na półtora łokcia płotu wykonanego z metalowych, ostro zakończonych prętów.

– Będziemy musieli pokonać jakieś sto, sto pięćdziesiąt łokci. – Dymitr spoglądał w napięciu na pole dojrzewającego żyta, dzielące ich od folwarku. – Martwi mnie trochę ten płot. Jeśli ci dranie zauważą nas przedwcześnie, może być nieciekawie.

– Mnie nie tylko to martwi – mruknął Sołtys. – Cały ten plan to czyste szaleństwo.

– Rozmawialiśmy już o tym – przerwał mu agresywnie Mateusz. – Każdy z was miał podjąć decyzję, czy weźmie udział w walce. Jeśli któryś zmienił zdanie, niech wycofa się teraz. To ostatnia chwila, później będzie już za późno.

– Daj spokój – powiedział pojednawczo Dymitr. – Mieliśmy dość czasu, żeby wszystko przemyśleć i postanowiliśmy iść z tobą.

– O tej chwili będziemy opowiadać wnukom. – W głosie Kuny słuchać było wzruszenie.

– Jak wszystko pójdzie dobrze, zostaniemy bohaterami.

– Pod warunkiem, że przeżyjemy – mruknął Sołtys.

– Myślicie, że dadzą mi obywatelstwo? – spytał nieśmiało Otto, który, stojąc z boku, spoglądał co chwila na swoich kompanów i na zabudowania folwarku. – Jak zdobędziemy te bomby, nie będą chyba robić problemów?

– Dostaniesz nawet medal – zapewnił go z przekąsem Sołtys. – Może nawet dwa...

– Zamknij się! – Mateusz podniósł dłoń i spojrział na zegarek. – Jedenasta czterdzieści pięć. Ruszajcie tyłki. Czas na nas.

Piętnastu ludzi wypęzło z lasu i zanurzyło się w zbożu.

– Jak ustawiacie te skrzynie?! Pytam się, jak je ustawiacie?! – Kapitan Kądziela odtrącił jednego z techników i wskoczył na platformę żubra, podstawionego pod drzwi stajni. – Mamy tylko sześć ciężarówek! Myślicie, że ładując w ten sposób pomieścicie wszystko?!

Trzech techników, stojących w otwartych drzwiach spoglądało na kapitana w milczeniu. Wiedzieli doskonale, że gdy Kądziela jest wściekły, lepiej schodzić mu z drogi.

– Ustawiajcie skrzynie jedna na drugiej, te większe na dół, mniejsze na górę. – Kapitan chwycił jedną z nich i przesunął do tyłu. – Musicie wykorzystać każdy skrawek wolnej przestrzeni. Ostrzegam was, że jeśli wszystko się nie pomieści, rozpoczniecie załadunek od nowa.

– I tak się nie pomieścimy – mruknął któryś z techników. – Powinni dać nam więcej samochodów.

– Jest ich tylko sześć i więcej nie będzie – odparł ze złością Kądziela. – Powtarzam raz jeszcze, macie pakować z głową, a nie jak popadnie. Myślcie przy robocie!

Zeskoczył z platformy i, nie oglądając się na techników, opuścił stajnię. Wyszedł na dziedziniec i z zaszępią miną podążył ku bramie. Szedł wolno, nie zwracając uwagi na wodę wypełniającą zagłębienia w żwirowej alei. Jego myśli były równie ponure jak niebo przesłonięte ołowianymi chmurami.

Od chwili ucieczki profesora minęły już prawie cztery godziny. Nadzieja, jaką żył cały poranek, zmieniła się w rozpacz. Za pół godziny musi przecież złożyć raport z postępów w ewakuacji. Jeśli zamelduje, że wszystko jest w porządku, przekroczy granicę, za którą, w przypadku fiaska poszukiwań, czeka go sąd i kula w łeb. Jeśli zaś przyzna się, że samowolnie pozbawił ośrodek ochrony, nie czeka go nic lepszego. W najlepszym wypadku, co było mało prawdopodobne, zostanie zdegradowany. Rodzina się go wyprze, zostanie pozbawiony tytułu szlacheckiego i... Nie chciał nawet myśleć, co jeszcze. Z dwojga złego wolałby już tę kulę w łeb. A może podjąć ryzyko i zyskać na czasie? Przecież to niemożliwie, żeby ten przeklęty oferma zdołał uciec! A jednak. Jak to się mogło stać? Jak to w ogóle możliwe? Czterdziestu ludzi z psami nie potrafi odnaleźć starca? Potrząsnął głową, jakby starał się odpędzić upiorną myśl, która wracała natrętnie. Czyżby ten człowiek mimo wszystko zdołał nawiązać kontakt z Rzeplitami? Ledwie zwerbalizował dręczący go koszmar, gdy poczuł, jak jego żołądek ściskają stalowe szczęki. Zrobiło mu się niedobrze. Przystanął na skraju alei, oddychając głęboko. Nie, to niemożliwe, to po prostu niemożliwe! Nerwy i wyobrażenia podsuwają mu najgorsze rozwiązania! Zacisnął usta, czekając, aż rytm serca wróci do normy.

Nagle wyprostował się gwałtownie. Przecież rozwiązanie jest proste! Zaraz ściągnie ludzi i zarządzi natychmiastową, alarmową ewakuację! Wytłumaczy ją właśnie ucieczką profesora! Nie, to nic nie da... Fala entuzjazmu szybko opadła. Pozostaje problem owych nieszczęsnych czterech godzin, z których trudno będzie mu się wytłumaczyć, no i sam fakt ucieczki. Zwłokę w ewakuacji jakoś jeszcze by uzasadnił, ale cóż z tego. Mógłby oskarżyć swoich ludzi o zaniedbanie, w końcu to oni zawinili, ale przecież jako dowódca ponosił całkowitą odpowiedzialność za bezpieczeństwo ośrodka. Co więc pozostaje? Kogo wskazać jako winnego? Nic nie przychodziło mu do głowy. Nic w miarę prawdopodobnego. A może jednak... Nagła myśl, olśnienie dodały mu skrzydeł. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta czterdzieści. Pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Ruszył szybko w stronę bramy.

Dwóch komturalnych, kapral Greiner i sierżant Blücher skończyli obchód parku. Na widok dowódcy zatrzymali się w pół kroku, zerkając na niego niepewnie. To oni właśnie patrolowali ogród, gdy zniknął naukowiec. Mimo że od tej chwili minęło już wiele czasu, ich dowódca, prócz nakazu pozostania w ośrodku, nie wezwał ich na rozmowę. Stali więc pokornie z opuszczonymi głowami, spodziewając się najgorszego. Czekali.

- Greiner i Blücher! – krzyknął Kądziała. Żołnierze natychmiast stanęli na baczność.
- Wiecie, jak bardzo dziś mnie zawiedliście?
- Wiemy, panie kapitanie – odparli jednocześnie.

– To, coście zrobili, kwalifikuje się... Właściwie nie ma na to żadnego paragrafu. Czekaj was sąd i kula w łeb. Wiecie o tym?

– Szliśmy przez ogród, on był gdzieś z przodu... – zaczął Greiner.

– Milczeć! – Wrzask kapitana zabrzmiał ogłuszająco. – Myślicie, że nie wiem, coście robili? Siedzieliście we dworze, idioci przekłęci! Dupy wam się nie chciało ruszyć! Zawiedliście mnie i naszą ojczyznę. Przez waszą nieudolność zniknął bardzo ważny człowiek. Nawet nie wiecie, jak ważny. Czy macie coś na swoją obronę?

Żołnierze spojrzeli na siebie niepewnie. To pytanie było bardziej niż zaskakujące. W zasadzie nie spodziewali się już żadnych pytań.

– Nie mamy nic na swoją obronę, panie kapitanie – odparł szybko Greiner.

Kądziela pokiwał głową i zmierzył podkomendnego przenikliwym spojrzeniem.

– Głupstwa gadasz, straszne głupstwa...

Kapral zmrużył oczy i trącił w bok sierżanta, który zdumiony słowami dowódcy zamierzał się odezwać, z pewnością niezbyt mądrze.

– Właściwie można tak powiedzieć... – Greiner zawiesił wyczekująco głos.

Kapitan odwrócił głowę i patrząc w stronę pól, zapytał wolno, z ociąganiem:

– Zapomniałeś, kogo spotkaliście podczas patrolu?

– Teraz przypominam sobie, że kogoś spotkaliśmy... – Kapral nie spuszczał wzroku z dowódcy.

– Na właśnie. – Kądziela pokiwał głową i ponownie zerknął na podkomendnego. – Spotkaliście przecież profesora Zloga, który pojawił się tam i...

– Zatrzymał nas – Greiner podjął szybko grę. – Zatrzymał nas i poprosił o pomoc w montowni. Był problem z... z systemem alarmowym. To zdarza się dość często, lecz gdy przybyliśmy na miejsce, wszystko okazało się być w najlepszym porządku. Trochę nas to zdziwiło, ale profesor stwierdził, że być może wprowadził nieprawidłowy kod zewnętrzny.

– Profesor Zlog wprowadził nieprawidłowy kod... – Kądziela zamilkł na chwilę, jakby zaskoczony szybkością, z jaką kapral skonstruował wcale prawdopodobną historyjkę. Wyjątkowo wręcz prawdopodobną. To Zlog jako jedyny był informowany o zmieniającym się codziennie kodzie dostępu do montowni i do tej jej części, w której składowano bomby. Zawsze otwierał ją rano o godzinie szóstej trzydzięci.

– Wróciliście na stanowiska...

– Nasz podopieczny w tym czasie zniknął – kontynuował bez zająknięcia Greiner. – Wtedy właśnie powiedziałem sierżantowi, że być może mamy do czynienia z ucieczką. Tak właśnie było, sierżancie? – Kapral spojrział na Blüchera, który oszołomiony niezwykle wymianą zdań skinął szybko głową.

– Tak właśnie było, panie kapitanie! Od razu chciałem meldować, ale...

– Wystarczy, Blücher. – Kądziela ruchem ręki powstrzymał sierżanta. – Jest chyba oczywiste, że nikt nie skojarzył od razu tych faktów. Któż mógł bowiem podejrzewać profesora Zloga o zdradę? Rozpoczął się pościg i nikt nie miał czasu analizować sytuacji.

– Profesor Zlog cieszył się powszechnym zaufaniem – przytaknął Greiner. – Trudno było nam uwierzyć, że dopomógł w ucieczce Hopkinsowi.

– Co było później, wszyscy wiemy – kontynuował kapitan. – Tę wersję wydarzeń potwierdzą oczywiście świadkowie...

– Mamy świadków, kapitanie – potwierdził gorliwie Greiner. – Myślę, że przynajmniej sześciu, może nawet siedmiu. Wszyscy ludzie z naszej sekcji widzieli, jak profesor rozmawiał z nami.

– Na pewno widzieli?

– Tak jest! Potwierdzą na pewno nasze słowa!

– To dobrze, to bardzo dobrze. – Na twarzy Kądzieli pojawił się ledwie dostrzegalny cień ulgi. – Mamy więc wśród nas zdrajcę...

– Trzeba go aresztować! – wypalił ochoczo sierżant. – Jeśli pan tylko pozwoli, zaraz go...

– Zamknij się, Blücher – wycedził przez zęby Kądziela. – Mamy do czynienia ze świadomym aktem zdrady, którego dopuścił się człowiek obdarzony pełnym zaufaniem naszych władz...

– Trzeba szybko odwołać naszych i zarządzić ewakuację alarmową! – Kapral Greiner zdawał się odgadywać myśli dowódcy. – Wykryliśmy spisek wymierzony w Zakon! Należy szpiega obserwować i zawiadomić dowództwo!

– Ano tak. – Sierżant z trudem starał się nadążyć za rozwojem sytuacji. – Trzeba powiadomić dowództwo...

Twarz Kądzieli pozostała nieruchoma i tylko w oczach pojawił się błysk radości. Odchylił rękaw kurtki, spojrział na zegarek i powiedział szybko:

– Szpieg przebywa w tej chwili w montowni. Należy go...

Pierwszy wystrzał rozdarł nagle ciszę, kolejne zabrzmiały niczym grom burzy. Palba karabinowa, przerywana wybuchami granatów, dobiegała z ogrodu i od strony montowni. Kądziela postąpił krok do przodu, wpatrując się oniemiały w pusty dziedziniec. Słyszał kanonadę, lecz jego umysł nie rejestrował jej jako rzeczywistego zjawiska. To nie może dzieć się naprawdę...

– Kapitanie! – Okrzyk Blüchera wyrwał go z odrętwienia. – Kapitanie, kurwa mać! Co się dzieje!?! Kto strzela!?!

– Zająć stanowiska! – Ich dowódca w ułamku sekundy powrócił do rzeczywistości. – Zająć stanowiska i czekać!

Komturalni stanęli za drzewami.

Kądziela wyrwał zza pasa pistolet, zarepetował i przypadł pomiędzy klombami róż. Kanonada cichła z każdą chwilą, był więc to nieomylny znak, że przeciwnik, kimkolwiek był, dysponował dużą przewagą.

Kapitan zacisnął usta, starając się opanować wzburzenie i wściekłość. Nie miał teraz czasu na rozważania, co się właściwie wydarzyło. Musiał działać! Wsłuchiwał się w odgłosy pojedynczych wystrzałów. Od razu rozpoznał ten dźwięk. To były Digilty, rosyjskie karabiny, które prosta konstrukcja i niska cena uczyniły niezwykle popularnymi. Tej broni nie używała jednak armia Rzeczypospolitej, a tym bardziej jej siły specjalne! Fakt ten zdziwił go niepomiarownie. Kto więc, do cholery, ich zaatakował? Jednym susem przeskoczył za pień starego dębu i uważnym spojrzeniem obrzucił dziedziniec. Dostrzegł kilku ludzi, przemykających niczym zjawy w stronę stajni i w głąb parku. Nie zdążył im się przyjrzeć, ale zdało mu się, że nie nosili mundurów. Cisza, która nagle zapadła, wydawała się złowieszcza. Kapitan zamierzał właśnie wrócić do swoich ludzi, gdy dostrzegł znajomą postać, która kryjąc się wśród krzaków jałowca, zmierzała w jego kierunku.

– Gerdte! – syknął cicho. – Do mnie! Tutaj!

Sierżant Gerdte, dowódca drugiej sekcji, skinął głową i, pełząc po trawie z zadziwiającą szybkością, dotarł na skraj alei. Pokonał ją w mgnieniu oka i zamarł, dysząc ciężko z karabinem wycelowanym w stronę jałowcowej kępy.

– Gerdte! Co się, kurwa, dzieje?! – warknął Kądziela, nie spuszczać wzroku z alei.

– Atakują nas, kapitanie!

– Tyle to wiem i ja! Kto atakuje?!

– Prusowie! – wycedził z nienawiścią komturalny. – To pieprzeni Prusowie.

– Prusowie? – W głosie Kądzieli słychać było szczere zdumienie. – Jak to się stało, żeście ich nie zauważyli? Jak to się, kurwa, stało!?

– Wyszli z tego cholernego zboża! – Gerdte otarł mokre czoło. – Byłem właśnie w ogrodzie, gdy ich usłyszałem. Pojawili się jak duchy, ale gdyby było nas tam choć kilku, załatwilibyśmy drani!

Kądziela skrzywił usta, jakby ostatnie zdanie podwładnego zabolowało go jak zepsuty ząb.

– Ilu ich jest? – spytał ostro.

– Trudno powiedzieć. – Sierżant wzruszył ramionami. – Myślę że trzydziestu, może więcej...

Żołnierz umilkł nagle, bowiem pomiędzy dębami rosnącymi we wschodniej części parku pojawiło się kilku ludzi, którzy, przemieszczając się skokami, parli ku bramie.

Kądziela zerknął w stronę przyczajonych po drugiej stronie alei Blüchera i Greinera. Podniósł dłoń, wskazał na dęby i poruszył kciukiem. Komturalni zamarli w oczekiwaniu.

Napastnicy byli już blisko. Poruszali się szybko, nie zachowując należytej ostrożności. Uznali widać, że ich przeciwnicy zostali pokonani i nic im nie zagraża. Gdy dotarli do krzaków jałowca, kapitan położył rękę na ramieniu Gerdte. Komturalny wymierzył

dokładnie i nacisnął spust. Jeden z Prusów osunął się na trawę, a zaraz potem padło dwóch kolejnych. Reszta, pozostawiwszy swoich kamratów, wycofała się pomiędzy drzewa, prowadząc stamtąd chaotyczny ogień.

– Wynosimy się stąd! – zakomenderował Kądziela.

– Chce pan opuścić ośrodek? – Sierżant Gerdtell przyglądał się dowódcy z niedowierzaniem. – Przecież...

– Zostało nas czterech! Chcesz zaatakować ich we czwórkę?! – wybuchnął kapitan. – Ściągnę resztę ludzi i spróbujemy odzyskać ośrodek! We wsi stoi pospolite ruszenie! Wyprzemy tą pruską bandę w okamgnieniu!

– Pospolite ruszenie to gówno – wyrwało się Gerdtellowi.

– Przestań mi tu pieprzyć! – warknął Kądziela. – Wycofujemy się! Oni zaraz się otrząsną i rozdepczą nas na miazgę!

Kapitan i sierżant poderwali się z ziemi i nisko pochyleni ruszyli biegiem ku bramie. Blücher i Reiner osłaniali ich odwrót zmasowanym ogniem, czekając, aż tamci przedostaną się na drugą stronę. Następnie, nie przerywając ostrzału, poczęli cofać się krok po kroku w stronę zbawczego ogrodzenia.

– Szybciej! – wrzasnął Kądziela, obserwując z niepokojem zachodnią część parku. – Szybciej, do cholery!

– Biegiem do wsi! – krzyknął, gdy Blücher i Reiner znaleźli się za bramą.

Czterech komturialnych rzuciło się do ucieczki.

* * *

– To niewiarygodne, pokonaliśmy ich w ciągu dziesięciu minut. – Mateusz podszedł wolnym krokiem do ułożonych pośrodku dziedzińca znieruchomiałych ciał. Siedmiu poległych, czterech Krzyżaków i trzech Prusów, spoczywało obok siebie, ramię przy ramieniu.

Przemytnik pochylił się nad komturialnymi i przyglądał im się przez krótką chwilę

– Miałem więc jednak rację – powiedział z nieskrywaną satysfakcją. – Zaskoczyliśmy ich kompletnie!

– Rację miałeś tylko w jednym. – Stojący za jego plecami Walocha podszedł do zabitych i zamknął otwarte oczy jednego z Bojów. – Załoga ośrodka ciągle szuka zbiega, lecz pewnie prędko się z nimi spotkamy. Z majątku uciekło kilku komturialnych. Źle się stało, bardzo źle, żeśmy pozwolili im uciec. Kto wie, ile cennego czasu straciliśmy. Być może gdzieś w okolicy stoi jakiś oddział armii krzyżackiej i teraz pojawi się tu szybciej, niż dotrze pomoc z Rzeczypospolitej. A nawet jeśli nie, to te świny wiedzą już, kim jesteśmy i z pewnością uderzą z całą mocą.

– I co z tego? – Mateusz wzruszył ramionami. – Nawet jeśli zaatakują, to przewaga leży po naszej stronie. Sam przecież mówiłeś, że to doskonale miejsce do obrony...

– Lekceważenie komturalnych jest poważnym błędem – przerwał mu ostro Walocha. – Znam ich dobrze i wiem, co potrafią. To doskonale wyszkoleni ludzie. Zaskoczyliśmy ich, ale gdy ochłoną, zrobią wszystko, by odzyskać majątek.

– Nie lekceważę komturalnych, ale i nie boję się ich – odparł spokojnie Mateusz. – Z prawdziwą przyjemnością poczekam na resztę tej zgrai.

Walocha spojrział na przemytnika ze zdziwieniem.

– Zaskakujesz mnie. Nie spodziewałem się po tobie takiej postawy.

Przemytnik tylko uśmiechnął się nieznacznie.

– Chodźmy lepiej obejrzyć te bomby. Jestem ciekaw, jak one wyglądają.

Walocha przywołał dwóch Bojów, stojących w pobliżu i wskazał na zabitych.

– Przenieście ich do ogrodu, niech tu tak nie leżą.

Prus i Rzeplita ruszyli w stronę chlewni. Minęli otwarte na oścież wrota i weszli do środka, rozglądając się ciekawie po wnętrzu budynku.

– Nieźle to urządzili – powiedział z mimowolnym podziwem Mateusz. – Kto by się spodziewał, że w chlewni można urządzić małą fabrykę.

– Walocha! Mateusz! – Z głębi hali rozległ się głośny okrzyk. Kostas, stojący przy otwartej szafie wypełnionej stertami teczek, pomachał do nich radośnie. – Chodźcie! Zobaczcie, co znalazłem!

– Co tam masz? – Walocha przeszedł przez montownię.

– To chyba jakaś dokumentacja, strasznie skomplikowane sprawy. – Młodzieniec podał dowódcy Legionu jedną z teczek.

Walocha otworzył ją z namaszczeniem i, marszcząc brwi, przyglądał się przez chwilę dziwnym schematom.

– Rozumiesz coś z tego? – Podał teczkę Mateuszowi.

– Daj sobie z tym spokój. – Przemytnik nawet nie spojrział na znalezisko. – Nikt z nas nie zna się na tych rzeczach. Musimy wszystko zabezpieczyć i przekazać naszym naukowcom. Oni będą już wiedzieli, co z tym zrobić. Bardziej interesują mnie te bomby. Gdzie one są?

– Tam je chyba trzymają. – Kostas wskazał na sąsiednie pomieszczenie zaopatrzone w solidne, metalowe drzwi, przy których stało czterech Bojów. – Nie weszliśmy jeszcze do środka, bo... nie ma klamki. – Kostas wskazał na wmurowaną w ścianę klawiaturę. – Jest tylko to.

– Wyważcie je do cholery – mruknął niecierpliwie Mateusz.

– Zaraz, spokojnie. – Walocha ruchem ręki powstrzymał Bojów. – Tak się nie da.

Podszedł do drzwi, przyglądając się im z namysłem.

– Dziwne. Bardzo dziwne – powiedział po chwili. – Nie ma innego wejścia?

– Drugie drzwi są na zewnątrz budynku, ale one również są zamknięte i też są tam te... przyciski – odparł z wahaniem Kostas. – Próbowaliśmy dostać się tamtędy do środka, ale wykonano je chyba z litej stali.

– Dajcie spokój! – burknął gniewnie Mateusz, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co nadałoby się do wyłamania drzwi. – Zaraz sobie z tym poradzimy.

– Poczekaj chwilę – zmitygował go Walocha. – Mogli je jakoś zabezpieczyć.

– Myślisz, że są zaminowane? – spytał z niedowierzaniem Kostas.

– Po knechtach można się wszystkiego spodziewać. – Dowódca Legionu dotknął ostrożnie klawiatury. – Myślę, że otwiera je kombinacja cyfr. Ciekawe urządzenie.

– Wysadźmy je w powietrze – zaproponował Mateusz. – To najlepsze rozwiązanie.

Walocha zignorował słowa przemytnika i wcisnął ostrożnie kilka klawiszy. Nic się nie wydarzyło. Wystukał kolejną kombinację cyfr.

– Zostaw to lepiej – powiedział niespokojnie Kostas. – Mam jakieś dziwne przeczucie...

Ledwie wypowiedział te słowa, spod sufitu dobiegł cichy syk podobny do odgłosu ulatniającej się pary.

– Co to jest, do cholery? – Mateusz spoglądał ze zdziwieniem na stróżkę dymu opadającą szybko ku dołowi.

Jeden z Bojów zachwiał się nagle.

– Co się dzieje! Ratunku! – Prus postąpił krok do tyłu i potrząsnął głową.

– Uciekamy! Szybko! – Walocha chwycił za ramię Kostasa. – To jakaś trucizna!

Prusowie rzucili się do panicznej ucieczki. Ku ich przerażeniu główne wejście do chlewni w jakiś niepojęty sposób zaczęło się zamykać. – Szybciej! – Wypchnął chłopaka na zewnątrz. – Pospieszcie się! – krzyknął do Bojów, wlokących oszołomionego towarzysza. – Na miłość boską, szybciej!

Wydostali się z pułapki w ostatniej chwili. Ledwie przekroczyli próg chlewni, metalowe wrota zamknęły się z hukiem. Na placu przed chlewnią pojawiło się kilku Bojów.

– Walocha! Słyszysz mnie! – Waltor potrząsnął dowódcą Legionu. – Co wam się stało?! Słyszysz mnie?!

Walocha skulił się nagle i zwymiotował.

– Niech nikt nie zbliża się do budynku – wykrztusił wreszcie z trudem. – Wycofać się! Szybko!

– Zabierzcie ich! – zakomenderował Waltor. – Zabierzcie ich do dworu! Reszta na stanowiska! Wracać na stanowiska!

Dwóch Bojów chwyciło pod ramiona zataczającego się Prusa. Po chwili dotarli na ganek. Kuna otworzył drzwi i przepuścił przodem Prusów.

– Połóżcie ich na podłodze, tutaj, obok tych skrzyń – zakomenderował Waltor.

– Puśćcie mnie, nic mi nie jest. – Walocha usiadł ciężko na skrzyni i rozejrzał się po salonie. – Co z Kostasem? – spytał szybko.

Młodzieniec zwinął się w kłębek i zwymiotował na podłogę.

– Co ci jest? Źle się czujesz? – spytał niespokojnie Waltor.

– Nie wiem. – Kostas chwycił się za głowę. – Mam wrażenie, jakbym wypił dwie beczki piwa.

Waltor pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Co z nim? – Zerknął w stronę otoczonego przez towarzyszy Prusa.

– Chyba w porządku – odparł jeden z Bojów. – Dochodzi do siebie.

Kuna przysiadł obok pobladłego Kostasa i położył rękę na jego ramieniu.

– Ktoś może mi wyjaśnić, co się właściwie stało?

– Krzyżacy zastawili na nieproszonych gości pułapkę – odparł z wysiłkiem Mateusz.

– Jaką pułapkę?

– Trujący gaz. Gdy próbowaliśmy dostać się do składu z bombami, wypuścili na nas gaz.

– Chcesz powiedzieć, że część z nich siedzi ciągle w chlewni? – Na twarzy Waltora pojawił się wyraz zdumienia.

– Nie, to nie tak – odezwał się Walocha. – Zabezpieczenia działają automatycznie. Nie znaliśmy odpowiedniego kodu, więc gaz uwolnił się samoczynnie.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Jaki kod?

– Skąd mogłem wiedzieć, że ci dranie zastawią tak wymyślną pułapkę? Kto wie, co by się stało, gdybyśmy wysadzili drzwi w powietrze?

– Zachciało mi się kombinować z tymi pieprzonymi guzikami. – Walocha otarł wilgotne czoło, wciąż był nienaturalnie blady. – To wszystko moja wina.

– Daj spokój. – Mateusz podniósł się z podłogi i oparł o jedną ze skrzyń, które ustawione jedna na drugiej, zajmowały środek salonu.

– A ten profesor? – spytał Kuna. – Rozmawialiście z nim przecież. Nie ostrzegł was przed niebezpieczeństwem?

– Właśnie. – W głosie Walochy pojawiła się złość. – Niech no który go przyprowadzi. Chcę z nim porozmawiać.

Mateusz, też blady i roztrzęsiony, sięgnął drżącą ręką po papierosa, lecz zaraz schował go z powrotem do paczki.

– Jakoś nie mogę. Mdli mnie – mruknął zboliałym głosem. – Mieliliśmy naprawdę wiele szczęścia, że udało się nam stamtąd wydostać. Chwilę dłużej i byłoby pewnie już po nas. Co za skurwiel to wymyślił? – Zerknął z nienawiścią w stronę naukowców krzyżackich, którzy pilnowani przez trzech Bojów, siedzieli w kącie salonu zbici w ciasną gromadę. – Proponuję przepytąć ich, co wiedzą o zabezpieczeniach tego przeklętego budynku.

– Dobry pomysł. – Potwierdził skinieniem głowy dowódca Legionu. – Tak czy inaczej musimy jakoś dostać się do składu.

– Myślisz, że coś powiedzą? – spytał Kuna z powątpiewaniem.

– Są sposoby, żeby zaczęli mówić. – Boryna wolnym krokiem podszedł do naukowców. Przyglądał się im przez chwilę, po czym trącił butem siedzącego najbliżej. – Ty, jak się nazywasz?

– Nie twoja sprawa, pruski bandyto – odparł dumnie profesor Zlog.

– Ach tak?! – Przemysłownik uśmiechnął się chłodno. – Widzę, że mam do czynienia z odważnym człowiekiem. Zastanawiam się tylko, czy twoja odwaga nie stopnieje jak śnieg w słońcu, gdy przestrzelę ci na przykład rękę. A może kolano? Co wybierasz?

Na dźwięk tych słów wśród naukowców zapanowało zamieszanie. Spoglądali na napastnika wyraźnie przestraszeni.

– Nie róbcie nam krzywdy – wydusił z trudem Konrad Hopke, asystent Zloga.

– Zamilcz, gałganie! – zgromił go profesor. – Choćby mieli drzeć z nas pasy, żaden nie piśnie ani słowa.

– To się jeszcze zobaczy. – Mateusz wyciągnął zza pasa pistolet, odbezpieczył go i wycelował.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał zaniepokojony Walocha.

– A jak myślisz? – Przemysłownik wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem, przestrzelę mu najpierw rękę.

– Nie rób mu krzywdy! – Zza placów Mateusza rozległ się głośny okrzyk.

Profesor Hopkins przykuśtykał przez salon i zasłonił Zloga własnym ciałem.

– Co wy wyprawiacie? Myślałem, że jesteście ludźmi honoru! Chcecie ich zabić?!

– Dlaczego nie powiedział nam pan o pułapce zastawionej w chlewni? – spytał ostro Walocha. – Czy wie pan, że niewiele brakowało, a zostalibyśmy zagazowani?

– Nic o tym nie wiedziałem – bronił się Hopkins. – Nie sądziłem, że montownia posiada jakieś ukryte zabezpieczenia.

– Mamy w to uwierzyć? – Walocha nawet nie starał się udawać przekonanego. – Przebywał pan w majątku od kilku miesięcy. Czy w tym czasie nie zauważył pan niczego podejrzanego?

– Powiedziałem już, że nie ufali mi w pełni...

– I okazało się to nad wyraz słuszne. – Profesor Zlog zmierzył Hopkinsa pogardliwym spojrzeniem. – Uważałem cię za mojego przyjaciela. Tymczasem zdradziłeś nas. Zdradziłeś nas, Williamie.

Anglik odchrząknął niepewnie i spojrzał na Zloga z zakłopotaniem.

– Zrobiłem to, by uchronić świat od szaleńców, którzy zamierzają użyć bomb przeciwko bezbronnym ludziom...

– Bezbronnym ludziom?! – krzyknął Zlog. – Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, dlaczego tu jesteśmy?! Sam pochodzisz z kraju, w którym godność człowieka nic nie znaczy! Jak możesz więc nazywać nas mordercami?! Zbudowaliśmy bomby, by uwolnić naszą ojczyznę od tyranii, która zniewalał Zakon od setek lat! Wiesz o tym bardzo dobrze! Powiedz mi, czego spodziewasz się po Rzeplachach?! Jak myślisz, co zrobią z bombami, gdy dostaną je w swoje łapy?

– Dość tego. – Walocha ruchem ręki przywołał dwóch Prusów. – Odprowadźcie ich do piwnicy i dobrze pilnujcie. Nie mogą uciec.

– Tak jest! – Bojowie, poszturchując naukowców kolbami karabinów, nakazali im iść ze sobą.

Hopkins wpatrywał się długo w puste drzwi, za którymi zniknęli jeńcy.

– Coś nie tak, profesorze? – spytał Walocha. – Żał panu tych ludzi?

– Wszystko w porządku. – Hopkins zacisnął usta i podniósł dumnie głowę. – Dla mnie to żadna różnica, kto z was przejmie bomby. Chcę tylko ukarać winnych śmierci mojego syna.

Walocha zmierzył Hopkinsa przenikliwym spojrzeniem.

– Czy potrafi pan wejść do montowni? – spytał po chwili.

– Myślę, że dam radę, będę jednak potrzebował pomocy – odparł szybko Hopkins, jakby ucieszony faktem, że Prus nie kontynuuje drażliwego tematu.

– Dostanie pan tylu ludzi, ile będzie konieczne. Proszę niezwłocznie przystąpić do pracy. Liczy się każda minuta.

Walocha dyskretnym ruchem przywołał Walthora.

– Idź z profesorkiem i miej go na oku – powiedział po polsku. – Gdy dostaniecie się do magazynu, nie pozwól mu pod żadnym pozorem dotykać bomb.

– W porządku. Otworzy tylko drzwi.

– Co się stało? Dlaczego kazałeś pilnować Anglika? – spytał Mateusz, gdy Hopkins wspólnie z Walthorem opuścili salon. – O czy rozmawialiście?

– Zwykłe środki ostrożności – odparł Walocha. – Ten człowiek nienawidzi knechtów tak samo jak nas. Nie możemy ufać mu bezgranicznie.

– Myślisz, że coś kombinuje? – spytał Kuna.

– Nie wiem. – Dowódca Legionu wzruszył ramionami. – Zdradził ich, może zdradzić i nas.

– Święte słowa – przytaknął góral.

Mateusz tymczasem rozpoczął obchód salonu. Minął skrzynie i podszedł do stołu zawalonego stertami papieru. Odsunął stos teczek i sięgnął po słuchawkę telefonu. Na jego twarzy pojawiła się zmarszczka.

– Co jest? – spytał niespokojnie Kuna, który dostrzegł nagle zasepioną minę kompana. – Nie działa?

– Nie działa – odparł głucho Mateusz.

– Spodziewałem się tego – mruknął gniewnie Walocha. – Zdążyli przerwać połączenie!

– I co teraz? – Kostas spoglądał niepewnie na przemytnika. – Jak powiadomimy Rzeczpospolitą o przejęciu majątku?

– Coś wymyślimy. – W głosie Mateusza brzmiała niezachwiana pewność.

– Powiedziałeś Kowalskiemu, że jeśli atak się powiedzie, zadzwonisz do niego – odezwał się Kuna. – Skąd nasi mają wiedzieć, że zdobyliśmy montownię?

- Powiedziałem mu, że spróbuję zadzwonić, a to duża różnica.
- Ale skąd będą wiedzieli, że tu jesteśmy? – nie ustępował Kuna. – Skoro...
- Poczekaj! – Mateusz obrócił się szybko od okna. – Jest sposób!

Na skraju drogi powiatowej Ortelsburg – Nidzica zebrali się niemal wszyscy mieszkańcy Nowego Sadu. W tłumie panowała pełna napięcia cisza. Twarze wszystkich zwrócone były w stronę oddalonego o dwa staje majątku, skąd dobiegały odgłosy gwałtowniej strzelaniny.

- Co tam się dzieje? – Kosma zerknął niepewnie na stojącego obok sołtysa.

– Mówiłem wam, że tam dzieją się dziwne rzeczy – powiedział Küste pełnym przejęcia głosem. – Widzieliście kiedyś takich parobków? Chłopy jak dęby, a każdemu z oczu źle patrzy. Wiedziałem, że prędzej czy później będziemy mieli z nimi kłopoty.

– Kłopoty? – Sołtys zerknął na sadownika z niesmakiem. – Tam przecież toczy się bitwa! Nie słyszysz, jak walą?

– Panie posterunkowy, co pan o tym wszystkim sądzi? – odezwał się jeden z synów Kotika. – Pan przecież rozmawiał z nimi. Niech pan powie, co to za ludzie.

Stojący pośrodku tłumu posterunkowy Konrad Schmidt wzruszył ramionami.

- Co mam powiedzieć, wiem tyle co wy – odparł niechętnie.

– Ejże, Konrad, nie rób z nas durniów – mruknął Küste. – Wszyscy wiedzą, że rozmawiałeś z nimi. Dlaczego nie chcesz gadać? Co to za wielka tajemnica?

– Dlaczego, dlaczego... – zirytował się policjant. – Za dużo chciałbyś wiedzieć. Są pewne rzeczy, o których lepiej nie dyskutować.

- Posłuchaj, Konrad... – odezwał się Havliček. – Tajemnica tajemnicą, ale tam strzelają.

- Zrozumcie ludzie, że ja też nie mam pojęcia, co tam się wyprawia...

- Akurat – nie dowierzał Küste. – Takim gadaniem nikogo nie przekonasz.

– Ludzie! – Posterunkowy poczerwieniał z gniewu. – Nie mam czasu na gadanie. Muszę powiadomić komendę, więc przestańcie zdręzczać mnie niedorzecznymi pytaniami!

Schmidt, wyraźnie zdenerwowany, ruszył właśnie w stronę położonego za kościołem posterunku, gdy z tłumu rozległ się nagle okrzyk:

- Spójrzcie! Ktoś z majątku!

Czterech ludzi uzbrojonych w karabiny, oglądając się co chwila za siebie, wybiegło na drogę. Jeden z nich zatrzymał się nagle przed słupem telefonicznym. Podniósł broń ku górze, wycelował dokładnie i pociągnął za spust. Przestrzelony kabel opadł na drzewa.

- Niezły strzał – mruknął z uznaniem Küste.

– Drogie panie! – Sołtys odtrącił ludzi i podszedł do młodego człowieka, który na jego widok zamarł w bezruchu. – Co pan do cholery wyprawia! Niszczy pan własność prywatną!

Tamten jakby nie słyszał uwagi, zmierzył tylko Havlička niezbyt przytomnym spojrzeniem.

– Chcę rozmawiać z sołtysem. Sprowadźcie go szybko! – zażyczył sobie nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Ja jestem sołtysiem – powiedział już mniej pewnie Havliček. – Kim zaś pan jest...
– Kapitan Arnold Kądziela, służby komturalne. Ilu ludzi ma pan pod bronią?
– Że co? – Sołtys wyglądał na speszzonego tak bezpośrednim pytaniem.
– Pytam, ilu ludzi ma pan pod bronią!
– Pod bronią? No cóż, broń to mamy wszyscy, ale nie rozumiem...
– Potrzebuję wszystkich, którzy potrafią strzelać! Za pół godziny ruszycie do walki!
Przez tłum przeszedł szmer niedowierzania.
– Ejże, człowieku, co ty mówisz? – Küste wystąpił krok naprzód. – Z kim niby mamy walczyć?
– Ludzie! Posłuchajcie mnie! – Kapitan Kądziela odczekał aż gwar ucichnie. – Kwadrans temu majątek zaatakowali Prusowie! Musimy go odzyskać! To sprawa najwyższej wagi!
Zaskoczeni mieszkańcy spoglądali na niego podejrzliwie.
– Zaraz, nie tak szybko. – Sołtys ochłonął już z zaskoczenia. – Proszę wpierw okazać legitymację. Muszę ustalić, kim pan jest...
– Posłuchaj mnie, durniu... – Kapitan bezceremonialnie położył dłoń na ramieniu Havlička i spojrzał mu prosto w oczy. – Jeśli zaraz nie wyślesz ludzi, postaram się, żebyś skończył w twierdzy. Nie ma czasu na gadanie! Oni zajęli majątek!
– Ty, narwaniec! – Küste wymierzył karabin w pierś kapitana. – Nie bądź taki szybki. Sołtys dobrze mówi. Najpierw wszystko nam wytłumaczysz, a potem zobaczymy, co dalej.
– Zamknij się, Küste – odezwał się nagle posterunkowy. – On naprawdę jest komturalnym.
– A niech to... – Havliček podrapał się po głowie, zerkając na kapitana z niepokojem, ale i zaciekawieniem. – Twierdzi więc pan, że majątek zajęli Prusowie. Skąd oni się tu wzięli?
– To nie jest w tej chwili ważne! Najważniejsze jest odbicie montowni!
– Montowni? Jakiej montowni? – zapytał ktoś z tłumu.
Kądziela zacisnął usta. Na jego twarzy pojawił się wyraz wahania.
– No? Mówże wreszcie! – rozległy się ponagląjące okrzyki.
– Prusowie zdobyli właśnie tajną broń Zakonu. W majątku mieścił się tajny ośrodek, w którym ją zbudowano.
Wieśniacy spoglądali na komturalnego absolutnie osłupiali.
– Chce pan powiedzieć, że te bomby, co to mogą zabić za jednym zamachem milion ludzi, trzymaliście tutaj, w naszej wsi? – spytał niepewnie sołtys.
– Są tam. – Kądziela wskazał za siebie. – Teraz rozumiecie, dlaczego musimy odzyskać folwark.
– Ilu jest Prusów? – spytał nerwowo Küste.
– Według moich przypuszczeń niezbyt wielu – odparł kapitan.
– Trochę trudno mi w to uwierzyć – odezwał się stary Kotik. – Skoro nie ma ich wielu, to dlaczego tak łatwo was pobili?

– Zostaliśmy zaskoczeni – wydusił z trudem Kądziela.

– A mnie się zdawało, że komturalni są ze stali – powiedział z przekąsem Küste. – Walczą do końca i w ogóle...

Kapitan udał, że nie słyszy. Z kamienną miną zerknął na Havlička.

– Proszę zebrać wszystkich mężczyzn w tym miejscu za pół godziny. I jeszcze jedno. Czy macie we wsi straż ogniową?

– Straż ogniową? – spytał podejrzliwie sołtys. – Jest jeden wóz strażacki...

– Opróżnicie zbiorniki i zatankujecie benzynę.

– Do zbiorników? – upewnił się Havliček.

– Do zbiorników – potwierdził Kądziela. – Wóz ma czekać we wsi. Na razie to wszystko.

Sołtys otworzył usta, jakby zamierzał jeszcze o coś zapytać, lecz zrezygnował.

– Słyszeliście, co mówił kapitan? – zwrócił się do kmieci, starannie unikając patrzenia im w oczy.

– Czy on na pewno może nam rozkazywać? – spytał zaczepnie Küste.

– Niestety, może – odparł posterunkowy Schmidt. – Podlegamy jego rozkazom.

Mieszkańcy Novego Sadu, szepcząc między sobą, ruszyli powoli w głąb wsi.

– Panie posterunkowy. Poproszę pana na chwilę. – Kądziela ruchem ręki przywołał policjanta. – Załatwi pan dla mnie jakiś samochód. Będzie mi potrzebny.

Schmidt skinął niechętnie głową.

– Wie pan pewnie, że ludzie, których zamierza pan posłać do walki, ledwie potrafią włączyć broń? – spytał ponuro. – Nie wyobrażam sobie, by byli w stanie pokonać Prusów.

– Oczywiście – odparł ze złością Kądziela. – Zdaję sobie sprawę, że pospolite ruszenie to nie regularne wojsko. Oczywiście wolałbym mieć tutaj batalion piechoty, lecz jak sam pan widzi, jesteśmy tylko my. Jeśli nawet otrzymamy posiłki, to nie prędzej niż za kilka godzin. Te kilka godzin zadecyduje o wszystkim.

– Myśli pan, że Rzeplici wkroczą na teren Zakonu?

– Jestem o tym absolutnie przekonany. Stąd do granicy jest zaledwie dwadzieścia staj, dlatego właśnie nie możemy zwlekać.

Schmidt zerknął posępnie na widoczne w oddali zabudowania majątku.

– Przyślę zaraz samochód – obrócił się na pięcie i ruszył w stronę posterunku.

Komturalni spoglądali za nim z chmurnymi minami.

– Ten policjant ma rację, kapitanie – odezwał się Gerdteł. – Pospolite ruszenie to kupa gówna. Nic z nimi nie zdziałamy.

– Przestań mi tu pieprzyć! – warknął Kądziela. – Nie mam ochoty na wysłuchiwanie takich bzdur! Ci ludzie są mi potrzebni!

– Ale do czego? Uciekną na odgłos pierwszych strzałów.

– Wystarczy, że zajmą uwagę Prusów. To wszystko, czego od nich wymagam.

– Co pan zamierza? – spytał sierżant Gerdteł.

– Podejdźcie tutaj. – Kapitan rozejrzał się na boki, jakby obawiał się, że ktoś usłyszy jego słowa. – Zrobimy tak...

Rozdział 16

Königsberg – siedziba Wielkiego Mistrza

22 maja 1957 roku

Powiedz mi, do cholery, jak to się stało, że banda pruskich zbirów zdołała opanować ośrodek?! Powiedz mi, jak to się stało?! – Mistrz, stojąc pośrodku swojego gabinetu, spoglądał na Wiktora von Ostena wzrokiem, w którym czaiła się furia. – Tyś ręczył za tego człowieka! Twierdziłeś, że to doskonały oficer! Dlaczego nic nie mówisz?!

Dowódca służb komturalnych zacisnął usta i patrząc gdzieś w bok, powiedział oschle:

– Kapitan Kądziela popełnił niewybaczalny błąd, wysyłając na poszukiwania zbiega całą załogę. Nic nie usprawiedliwia jego decyzji o pozbawieniu montowni skutecznej ochrony. Z drugiej jednak strony jest pewna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ktoś pomógł Anglikowi w ucieczce. I był to najprawdopodobniej profesor Zlog...

– Co takiego? – Nowotny dotąd milczał, nie chcąc, by i na niego spadła część winy i zarazem wściekłości Mistrza. Jednak teraz nie wytrzymał. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?! Znam Zloga od lat! To niemożliwe! Ten człowiek jest absolutnie oddany naszej sprawie!

– A jednak – von Osten podniósł się z fotela i łożywszy ręce na plecach, począł krążyć po pokoju. – Wiecie przecież, że ci dwaj przyjaźnili się. Zlog podziwiał Anglika i uważał go za największego uczonego naszych czasów. Sam mi o tym powiedział. Kapitan Kądziela twierdzi, że to właśnie Zlog odwołał strażników w chwili, gdy Hopkins był w ogrodzie. Wystąpił podobno jakiś problem z zabezpieczeniem zewnętrznym, chwilę później zaś okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Jednego nie rozumiem – nie ustępował Nowotny. – Jeśli nawet przyjmiemy, że to Zlog pomógł uciec Anglikowi, choć nadal uważam, że to naciągana teoria, to jaki związek ma to z Prusami? Przecież to zupełnie bez sensu!

– Ta banda to najpewniej niedobitki Legionu Pruskiego – wyjaśnił von Osten. Powoli odzyskiwał swoją zwykłą pewność siebie, jeszcze chwilę temu gotów był się założyć, że wie,

jak czuje się tarcza strzelnicza. W tej chwili jednak wątpliwości kazały jego towarzyszom zapomnieć o pretensjach. – Wymknęli się z obławy w Kiejsztanach i zniknęli gdzieś w puszczy. Sądziliśmy, że zdołali przejść przez granicę. Okazało się jednak, że przebywają wciąż na ziemiach Zakonu...

– Myślicie, że ta ucieczka była zaplanowana? – Nowotny głośno powiedział to, o czym myśleli wszyscy.

– To, niestety, bardzo prawdopodobne. – Szef służb komturalnych skinął poważnie głową. – Choć, z drugiej strony, gdyby Rzeplici wiedzieli o montowni, zaatakowaliby dużo wcześniej...

– Niekoniecznie. – Ton głosu Konrada von Elstera zapowiadał, że niejedna głowa poleci, zanim ta sprawa dobiegnie końca. – Zlog mógł być informatorem Rzeplitów, którzy wysłali swoich pruskich sługusów na przeszpiegi. Po co ta banda przemierzyła pół Zakonu? Jak znaleźli się poblizu o właściwej porze? Naprawdę wierzycie w to, że Hopkins spotkał się z nimi przypadkowo? Nie, moi drodzy, oni to wszystko zaplanowali!

– To niemożliwe – zaproponował łagodnie von Osten. – Jestem przekonany, że Rzeplici nie mają z tym nic wspólnego. Dlaczego mieliby zwlekać tak długo? Poza tym nie powierzyliby przecież przejścia bomb garstce słabo uzbrojonych zbirów.

– Jestem przekonany, jestem przekonany! Tak jak byłeś przekonany o tym, że ośrodek jest doskonale zabezpieczony? – Mistrz zatrzymał się gwałtownie. Błądą twarz pokryły drobne kropelki potu, a lewa powieka drgała, jak zawsze gdy był w stanie najwyższego wzburzenia. – Nie wpadło ci do głowy, że Prusowie mogli po prostu wykorzystać sytuację?! Twój skretyniały podwładny dał im doskonałą okazję do przejścia montowni! Na ich miejscu zrobiłbym to samo!

Podszedł szybkim krokiem do wielkiej mapy Zakonu zajmującej całą ścianę, odszukał Novy Sad i położył palec na niewielkiej plamce.

– Ile czasu zajmie twoim ludziom dotarcie w ten rejon? – spytał, nie patrząc nawet na von Ostena.

– Najszybciej mogą być tam za godzinę.

Mistrz zmarszczył brwi, szepcząc coś bezgłośnie. Przesunął palcem po mapie i zatrzymał go na pobliskim Allensteinie.

– A ile czasu zajmie to brygadzie von Redowa?

– Brygada von Redowa? Dlaczego o to pytasz?

– Gdzie ona jest?

– Pierwszy regiment zajął pozycje obronne wokół miasta, zaś dziewiąty... – Szef służb komturalnych zamilkł na chwilę, gdy zrozumiał zamysł Mistrza. – Dziewiąty przemieszcza się w kierunku Hohensteinu * ...

– Ile czasu zajmie mu dotarcie do Novego Sadu? – spytał gorączkowo von Elster.

* niem. Olsztynek

– Dziewiąty regiment otrzymał zadanie blokowania autostrady...

– Ile czasu?!

– Od montowni dzieli go trzydzieści staj – odparł niechętnie von Osten. – Może być tam za jakieś dwie, trzy godziny...

– Mają godzinę. – Von Elster wrócił za biurko i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Konrad, to gra nerwów. – Nowotny uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu. – Kto pierwszy zrobi fałszywy krok, ten przegra. Rzeplenci zaraz dowiedzą się, że wielka jednostka maszeruje w stronę montowni. To będzie jak przyznanie się, że cały, powtarzam cały nasz arsenał jądrowy znajduje się w Novym Sadzie.

– Wtedy uderzą na pewno – dodał von Osten.

– Nie uderzą. – W głosie Mistrza pojawiła się dziwna nuta. – Zagrozimy, że jeśli przekroczą granicę, natychmiast detonujemy bombę w Megapolis.

– Chcesz detonować bombę? – spytał z niedowierzaniem Nowotny. – W takiej chwili?

– Gruber miał być naszym ostatecznym argumentem, lecz nie w sytuacji, gdy nasi wrogowie dysponują resztą ładunków! Wiesz, w jakiej sytuacji jest Chmielnicki! Zrobi wszystko, by ratować swoją pozycję! – poparł komtura von Osten.

– Chcesz powiedzieć, że podejmiemy tak wielkie ryzyko? – Mistrz wzruszył ramionami. – To czysty absurd! Żaden polityk o zdrowych zmysłach nie zaryzykuje życia kilku milionów obywateli swojego państwa!

– Sam sobie przeczysz! Mówisz, że Chmielnicki nie podejmie ryzyka? A ty? Czyżbyś zapomniał, kto kontroluje bomby? Myślisz, że Prusowie zawahają się przed odpaleniem ładunków?

– Bomby znajdują się pod kluczem. Prusowie nawet ich nie dotknęli...

– Jesteś pewien, że Chmielnicki też o tym wie? – spytał z pozornym spokojem Nowotny.

– Wiesz to na pewno? A co, jeśli ten przeklęty Anglik jest w ośrodku? Skąd wiesz, że nie pomoże Prusom?

Konrad von Elster opuścił słuchawkę i spytał ze złością:

– Powiedzcie, czego właściwie chcecie?

– Powinniśmy wysłać jednostki specjalne. – Szef służb komturalnych oparł dłonie o blat i pochylił się w stronę Mistrza, to była jego szansa. – Moi ludzie dotrą tam równie szybko jak dziewiąty regiment i zrobią to niezauważenie. Wysyłając wojsko, obudzisz czujność Rzeplistów!

– Zakładasz więc, że mimo wszystko wiedzą, co kryje montownia... – Mistrz odchylił się do tyłu. – Powiedz mi, co zrobiłbyś na ich miejscu? Co zrobiłbyś, gdyby dotarła do ciebie informacja, że Prusowie przejęli ośrodek?

– Przecież to oczywiste. – Von Osten wzruszył ramionami. – Wysłałbym komandosów.

– Otóż to! – Mistrz uderzył pięścią w biurko. – Być może ci dranie już za chwilę wylądują w naszym ośrodku! A ty każesz mi wysłać garść komturialnych? Chcesz ryzykować starcie z ich komandosami?

– To poważne zagrożenie dla całego... – zaczął Nowotny.

– Największym zagrożeniem dla Zakonu są wojska Rzeczypospolitej – przerwał mu oschle Mistrz. – Jeśli nie powstrzymamy ich przed wkroczeniem na naszą ziemię, stracimy wszystko. Wtedy nic już ich nie powstrzyma. Czy naprawdę nie potraficie tego zrozumieć?

– Czy to nieodwołalna decyzja? – spytał Nowotny.

Mistrz skinął głową.

– Za pół godziny radio Königsberg nada wiadomość o bombie. Nie wyjawimy miejsca jej lokalizacji. Chcę, żeby każdy Rzeplita poczuł strach. Również Chmielnicki. On przede wszystkim.

Rozdział 17

Jałta. Biały Pałac
22 maja 1957 roku

Na tarasie pałacu Maksym Chmielnicki stał otoczony przez senatorów. Nie odrywał spojrzenia od miasta w dole. Nie on jeden. Nikt nic nie mówił, nie tylko z powodu przeraźliwego jęku syreny, ale i dlatego, że to, co widzieli, wymykało się słowom. Jałta pograżała się w chaosie. W porcie trwała regularna bitwa policji z olbrzymim tłumem uciekinierów, pragnącym dostać się na pokłady wychodzących pospiesznie w morze setek łodzi i jachtów. Rabowano sklepy, płonęło już kilka budynków. Od chwili, gdy pół godziny temu ludzie dowiedzieli się, że Krzyżacy zamierzają zdetonować bombę atomową gdzieś w Rzeczypospolitej, sytuacja pogarszała się z minuty na minutę.

– Maksym, musisz uciekać. – Książę Adam Radziwiłł dotknął ramienia Kanclerza.

– Zostaw mnie! – Chmielnicki odepchnął dłoń księcia. – Nie mam zamiaru się stąd ruszać!

– Maksym, na miłość boską! – Radziwiłł złożył ręce jak do modlitwy. – Wojskowi twierdzą, że Jałta jest najbardziej zagrożona! Musisz uciekać!

– Sukinsyny! – Kanclerz zacisnął dłonie w bezsilnej wściekłości. – Sukinsyny!

Na taras wbiegli agenci ochrony, za nimi pojawił się blady jak papier generał Potapiuk.

– Kanclerzu, śmigłowiec jest gotów, a pancernik „Kijów” czeka pod Teodozją – powiedział szybko.

Kanclerz przymknął oczy i trwał tak przez chwilę niczym kamienny posąg.

– Co dzieje się w kraju? – spytał cicho, nie otwierając oczu.

– Wszędzie to samo – ponuro odparł stojący obok Zamojski. – Policja i wojsko próbują opanować sytuację, lecz nie dają rady powszechnej panice.

Chmielnicki podszedł wolno do balustrady okalającej taras, oparł się o nią ciężko i ruchem ręki przywołał oficera z sekcji łączności.

– Czy były już jakieś wieści z północy?

– Niestety, jeszcze nie – odparł zapytany. – Cały czas czekamy.

– Maksym! – krzyknął Radziwiłł. – Nie możesz się poddać! Zginąć tutaj! Rzeczpospolita pozostanie bez przywódcy!

– Chcę mieć zapewnioną łączność z Wilnem...

– W śmigłowcu jest radiostacja – uspokoił Zamojski. – Jeśli coś się wydarzy, zaraz będziesz o tym wiedział.

Chmielnicki westchnął ciężko, spojrzął raz jeszcze na miasto i ruszył ociężale w stronę wyjścia.

Rozdział 18

Novy Sad

22 maja 1957 roku

Mateusz i Walocha obserwowali uważnie zza pleców Hopkinsa jego manipulacje przy wmurowanej w ścianę klawiaturze, która uruchamiała wrota montowni. Profesor, mrużąc coś pod nosem, wpatrywał się w pęk różnokolorowych kabli.

– I co? – spytał niecierpliwie Prus. – Potrafi pan to otworzyć?

– Niestety, to nie takie proste – odparł naukowiec wyraźnie zakłopotany. – Mechanizm nie jest skomplikowany, lecz budowniczowie przewidzieli wszystkie ewentualności. Gdy doszło do uwolnienia gazu, zadziałało dodatkowe zabezpieczenie.

– Co pan ma na myśli?

– Gdzieś tu musi być ukryte podobne urządzenie, które zdejmuje blokadę wrót. – Profesor odwrócił się i powiódł zamyślonym wzrokiem po parku. – Gdzieś tu musi być... Niemożliwe, żeby o tym zapomnieli.

– O czym mówicie? – odezwał się Mateusz, który przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Profesor twierdzi, że gdzieś na terenie folwarku jest ukryty mechanizm, otwierający wejście do montowni. Niestety, nie wiadomo, gdzie.

– Jak więc się tam dostaniemy? – Przemysłnik zmierzył stalowe wrota spojrzeniem, jakim zazwyczaj obdarza się znienawidzonego wroga.

– Oto jest pytanie – mruknął niewyraźnie Walocha.

– Może przez dach? – zaproponował przemysłnik. To lekka konstrukcja, nie powinna sprawić nam problemów.

– A gaz? Zapomniałeś o gazie? – przypomniał mu zgryźliwie dowódca Legionu. – Całe wnętrze wypełnia to świństwo. Jak zaczniemy zdejmować dachówki, popadamy jak muchy. To nie wchodzi w rachubę.

– Musimy dostać się do środka! – Mateusz kopnął drzwi. – Przecież to nienormalne, żebyśmy nie mogli tam wejść!

– Dlaczego właściwie chcecie tam wejść? – Hopkins zdawał się domyślać, o czym rozmawiali. – One tam są. Nie wątpicie chyba o tym.

– Mamy je, a jakbyśmy nie mieli. Nie myśli pan, że to dość frustrująca sytuacja? – spytał z rezerwą Prus.

– Myślę, że powinniście poczekać na waszych żołnierzy – odparł spokojnie Hopkins. – Mieszkałem tutaj cztery miesiące i jak widać nie poznałem wszystkich tajemnic tego miejsca. Co będzie, jeśli istnieją inne zabezpieczenia?

– Być może tak właśnie jest. – Walocha po chwili wahania przyznał mu rację. – Ten budynek tylko z pozoru wygląda normalnie.

– Co on mówi?

– Radzi poczekać na przybycie twoich ziomków.

Mateusz popatrzył na Anglika podejrzliwie, po czym podszedł do drzwi i chwycił za wąską metalową listwę przyspawaną po obu stronach wrót. Pociągnął z całych sił, potem raz jeszcze. Wrota ani drgnęły. Zaklął bezgłośnie i spróbował jeszcze raz.

Walocha obserwował jego poczynania z narastającym rozdrażnieniem.

– Co ty, do cholery, robisz! – nie wytrzymał wreszcie. – Odbiło ci?!

– Chcę je zobaczyć – odparł ze złością przemytnik.

– Walocha! Mateusz! – od strony dworu nadbiegł zasapany Kostas. – Idą na nas! Od strony wsi i od ogrodu!

– Ilu ich jest? – spytał szybko dowódca Legionu.

– Trudno powiedzieć. – Młodzieniec wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce. – Chłopaki z kompanii Sokołów dostrzegli ich pod lasem, nadchodzą też od strony wsi. Chcą nas chyba wziąć w kleszcze!

Walocha spojrział na zegarek, marszcząc brwi.

– Dwunasta piętnaście. Zaczęło się.

Sierżant Ditrich Gerdtehl wychylił ostrożnie głowę zza lipy i zmierzył uważnym spojrzeniem widoczną w odległości dwustu łokci bramę majątku. Jego wzrok prześliznął się po ogrodzeniu i zatrzymał ponownie na bramie. Nie dostrzegł żadnego z Prusów, był jednak pewien, że zajęli pozycje wzdłuż płotu i wyczekiwali swoich przeciwników. Oparł ręce o pień drzewa i zagryzł wargi. Zrozumiał nagle, że dotarcie do bramy kosztować go będzie wiele wysiłku i jeszcze więcej ofiar. Jediną i wątpliwą osłonę stanowiły lipy i żyto, wysokie zaledwie na łokieć. Jeśli zdecydowałoby się pełznąć przez zboże, staliby się ślepi, głusi i na dodatek wyszliby wprost pod lufy. Drzewa, rosnące w sporych odstępach, też nie dawały żadnej osłony. Sierżant westchnął ciężko i obrócił się za siebie. Sześćdziesięciu mieszkańców Nowego Sadu, przycupniętych w grupkach po kilku, szeptało coś między sobą, najpewniej zastanawiając się, co czeka ich już za chwilę. Przez twarz komturalnego przemknął cień niepokoju. Był pewien, że ci ludzie, w większości brzuchaci, starsi panowie i gołowąsy, nie wytrzymają napięcia i zawiodą w decydującej chwili. Jak poprowadzić tę zbieraninę, aby nie

rozpierzchła się na odgłos pierwszych wystrzałów? Gdyby zamiast tej hałastry miał tu swoich ludzi, wiedziałby, co robić. Ci jednak mieli inne zadanie do wykonania, on zaś otrzymał rozkaz związania jak największej liczby Prusów w tej części parku. Jak ma nawiązać walkę, skoro wielu z jego nowych podkomendnych ledwie potrafi obchodzić się z bronią?

Jego rozważania przerwało pojawienie się posterunkowego Schmidta. Policjant, przeskakując od drzewa do drzewa, dotarł do komturalnego i przysiadłszy skulony, też zapatrzył się na ogrodzenie.

– Są tam, prawda? – spytał ponuro.

– Cóż za niedorzeczne pytanie – odburknął sierżant. – Nie sądzi pan chyba, że uciekli.

– Wystarczy, jeśli będzie ich ze dwudziestu. Przy takiej konfiguracji terenu nie podejźmy bliżej jak na sto łokci. Jeśli chce pan złamać pruską obronę, powinien pan zmusić tych ludzi do szturm, a to nie będzie łatwe. O tym też pan wie?

Sierżant zacisnął usta.

– Milczy pan – posterunkowy pokiwał głową. – Wydaje mi się, że pański dowódca wyznaczył panu bardzo niewdzięczne zadanie. Kazał stanąć na czele stada owiec, które mają iść na rzeź. Naprawdę fatalna sprawa... – Policjant zamilkł nagle i zerknął przez ramię.

Wśród wieśniaków zapanowało niespodziewane poruszenie. Zygfyrd Küste tłumaczył coś zawzięcie swoim tomkom, wskazując co chwila na majątek.

– Cholerna gnida! – warknął komturalny. – Bez przerwy ich buntuje!

– Jeszcze chwila i rozejdą się do domów. – Posterunkowy potwierdził jego obawy, smutno kiwając głową, znał tych ludzi.

Gerdteł zaklął pod nosem, zarzucił karabin na ramię i nisko przygięty przebiegł na drugą stronę alei, jednym ruchem zsunął karabin i zdzielił sadownika kolbą w plecy. Küste upadł z jękiem. Komturalny przystawił mu lufę do głowy.

– Posłuchaj mnie, bydlaku – wycedził przez zęby. – Mam cię serdecznie dość. Powiesz jeszcze jedno słowo, zastrzelę cię bez chwili namysłu.

Küste, oszołomiony uderzeniem, czując chłód metalu na skroni, niemalże przestał oddychać.

– Co pan... – zaczął siedzący obok sołtys Havliček.

– Milczeć! – wrzasnął Gerdteł. – Słuchacie tej gnidy? Strach was obleciał? A to, że ojczyzna was potrzebuje, to nic? Chcecie schować się w chałupach i czekać, aż ktoś inny załatwi sprawę za was? Nic z tego! Zaraz uderzymy na Prusów i ostrzegam was, że jeśli któryś spróbuje ucieczki, zastrzelę go natychmiast!

Słowa komturalnego przyniosły oczekiwany skutek. Szemranie wśród tłumu ustało w jednej chwili. Gerdteł powiódł chmurnym wzrokiem po twarzach wieśniaków.

– Ruszamy o wpół do pierwszej. Jeśli wykażecie się odrobiną rozsądku i odwagi, macie sporą szansę wyjść z tego cało. Czy dobrze mnie zrozumieliście?

Odpowiedziało mu milczenie.

* * *

Czterdziestu komturalnych wypęzło z dojrzewającego żyta i pokonało błyskawicznie kilkadziesiąt łokci dzielących ich od pierwszych jabłoni zdziczałego sadu położonego na tyłach chlewni. Kapitan Kądziela ruchem ręki wysłał do przodu dwóch zwiadowców. Komturalni zalegli pośród drzew. Czekali minutę.

– Ilu? – spytał Kądziela.

– Zauważyliśmy pięciu. Zajęli stanowiska wzdłuż alejki.

Kapitan uniósł się na łokciach i spojrzał w stronę przesłoniętej drzewami montowni. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Dzięki pospolitemu ruszeniu, które przykuło uwagę napastników, zyskał szansę na odbicie ośrodka. Ktokolwiek dowodził tą zgrają za płotem, popełnił błąd, rozdzielając siły, zamiast skupić je na obronie dworu, który usytuowany centralnie, stanowił jedyny sensowny punkt oporu. Kądziela spojrzał na zegarek i zmrużył oczy. Gra, którą podjął, była śmiertelnie niebezpieczna, lecz jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, być może wyjdzie z tej nieprawdopodobnej afery obronną ręką. Odbił rozmowę z dowódcą. Nie była łatwa, lecz Wiktor von Osten, bliski przyjaciel rodziny, który wraz z jego ojcem służył w jednym regimencie, wysłuchał go nad wyraz spokojnie. Kapitan czuł, że jego decyzja o pościgu spotkała się ze zrozumieniem. Otrzymał nawet skąpą pochwałę za zarządzenie alarmowej ewakuacji w obliczu domniemanego spisku. Właśnie. Spisek. Ukłucie niepokoju powróciło. Kądziela wiedział, że zabrnął już tak daleko w swoim kłamstwie, że nie było już odwrotu. Musiał je uwiarygodnić. Musiał pozbyć się Złoga. Za wszelką cenę.

* * *

– Szybciej do cholery! Nie guzdrać się! – Stojący pośrodku dziedzińca dowódca Legionu śledził chmurnym spojrzeniem pięciu Bojów, którzy opuścili właśnie stanowiska przy bramie i ruszyli biegiem przez park, aby wzmocnić obronę sadu.

– Dlaczego wysyłasz tam ludzi? – Mateusz przyglądał mu się wyraźnie zaskoczony. – Sądziś, że uderzą także z tej strony?

– To bardzo prawdopodobne – odparł niechętnie Walocha. – Gdybym był na ich miejscu, tak właśnie bym postąpił. Mają nad nami sporą przewagę liczebną i wiele amunicji, my zaś mamy jej mało i musimy bronić obszaru, który wbrew pozorom do obrony łatwy nie jest. Teraz dopiero widać, że utrzymanie majątku nie będzie proste.

– Myślisz, że się nie utrzymamy? – Przemytnik, mimo że starał się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie, wypowiedział te słowa z wyczuwalnym wahaniem.

Walocha udał, że nie usłyszał pytania. Spojrzał na zegarek i zarzucił karabin na ramię.

– Wracaj do dworu. Pamiętaj, że gdyby... gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, obejmiesz komendę i pokierujesz dalszą obroną. Dwór to nasz ostatni punkt oporu. Jeśli dobrze rozmieścisz ludzi, utrzymasz się jeszcze jakiś czas.

Mateusz zmierzył Prusa badawczym spojrzeniem.

– Ty naprawdę sądzisz, że się nie utrzymamy...

– Wracaj do dworu. – Dowódca Legionu uśmiechnął się z wysiłkiem. – Zaraz się zacznie.

Powietrze na poddaszu było duszne, przesycone wonią stęchlizny. Ośmiu ludzi, stojących w otwartych oknach, oddychało ciężko, wsłuchując się w dochodzące od strony bramy i ogrodu odgłosy kanonady, to cichnące, to znów przybierające na sile. Minęło już pięć długich minut, odkąd Krzyżacy rozpoczęli szturm folwarku. Napięcie na poddaszu sięgało zenitu. Przemysłowcy, Kostas i dwóch Bojów stanowiących załogę poddasza, rozdzieleni na dwie grupy, zerkali co chwila na siebie, jakby oczekując relacji z pola walki.

– Ostro walą – odezwał się Sołtys raczej po to tylko, aby przerwać denerwujące milczenie.

– Utrzymamy się, prawda? – Błady i spocony Otto stał przy swoim oknie naprężony jak struna. – Ich wcale nie jest tak wielu...

– Pewnie że, tak – odparł flegmatycznie Kuna. – Komturalnych nie ma się co bać. Gdyby to byli nasi komandos, to co innego. Ale Krzyżacy to głąby. Oni nawet nie potrafią strzelać...

Mateusz nie słuchał paplaniny swoich kamratów. Obserwował korony jabłoni, tworzących zielony, zbity gąszcz. Gdzieś wśród gałęzi i liści czuwało dziesięciu Bojów, lecz w huk, który zdawał się dobiegać zewsząd, trudno było się rozeznąć, czy również tam toczy się walka. Omiótł wzrokiem rosnące w równym rzędzie modrzewie, zza których kilka godzin temu przysłuchiwał się rozmowie strażników. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Niemalże zdołał się uspokoić, gdy nagle kątem oka złowił ruch z drugiej strony budynku. Zamarł, czując, jak jego serce zaczyna bić mocniej. Kilku ludzi, którzy przywarli za pniami jabłoni, celując z karabinów w okna poddasza i parteru. To nie byli Prusowie. Nie nosili granatowych kubraków. Nie wyglądali również na wieśniaków. Poruszali się szybko, sprawnie i wyraźnie wiedzieli, co robią. Komturalni. W nagłym przeblysku Mateusz zrozumiał plan ich dowódcy. Ten drań, wystawiwszy pospolite ruszenie na przynętę, zniósł północną flankę, przedarł się przez sad do parku i za chwilę uderzy od tyłu na walczących Prusów. Druga grupa zaś otrzymała najpewniej zadanie opanowania dworu i ataku na ogród. Poczul, jak strasznym uczuciem jest bezradność. Nie było sposobu, by ostrzec Woltora o niebezpieczeństwie. Za chwilę komturalni wystrzelają do nogi obrońców bramy, którzy nieświadomi bliskiej katastrofy trwają na swoich stanowiskach... Przemysłownik obejrzał się na swoich towarzyszy.

– Wszyscy na moją stronę! – zasyczał. – Szybko!

– Co jest? – Dymitr błyskawicznie znalazł się przy nim.

– Mamy gości. Komturalni, na razie kilku, próbują zorientować się, czy dwór posiada ochronę. Kuna i Sołtys! Do mnie!

– Co się dzieje? – Kostas przebiegł przez poddasze. – Co się...

– Komturalni wdarli się na teren majątku. Za chwilę uderzą na Woltora... – Mateusz chwycił młodzieńca, który z szaleństwem w oczach rzucił się ku drzwiom.

– Zostań! Tamtym już nie pomożemy!

– Trzeba go ostrzec! – Kostas zdawał się nie słyszeć jego słów. – Trzeba go ostrzec!

– Jak chcesz to zrobić? – Rzeplita dzierzył ramię Prusa w stalowym uścisku. – Jak chcesz przejść przez ten przekłety dziedziniec?!

– Mamy więc tu czekać?! – wybuchnął Kostas. – Lepiej zginąć w walce!

– Lepiej jest przeżyć i zwyciężyć. – Mateusz popchnął młodzieńca w objęcia Kuny, sam zaś szybkim ruchem przywołał jednego z Bojów.

– Zejdiesz do ogrodu i powiesz Walosze, że komturalni przeszli przez sad pod montownię. Powiesz mu, że zaraz nas zaatakują i że się długo nie utrzymamy. Powiesz, żeby natychmiast wracał do dworu ze wszystkimi ludźmi i obsadził parter! Idź! Liczy się każda sekunda!

Prus zakręcił się na pięcie, popchnął drzwi i zbiegł po schodach.

Siedmiu obrońców zamarło przy oknach, wpatrując się w napięciu w świerki na skraju dziedzińca.

Komturalni minęli już chlewnię i, posuwając się skokami, dotarli do parku. Jeszcze nie dowierzali swemu szczęściu. Kryli się pośród krzewów i drzew, lecz kusily ich puste okna dworu. Mateusz nie spuszczał z napastników wzroku. Czuł, że za chwilę wypełzną na pustą przestrzeń dziedzińca. Zagryzł wargi i zacisnął dłonie na kolbie karabinu. Co robić? Co, do cholery, należy teraz zrobić? Otworzyć ogień i ujawnić swoją obecność? A może poczekać, aż ruszą do szturmów? Ubije ich kilku...

Huk wystrzału w ciasnej przestrzeni poddasza zabrzmiał ogłuszająco. Pocisk uderzył w bruk dziedzińca, płosząc napastników. Otto spoglądał na swój karabin z przerażeniem.

– Coś ty, kurwa, zrobił! – wrzasnął Sołtys.

– Nie wiem, jak to się stało... sam wystrzelił... – wyszeptał zbielejącymi wargami Brandenburczyk.

Dalsze jego słowa zagłuszyła nagła kanonada. Komturalni rozpoczęli gwałtowny ostrzał poddasza.

– W nich bij! – wrzasnął Kuna.

Mimo rozpaczliwych prób podjęcia równorzędnej walki, niemal od razu ujawniła się wielka przewaga Krzyżaków. Ledwie któryś z obrońców pokazał się w oknie, natychmiast w jego stronę kierował się ostrzał. Drugi z Bojów spóźnił się o ułamek sekundy. Wystrzelił i chciał właśnie przeładować karabin, gdy zachwiał się nagle i osunął na podłogę. W jego czole widniał otwór wielkości jednomoresowej monety, a po drewnianej podłodze poddasza rozlewała się wolno kałuża krwi.

Mateusz, oparty o ścianę, przesunął się wolno do okna i wychylił ostrożnie głowę. Napastnicy, ubezpieczając się wzajemnie, posuwali się w stronę dworu. Pierwszy pojawił się barczysty drab, który wypadł zza świerków, przebiegł wzdłuż klombów róż i przypadł za

siewnikiem. Po chwili dołączył do niego kolejny, potem jeszcze jeden. Dwóch innych skryło się za ciężarówką. Przemutnik zaklął bezgłośnie. Jeszcze chwila i te świnie opanują dwór!

Nagła lawina ognia z parteru uderzyła w nacierających Krzyżaków niczym grom. Wyrzucony silną ręką granat zatoczył w powietrzu łuk i wpadł pod koła żubra. Ciężarówka stanęła w ogniu, dwóch komturialnych kryjących się za nią zginęło natychmiast. Reszta błyskawicznie wycofała się na pozycje wyjściowe.

– Walocha wrócił! – ryknął triumfalnie Kuna.

– Dostali, skurwysyny, za swoje! – wtórował mu Sołtys.

– Jezus Maria! – Radosne okrzyki przerwał nagle rozpaczliwy wrzask Kostasa, który podbiegł do okna i zamarł ze wzrokiem utkwionym w żwirową aleję. – To ludzie Waltora!

Obrońcy śledzili w ponurym milczeniu czterech Bojów, którzy strzelając z półobrotu w stronę niewidocznego jeszcze przeciwnika, kierowali się ku zbawczemu dworowi. Za nimi, niemal na ich plecach, pojawiło się naraz pospolite ruszenie. W otwartych na oścież drzwiach stanął zadyszany Prus z kompanii Sokołów. Podbiegł do Mateusza i szarpnął go za ramię.

– Wszyscy na dół! Rozkaz Walochy!

Siedmiu ludzi ruszyło biegiem po schodach na parter. W salonie grzmiały echa wystrzałów. Kilkunastu ocalałych Prusów, przycupniętych przy oknach, odpierało atak pospolitego ruszenia.

– Walocha! – Mateusz podbiegł do dowódcy Legionu, który krzychał coś do swoich ludzi. – Co się stało?! Dlaczego...

– Nie teraz! – Prus odepchnął przemutnika. – Weź czterech ludzi i ubezpieczaj ogród! Za chwilę mogą uderzyć również z tamtej strony! Szybko!

Posiłki przybyły w ostatniej chwili. Pospolite ruszenie było już na dziedzińcu.

– Granatami w nich! – wrzasnęła Sołtys.

Kilka metalowych jaj wyleciało przez okna. Bojowie przywarli do ścian. Głuche eksplozje wstrząsnęły budynkiem.

Gdy ustąpił dym, pospolitego ruszenia już nie było. Dziedziniec zasłany był ciałami poległych i rannych. Poprzez chaotyczny ogień dobiegający z parku przebijały się rozpaczliwe wołania o pomoc.

– Wstrzymać ogień! – zarządził Walocha. – Ludzie z kompanii Sokołów na górę, reszta niech trzyma broń w pogotowiu! Strzelać tylko, gdy znowu spróbują podejść!

Na dziedzińcu zapadła nagle cisza. Napastnicy również przzerwali ostrzał.

Dowódca Legionu podeszedł do Mateusza, przysiadł obok niego i wbił zasępiiony wzrok w zieleń ogrodu. Przemutnik otworzył usta, lecz widząc wściekłość na twarzy olbrzyma, zrezygnował z wszelkich pytań. Właściwie nie było o co pytać.

– Chyba mają już dość – odezwał się po chwili Otto. – Chyba nie będą tędy się pchali, prawda?

– Nie muszą już nas wcale atakować – mruknął ponuro Kuna. – Opanowali montownię i mogą sobie zabrać te przeklęte bomby.

– Gównu tam opanowali – obruszył się Sołtys. – Póki tu jesteśmy, nie wywiozą ich.

– Otóż to. – Walocha ożywił się nagle, jakby wypowiedziane przez przemytnika słowa dodały mu sił. – Żeby je odzyskać, muszą stąd najpierw nas wykurzyć, a to łatwo im nie przyjdzie.

– Jak stoimy z amunicją? – dopytywał się Brandenburczyk, przyglądając się niespokojnie swoim towarzyszom.

– Kiepsko – odparł niechętnie Dymitr. – Większość jej zużyliśmy do walki z pospolitym ruszeniem. Jeśli zaatakują, nie wytrzymamy dłużej niż godzinę, może dwie. To, oczywiście, tylko przypuszczenia. Wszystko zależy od tego, co zrobią Krzyżacy.

– Ktokolwiek dowodzi tą hałastrą, na pewno zależy mu na czasie – zaczął Mateusz. – To nasza jedyna szansa. Może popełni jakiś błąd? Może...

– Zamknij się! – wrzasnął Sołtys. – Słyszycie?!

W salonie zapadła cisza. Gdzieś z góry dobiegał dziwny, narastający stopniowo odgłos przypominający grzmot burzy.

– Samolot! – krzyknął jeden z Prusów pilnujących okna. – To Rzeplita! Widzę go wyraźnie! Przylecieli! Naprawdę przylecieli!

Walocha bez słowa sięgnął do swojego plecaka, wyjął z niego zabraną Morgajle raketnicę i podszedł do okna. Odczekał, aż samolot wykona nawrót i pociągnął za spust. Zielona raca wystrzeliła w niebo. Odrzutowiec przemknął nisko nad dworem. W salonie rozległy się okrzyki radości.

– Spokój! – Krzyk dowódcy Legionu zabrzmiał wyjątkowo donośnie. – Obserwujcie park!

Bojowie natychmiast przywarli do okien. Za plecami Prusa stanął Mateusz.

– Mam nadzieję, że właściwie odczytają ten sygnał – powiedział z nadzieją. – Myślisz, że zrozumieli przekaz?

– To okaże się już niebawem. – Walocha spojrzał zasępiony na zegarek. – Wszystko wyjaśni się w ciągu najbliższej godziny.

* * *

Kapitan Kądziela zatrzymał się w pół kroku, gdy nad jego głową rozległ się grzmot odrzutowego silnika. Odruchowo przypadł do ziemi i spojrzał w pokryte chmurami niebo. Samolot nadleciał z południa na niewielkiej wysokości. Przemknął nad majątkiem i zatoczywszy krąg nad wsią, zawrócił ponownie. Leciał teraz znacznie wolniej. Dowódca komturalnych obserwował z niepokojem zbliżającą się maszynę. Natychmiast rozpoznał typ samolotu. Był to myśliwski „Trzmiel” używany przez większość europejskich armii.

– Niech to szlag! – rzucił z wściekłością, gdy dostrzegł na skrzydłach niebiesko-żółte kręgi.

Samolot należał do któregoś z mazowieckich pułków myśliwskich. Maszyna zatoczyła nad majątkiem kolejny krąg. Nagle z okna dworu w powietrze poszybowała zielona raca. Kapitan zmarszczył brwi. Cóż to, do cholery, znaczy? Prusowie dają znaki pilotowi? W jaki sposób nawiązali łączność? Przestrzelił przecież kabel telefoniczny! Obserwował ponuro oddalający się samolot. Jego dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. Przebiegł szybko przez park, przycupnął za klombem róż i ruchem ręki przywołał leżącego obok posterunkowego Schmidta.

– Niech pan tu podejdzie! Musimy zamienić słowo!

Policjant zerknął na komturalnego chmurnie, rzucił szybkie spojrzenie w stronę dworu, po czym jednym susem przesadził odkrytą przestrzeń dzielącą go od dowódcy komturalnych.

– Czego pan chce? – burknął.

– Muszę wiedzieć, ilu ludzi z pospolitego ruszenia pozostało zdolnych do walki? – spytał szybko Kądziela.

– Ilu? – Schmidt spojrział na niego wrogo. – Skąd mam to niby wiedzieć? Myśli pan, że miałem czas ich policzyć? Większość albo zginęła, albo jest ranna. Można przyjąć, że nikt.

– Muszą raz jeszcze uderzyć na dwór – powiedział twardo Kądziela. – Prusów pozostało już niewiele. Jeden atak załatwi sprawę.

– Pan chyba kpi! Albo oszalał! – Policjant nawet nie próbował ukryć narastającej wściekłości. – Chce pan wysłać tych ludzi wprost pod kule?! Raz już spróbowali, niech pan spojrzy, co się stało. – Wskazał ciała poległych na dziedzińcu. – Zrobili co mogli. Na więcej ich nie stać.

– Panie Schmidt – syknął ze złością kapitan. – Ja pana nie proszę, ja panu wydaję rozkaz! Skoro ich sołtys nie żyje, teraz pan jest dowódcą. Musi pan ich poprowadzić! Widział pan samolot? Rzeplenci mogą pojawić się tu w każdej chwili!

– A wy? – warknął policjant. – Będziecie przypatrywać się, jak giniecie? Jak do tej pory niewiele działaliście. Teraz wasza kolej! Dokończcie, cośmy zaczęli!

– Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji, które wobec pana zostaną wyciągnięte! – Miotał się komturalny. – Osobiście przypilnuję, żeby trafił pan pod sąd...

– Niech pan sam im to powie! – wybuchnął posterunkowy. – Ja tego nie zrobię!

Kądziela sięgnął po pistolet i wymierzył go w pierś policjanta.

– Zastrzelisz mnie? – Posterunkowy uśmiechnął się szyderczo. – No, dalej! Pokaż, jaki z ciebie bohater! Zawaliłeś sprawę, a teraz cudzą krwią starasz się zmyć własne błędy!

Kapitan zacisnął usta.

– Spieprzaj, tchórze!

Policjant wycofał się w głąb parku. Kapitan spoglądał za nim w bezsilnej wściekłości. Gdy tamten zniknął wśród klombów róż, opadł ciężko na ziemię. Jego plan niemal się

powiódł. Niemal. Przekłęci Prusowie okazali się jednak trudniejszym przeciwnikiem niż przypuszczał. Westchnął ciężko i spojrzał na montownię, potem na dwór. Zacisnął dłonie w pięści. Cóż z tego, że bandyci siedzieli zamknięci we dworze, skoro kontrolowali cały dziedziniec. Póki tam byli, poty dostęp do wrót montowni był zamknięty. Patowa sytuacja. Nie, nie wolno mu tak myśleć! Skoro nie może liczyć na pospolite ruszenie, musi wprowadzić w życie plan awaryjny. To jedyny sposób, by szybko odzyskać bomby.

Rozdział 19

Morze Czarne

22 maja 1957 roku

Grupa dostojników Rzeczypospolitej stała na pomoście olbrzymiego pancernika i spoglądała w stronę widocznego na horyzoncie lądu. – Jak na razie nic się nie dzieje – stwierdził Pawliczus.

– Nikt przecież nie wie, gdzie jest bomba – mruknął Radziwiłł. – Może właśnie w tej chwili któreś z naszych miast płonie jak pochodnia?

– Wypluj te słowa! – Zamojski przeżegnał się szybko.

– Powiem wam, że nie chciałbym być na jego miejscu. – Radziwiłł ruchem głowy wskazał na pokład, gdzie otoczony przez agentów siedział w swoim fotelu Chmielnicki.

– Siedzi tam, odkąd opuściliśmy port. – Zamojski robił wrażenie zaniepokojonego. – Nie uważacie, że powinniśmy do niego zejść?

– Daj spokój. – Księżę machnął ręką. – Nie chce nikogo widzieć.

– Myślicie, że on... – Zamojski zawahał się. – No, wiecie...

– Co wiemy? – spytał podejrzliwie księżę.

– Zastanawiam się, czy stan jego zdrowia nie wpłynie na jakość podejmowanych decyzji...

– To brednie! – uciął ze złością Potapiuk. – Kanclerz jest w pełni sił umysłowych!

Obok generała pojawił się nagle dowódca pancernika, komandor Tomasz Mrówczyński.

– Panowie – odezwał się wyjątkowo poważnym tonem. – Nadszedł właśnie meldunek z Wilna.

– Proszę pokazać – zażądał niecierpliwie Potapiuk.

Przeczytał szybko meldunek i zacisnął usta.

– Jakie wieści? – spytał niespokojnie Radziwiłł.

– Sam przeczytaj.

Księżę przebiegł wzrokiem treść.

– Co jest w meldunku? W czyich rękach jest folwark? – zapytał nerwowo Zamojski.

– Przeczytaj. – Radziwiłł podał mu kartkę.

Zamojski przebiegł wzrokiem treść meldunku.

– Idziemy do niego. Teraz tylko on może podjąć decyzję.

Kanclerz siedział nieruchomo jak posąg ze wzrokiem utkwionym w nieodległy ład.

– Jakie wieści? – spytał, kiedy podeszli, nie odwracając głowy.

– Zwiad lotniczy doniósł, że trwa tam bitwa – powiedział Radziwiłł. – Pilot nie jest w stanie określić, w czyich rękach jest majątek.

– Nasz wywiad przechwycił zaszyfrowaną informację kierowaną do dowódcy piątej brygady strzelców olsztyńskich, nakazującą mu natychmiastowy wymarsz z koszar – uzupełnił Potapiuk. – Ludzie Sapiehy twierdzą, że ta jednostka otrzymała rozkaz odbicia folwarku.

– Wysyłają całą brygadę? – Chmielnicki poruszył się gwałtownie. – Dlaczego?

– Wniosek jest raczej prosty – podsumował ostrożnie Radziwiłł. – Chcą odbić skład bomb.

– Znaczy to, że one tam są. – Chmielnicki podniósł się ciężko z fotela i podszedł wolno do relingu. – One tam naprawdę są – powtórzył.

– Też tak uważam. Jest tylko jeden problem – powiedział szybko książę. – Jakież lokalne oddziały armii krzyżackiej atakują już majątek. Nie wiemy, czy Prusowie zdołają się utrzymać...

– Ile czasu zajmie komandosom dotarcie na miejsce? – Kanclerz spojrział na dowódcę Drugiej Armii Litewskiej.

– Mogą być tam w ciągu trzydziestu minut!

– Niech ruszają natychmiast! – Kanclerz zacisnął dłoń. – Niech ruszają Prusom na pomoc!

– Maksym – zaczął cicho Radziwiłł. – Czy wiesz, jak wielkie ryzyko podejmujesz? Jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego... Jeśli Krzyżacy zdetonują bombę...

– Dość gadania! – przerwał mu ostro Chmielnicki. – Generale Potapiuk! Proszę wysłać swoich ludzi!

Rozdział 20

Novy Sad

22 maja 1957 roku

– Słyszycie mnie tam?! Nie strzelajcie! Chcę porozmawiać! – Kapitan Kądziela wychylił ostrożnie głowę zza wraku żubra. – Mam dla was pewną propozycję!

Dwór milczał. Komturalny uniósł ręce i wyszedł powoli zza ciężarówki. Omijając zwłoki mieszkańców Novego Sadu, przeszedł przez dziedziniec i zatrzymał się na wprost drzwi.

– Ktoś ty?! – rozległ się donośny głos dobiegający z pustego okna.

– Kapitan Arnold Kądziela! Dowódca ochrony majątku!

– Czego chcesz?!

– Wyjdź na zewnątrz!

– Nie ufam ci!

– Twoi ludzie mają mnie na muszce! Nie musisz niczego się obawiać!

– Czego chcesz?!

– Wyjdź, pogadamy!

Drzwi dworu otworzyły się po chwili. Na progu stanął zarośnięty olbrzym o długich, związanych w kitkę włosach. Zszedł wolno po schodach, stanął przed Krzyżakiem i obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

– Czego chcesz?

– Z kim rozmawiam?

– Jestem dowódcą Legionu Pruskiego. Mów, o co ci chodzi. Nie zamierzam tracić czasu na pogawędki.

Kapitan uśmiechnął się nieznacznie, przyglądając się swojemu przeciwnikowi z tajnym zainteresowaniem.

– Nie zamierzam marnować twojego cennego czasu. To, co chcę powiedzieć, można streścić w kilku słowach. Macie coś, na czym bardzo mi zależy. Przychodzę więc z pewną propozycją. – Głos dowódcy komturalnych brzmiał pewnie. – Jak zdążyłem zauważyć, zaznajomiliście się już z systemem zabezpieczeń montowni. Zdradzę ci więc pewną

tajemnicę. System ten obejmuje również dwór. Przyznam szczerze, że do chwili opanowania folwarku nie wiedziałem, dlaczego nie zadziałał. – Kądziela przerwał swój wywód. Zapalił papierosa i spojrzał na Prusa zimno. – Nastąpiła awaria, ale już naprawiliśmy uszkodzenie. System znowu działa. Daję wam kwadrans na opuszczenie dworu. W przeciwnym razie puszcę gaz.

Walocho podniósł głowę i uśmiechnął się drwiąco.

– Pewien nasz wspólny znajomy określił cię mianem człowieka bez polotu... To co mówisz, to brednie i dziwię się, że spodziewałeś się, że w to uwierzę. Gdybyś mógł zrobić to, o czym mówisz, dawno już byśmy nie żyli. Jeśli to wszystko, co masz do powiedzenia, to dziękuję, nie skorzystamy. Spróbuj znaleźć inny sposób na wykurzenie nas z dworu. Zobaczymy, czy dasz radę.

– W porządku. – Kapitan wzruszył ramionami. – Będzie, jak chcesz. Jediną rzeczą, która powstrzymywała mnie przed puszczeniem gazu, była chęć odbicia naukowców, lecz bomby są w końcu dużo ważniejsze. Mówi się trudno. Skoro nie można mieć wszystkiego, trzeba zadowolić się tym, co jest osiągalne. – Kądziela obrócił się na pięcie i ruszył w stronę parku. Walocho natychmiast cofnął się na schody. Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po salonie. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

– Czego chciał? – pierwszy odezwał się Sołtys.

– Wszystko w porządku! Pilnujcie okien! Za chwilę mogą ruszyć! – Walocho rozejrzał się uważnie, ostentacyjnie upewniając się, czy wszyscy zajmują wyznaczone pozycje, po czym ruchem ręki przywołał Mateusza i Dymitra.

– Sprawdźmy poddasze, reszta pozostaje na stanowiskach.

Gdy dotarli na półpiętro, Walocho zerknął ku otwartym drzwiom pokoju, w którym zajmowali stanowiska Bojowie z kompanii Sokołów. Nie dochodził stamtąd najmniejszy szmer.

– Co powiedział? – Dymitr przyglądał się Prusowi badawczo.

Walocho oparł się o ścianę i westchnął ciężko, teraz widać było wyraźnie, jak bardzo jest zmęczony:

– Ten drań twierdzi, że we dworze jest zainstalowany system zabezpieczeń, taki sam jak w montowni. Twierdzi, że może nas zagazować.

– Myślisz, że to prawda? – spytał niespokojnie Mateusz. – Dlaczego zwlekali by tak długo?

– Twierdził, że nastąpiła awaria i że uszkodzenie zostało już naprawione.

– Tego tylko nam brakowało! Teraz rozumiem, dlaczego nie atakują! – Przemysłnik mimowolnie powiódł wzrokiem po suficie, jakby spodziewał się, że dojrzy wydobywający się skądś gaz.

– Może spróbujemy jakoś unieszkodliwić ten system – zaproponował szybko Dymitr.

– Po pierwsze, musielibyśmy odnaleźć instalację. – W głosie Prusa słuchać było znużenie. – To zajmie trochę czasu, którego akurat nie mamy. Po drugie, jeśli go odnajdziemy, to nikt z nas nie wie, jak się z tym obchodzić. Jeśli nie oni, to my sami wykopimy sobie grób.

– Co więc robimy? – Boryna oparł się o drewnianą poręcz i zwiesił ponuro głowę. – Myślisz, że powinniśmy się wycofać?

Dowódca Legionu potarł nerwowo brodę, westchnął ciężko, po czym spojrzał na zegarek.

– Samolot pojawił się około południa. Teraz dochodzi pierwsza. Pilot musiał złożyć meldunek natychmiast, więc jeśli podjęli decyzję o ataku, posiłki są już pewnie w drodze. Według mnie będą tu lada chwila.

– To dość optymistyczne wyliczenia – zauważył cierpko Dymitr.

– Cała nasza akcja opiera się na bardzo optymistycznych wyliczeniach – odparł ze zniecierpliwieniem Walocha. – Uważam, że powinniśmy tu zostać. Nawet jeśli Krzyżacy wpuszczą gaz, opóźnimy nieco wywiezienie bomb.

– Powiemy ludziom? – spytał posępnie Mateusz.

– Oszalałeś? – Walocha spojrzał szybko w stronę otwartych drzwi. – Nikomu ani słowa! Nie potrzeba nam paniki! Wracamy na dół i czekamy. Być może ta krzyżacka świnia kłamała.

– A jeśli nie? – Dymitr zerknął na Prusa spođe łba. – Co wtedy?

– Wtedy zginiemy. Jesteście chyba na to przygotowani? – Dowódca Legionu zmierzył przemysłników chłodnym spojrzeniem.

– W porządku. – Mateusz zacisnął usta i trącił Dymitra w ramię. – Mamy szansę jedną do stu, że wyjdziemy z tego cało. Może się uda.

* * *

– Minęło już dziesięć minut. – Kapral Greiner spojrzał niespokojnie na dowódcę. – Nie zanosz się na to, żeby Prusowie zamierzali skapitulować.

– Poczekamy jeszcze chwilę – wycedził przez zaciśnięte zęby Kądziała. – Jeszcze chwilę.

– Nie poddadzą się – powiedział z przekonaniem kapral. – Te pruskie świnie wolą zginąć niż złożyć broń. Według mnie, nie ma na co czekać. Tracimy tylko cenny czas. Wezmę dwóch ludzi i poprowadzę wóz strażacki pod stajnię. – Popatrzył na kapitana wyczekująco.

– Dobrze – zdecydował wreszcie kapitan. – Uważaj jednak, żeby któryś z tych drani nie spostrzegł cię zbyt prędko. Najlepiej zatrzymaj samochód koło bramy i poczekaj na mnie.

– Tak jest! – Kapral wycofał się szybko w głąb parku.

Dowódca komturalnych odchylił rękaw kurtki i spojrzał na zegarek. Pięć po pierwszej. Wychylił ostrożnie głowę zza maski zebra. W oknie na piętrze dostrzegł niewyraźny kontur postaci.

– W porządku! – wydusił ze złością. – Wykurzę was stamtąd tak czy inaczej.

W salonie panowała cisza. Skupieni przy oknach Bojowie wpatrywali się w zasłany ciałami poległych dziedziniec. Park pogrążony był w dziwnym, nienaturalnym bezruchu. Można było odnieść wrażenie, iż są tu sami, a wróg opuścił folwark. Nic nie wskazywało, że Krzyżacy zaatakują, lecz owa osobliwa cisza była bardzo zastanawiająca.

Mateusz i Walocha, przycupnięci przy oknie położonym najbliżej drzwi, trwali w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w żwirową aleję. Mateusz spojrział dyskretnie na zegarek.

– Zaraz wszystko się wyjaśni – szepnął cicho. – Jeszcze chwila.

Prus nie odpowiedział. Rozmowa była ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę.

Boryna ukradkiem rozglądał się po salonie. Na suficie czy w ścianach nie dostrzegł żadnych otworów, przez które mógłby wypłynąć gaz, ale to nie oznaczało jeszcze, że nigdzie ich nie było. Dwór był duży, a oni nie mieli czasu, aby go dokładnie obejrzeć. Westchnął ciężko i zerknął w stronę Dymitra, który z drugiego końca salonu obserwował obraz zawieszony nad wygasłym kominkiem. Ich spojrzenia spotkały się nagle, natychmiast też obaj odwrócili głowy. Mateusz uśmiechnął cierpko. Zaciśnął usta i przywarł do ściany, tłumiąc pokusę śledzenia przesuwających się wskazówek. Czas płynął wolno, każda sekunda trwała minutę a minuta godzinę. Nagle poczuł, jak Walocha trącił go w ramię.

– Krzyżak chyba kłamał. – W głosie Prusa słychać było ostrożną nadzieję.

Mateusz spojrział szybko na zegarek i powiedział z wahaniem:

– Pięć po pierwszej. Siedemnaście minut... chyba masz rację. Byłem przekonany, że już po nas. – Otarł spocone czoło. – Ten skurwiel, który nimi dowodzi, to nie najgorszy spryciarz. Napędził mi niezłego strachu. Co teraz? Sądzisz, że przeprowadzą frontalny atak?

– Raczej nie. Ten drań wie, że nie ma szans zdobycia dworu szturmem. Nie postawi wszystkiego na jedną kartę. Jest na to zbyt cwany.

– Co więc zrobi? – spytał niespokojnie Mateusz.

– Otóż to. – Prus spoważniał nagle. – Czuję, że ma jeszcze coś w zanadru.

Ledwie przebrzmiały jego słowa, gdy od strony bramy dobiegł warkot silnika.

– Trzech ludzi na drugą stronę! – zakomenderował Walocha. – Pilnować ogrodu! To może być pułapka!

Trzech Bojów przebiegło przez salon. Odgłos pracy silnika narastał z każdą chwilą.

– Dostali posiłki? – Boryna obserwował w napięciu aleję. – Tak szybko?

– Bez nerwów – mruknął dowódca Legionu. – To zwykły samochód.

W perspektywie alei ukazał się wóz strażacki, który zjechał na bok i zniknął pośród drzew parku.

– Co to jest, do cholery? – czoło Mateusza przecięła głęboka bruzda. – Po co im wóz strażacki?

Ledwie wypowiedział te słowa, zza drzew wystrzelił mocny strumień, który opadł na dach dworu, by po chwili przesunąć się w stronę okien. Walocha pociągnął nosem. W jego oczach pojawiło się przerażenie.

– Ognia! – krzyknął z całych sił. – Strzelajcie do wozu strażackiego! Oni chcą nas spalić!
– Za późno, idioci! – Kądziela obserwował z mściwym uśmiechem błyskające ognikami wystrzałów okna dworu. – Nic już was nie uratuje.

– Podpalamy? – spytał kapral Greiner.

– Podpalcie dwór, a gdy już się dobrze rozpali, otwórzcie montownię i załadujcie bomby. Najpóźniej za pół godziny chcę opuścić to miejsce.

– Szkoda naukowców. – Kapral zerknął na dowódcę kątem oka.

– Ano szkoda. – Dowódca udał, że nie widzi jego spojrzenia.

Kapral Greiner przeszedł kilka kroków, stanął za drzewem i podniósł karabin ku górze. Wycelował w kamienny łuk nad jednym z okien poddasza i pociągnął za spust. Natychmiast pojawił się bladoniebieski płomień, który błyskawicznie rozpełzł się po ścianach, objął dach i po chwili dotarł do okiennych ram.

– Polej jeszcze na okna! – krzyknął Greiner w stronę wozu. – Dobrze! Teraz na dach! Doskonale! Pali się jak marzenie!

Kapitan Kądziela przyglądał się w milczeniu dziełu zniszczenia. Przez chwilę poczuł nawet coś w rodzaju litości, bowiem uwięzionych wewnątrz ludzi czekała straszna śmierć. Cóż jednak. Dał im szansę, lecz z niej nie skorzystali. Teraz jego podwładni wystrzelają ich po kolei podczas prób ucieczki z płonącej pułapki. Tyle może dla nich zrobić. Było nie było, walczyli dzielnie, jednak z drugiej strony... Te świny przez dwie godziny trzymały go w niepewności, czy zdoła na czas wydostać bomby. Gdyby nie wpadł na pomysł z podpaleniem dworu, pewnie trwaliby tam nadal. Zasłużyli na swój los.

Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatniej godziny spojrzął na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Za kolejny kwadrans otworzy montownię, załadunek zajmie również piętnaście minut. Jeszcze pół godziny dzieliło go od... Nagle zawahał się. Mimo że odzyskał bomby, to jednak błąd, który popełnił dziś rano, przyniósł nieobliczalne skutki. Wiedział już, że Rzeplici przekroczyli granicę, pewni, iż tajna broń Zakonu jest na wyciągnięcie ręki. To właśnie on, kapitan Kądziela, wywołał wojnę, która nigdy nie miała wybuchnąć. Nie! Nie wolno mu tak myśleć! Zaraz pozbędzie się świadków! Nikt nie udowodni mu...

Myśli jego przerwał nagle osobliwy dźwięk dochodzący zza ściany lasu, który otaczał folwark od południa. Nie bacząc na fakt, że staje się dobrym celem dla obrońców dworu, Kądziela wybiegł na środek świerkowej alejki i wskoczył na jedną z ławek. Obrócił wzrok na południe i zamarł w bezruchu. Ów dźwięk narastał, zbliżał się szybko, niepokojąco szybko. W ustach poczuł suchość. To niemożliwe...

– Na stanowiska! – wrzasnął ile sił w płucach. – Na stanowiska!

* * *

Gryzący dym wypełniał cały salon. Z każdej strony dobiegały okrzyki przerażenia. Walocha rozpaczliwe próbował zapanować nad sytuacją.

– Spokój! Spokój, do cholery! Dymitr, zabieraj naukowców! Mateusz! Pilnuj okien! Dwójkami do ogrodu! Zajmujcie stanowiska pod drzewami!

– Na pewno czekają tam na nas! – zawył histerycznie Otto. – Wystrzelają nas do nogi!

– Wolisz się tu usmażyć?! – Kuna popchnął Brandenburczyka ku oknu. – Wolę kulkę niż ten piekarnik!

Pierwsza para Prusów wyskoczyła przez okna, po chwili kolejna znalazła się na zewnątrz.

– Następni! – komenderował Walocha. Pomieszczenie opuściła już większość Bojów, gdy z pokoju przylegającego do salonu wybiegła nagle gromada krzyżackich naukowców i techników, którzy nie bacząc na próbujących zapanować nad nimi Prusów, rzucili się w stronę okien.

Z piętra zbiegli Kuna i Kostas, a za nimi sześciu Bojów z kompanii Jastrzębi.

– Poddasze już się pali! – krzyknął Kostas.

– To nic! – Walocha machnął niecierpliwe ręką. – Szybciej!

Ostatni Bojowie pospiesznie opuszczali salon.

– Mateuszu! – dowódca Legionu podbiegł do okna. – Poczekaj, aż wyjdziemy i zabierz ludzi!

– W porządku! Pospieszcie się tylko!

Gdzieś blisko uderzyła kula. Przemytnik przykucnął i mrużąc oczy, próbował dojrzeć coś w gęstniejącym dymie.

– Nic nie widać! – krzyknął któryś z Bojów. – Musimy uciekać! Te skurwysyny zaraz tu będą!

– W porządku! – wrzasnął Boryna. – Chyba nie ma już nikogo! Spieprzamy stąd!

Prusowie rzucili się do okien, wychodzących na ogród. Mateusz ruszył w ich ślady, gdy nagle usłyszał za sobą huk eksplozji. Ostatnim widokiem, jaki zarejestrował jego umysł, była ściana salonu zbliżająca się z oszałamiającą prędkością.

* * *

– Człowieku! Słyszysz mnie?! Ocknij się! – Mateusz poczuł, że ktoś podnosi jego głowę i otwiera przemocą usta. Do gardła spłynął piekący płyn. Boryna otworzył szeroko oczy i nabrał gwałtownie powietrza. Rozejrzał się nieprzytomnie na boki. Leżał na noszach w pobliżu klombów róż. Wokół widać było dziesiątki postaci ubranych w czarne kombinezony. Wszyscy uzbrojeni w pistolety automatyczne. Potrząsnął głową, niepewny czy to, co widzi, nie jest złudzeniem. Chciał się podnieść, ale w tej samej chwili poczuł dojmujący ból w prawym ramieniu. Spojrzał na rękę ze zdziwieniem. Była usztywniona i zabandażowana.

– Kamień z serca! Kamień z serca! Myślałem, że już się nie obudzisz! – Przed nim nagle pojawił się rozpromieniony Otto.

Mateusz spojrział na Brandenburczyka niezbyt przytomnie.

– To ty? – powiedział z trudem. – Co się stało? Gdzie ja jestem? Kim są ci ludzie?

– Już wszystko w porządku! Zobacz tylko! – Radosny entuzjazm Ottona był wręcz przytłaczający. – Przybyli nam z odsieczą! W ostatniej chwili! Tak jak w filmach! Szkoda, żeś tego nie widział! Dziesiątki śmigłowców!

– Wszystko się paliło, a potem był wybuch. – Mateusz zamrugał, wciąż jeszcze widział nieostro jak przez łyżę. – Jak się tu znalazłem?

– Wyniosłem cię z Kuna! Gdy usłyszeliśmy huk, Kuna wrócił po ciebie, no i ja z nim! Masz złamaną rękę, ale to głupstwo! Najważniejsze, że żyjesz!

Boryna oblizwał spierzchnięte wargi i skrzywił się natychmiast z obrzydzeniem.

– Coś mi dał do picia? Smakuje ohydnie.

– Najlepsze pod słońcem lekarstwo! – Niski komandos o krótko obciętych włosach i roześmianej twarzy przykucnął obok noszy. – To rosyjska wódka! Wszystkich stawia na nogi! Od razu wiedziałem, że poczujesz się lepiej. Chcesz jeszcze? – wyjął z kieszeni piersiówkę.

– Dziękuję. Już wystarczy.

– Pozwól, że się przedstawię. – Komandos ścisnął zdrową dłoń Mateusza. – Porucznik Walery Kwiatkowski, dowódca grupy specjalnej „Felix”. Miło poznać człowieka, który ocalił honor Rzeczypospolitej.

– Dajcie mi coś do picia, ale nie rosyjską wódkę.

– Tomciu! – Kwiatkowski przywołał jednego z komandosów. – Daj no bidonik! Naszemu bohaterowi chce się pić!

Przemytnik ujął manierkę i powąchał ostrożnie.

– Pij śmiało, to zwykła woda!

– Kręci mi się w głowie i dudni w uszach... – Nawet wysuszywszy manierkę, Mateusz nie poczuł się lepiej.

– To normalne. Przejdzie ci za jakiś czas.

– Co z ręką?

– Niegroźne złamanie. Miałeś wiele szczęścia przyjacielu.

– Boli...

– Zaraz coś ci damy.

Przemytnik uniósł głowę i rozejrzał się po parku. Zza różanych krzewów widać było ogarnięty płomieniami dwór. W pobliżu bramy, pod ogrodzeniem, siedziało kilkudziesięciu ludzi z rękoma założonymi na głowach.

– Poddali się?

– Pospolite ruszenie? Nie było z nimi większych problemów. Komturalni stawiali opór, ale poradziliśmy sobie z nimi.

– Pojawiliście się w ostatniej chwili...

– Jak na filmie! – Komandos roześmiał się głośno. – Podnieście go! – Skinął na swoich ludzi.

– Bomby! – Mateusz poruszył się niespokojnie. – Co z bombami?!

– Dobraliśmy się do nich – odparł Kwiatkowski. – Było z tym trochę problemów, ale daliśmy radę.

– Chcę je zobaczyć.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Jak to?

– Rozkazy z samej góry. – Dowódca grupy specjalnej wykonał w powietrzu nieokreślony ruch ręką. – Chodźmy lepiej zobaczyć, co porabiają twoi przyjaciele.

Dwóch żołnierzy podniosło nosze i ruszyło w stronę montowni. Po obu stronach alei, w parku i za ogrodzeniem, widać było dziesiątki komandosów, którzy przygotowywali stanowiska obronne. W oddali, na polach, stało kilka śmigłowców. Wynoszono z nich skrzynki z amunicją i wyposażeniem.

– Przygotowujecie się do obrony. – Mateusz zrozumiał nagle, że to jeszcze nie koniec koszmaru.

– W naszą stronę zmierza brygada krzyżacka – odparł Kwiatkowski, widząc jego zaniepokojenie. – Nie ma się jednak czym przejmować. Nasze lotnictwo zrobi z nimi porządek. Armia Rzeczypospolitej wkroczyła na teren protektoratu i zmierza w stronę Królewca. Za jakieś dwie, trzy godziny będą tu nasze wojska. Straszyli nas bombą atomową, ale Kanclerz i tak podjął decyzję o ataku. Mówię ci, ten człowiek ma nerwy ze stali!

– Jaką bombę? – zdziwił się Boryna. – Przecież one są tutaj!

– Podali przez radio, że gdzieś w Rzeczypospolitej jest bomba i że jeśli przekroczymy granicę, to ją zdetonują – odezwał się kroczący obok Otto.

Mateusz poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz.

– I mimo to Kanclerz zdecydował się was tu przysłać?

– Mówię ci, że ten facet ma jaja!

– A ta bomba? Co z nią?

– Nie ma żadnej bomby. – Kwiatkowski wzruszył ramionami. – Gdy przejęliście skład, Krzyżacy narobili ze strachu w gacie. Chcieli powstrzymać nas za wszelką cenę, ale nie z nami te gierki.

– Jeśli jednak jest gdzieś ukryta, ciągle mogą ją...

– Daj spokój. – Komandos machnął ręką. – Nie odważą się. Wiedzą, że mamy ich tajną broń w ręku i jakby co, to spuścimy im to gówno w sam środek Królewca. Już po wszystkim.

Chwilę później dotarli do końca alei. Dwór płonął jak pochodnia. Nikt nie próbował gasić ognia. Kilkudziesięciu komandosów wynosiło w pośpiechu wyposażenie montowni, ładując je na żubry. Jedna z ciężarówek ruszyła właśnie wolno spod budynku, przejechała przez dziedziniec i skierowała się w stronę bramy.

– Dokąd jedzie ten samochód? – Mateusz odprowadził wzrokiem ciężarówkę.

– A jak myślisz? – spytał Kwiatkowski z niegasnącym uśmiechem.

– Ewakuujecie montownię. – Przemutnik spróbował podnieść się z noszy, lecz przeszywający ból zatrzymał go na miejscu. – Czyżbyście mimo wszystko obawiali się, że Krzyżacy mogą dotrzeć tu przed naszą armią? – spytał z wysiłkiem.

– Powiedziałem ci już, że wszystko będzie dobrze. Tam są twoi przyjaciele. – Komandos wskazał na grupę ludzi siedzących na trawniku. – Zanieście go tam. Za kilka minut przyślę lekarza. Dostaniesz coś na tę rękę. Ja mam teraz pilną robótkę do wykonania.

Żołnierze położyli nosze na skraju trawnika i odeszli bez słowa.

– Mateusz? – Kostas, umorusany, ze śladami sady i łez na policzkach, patrzył na przemutnika jak na zjawę. – Ty tutaj? Mieli przecież zabrać cię do szpitala!

– Nie wyglądasz na umarlaka. Byliśmy przekonani, że jesteś już w Rzeczypospolitej. – Dymitr podniósł się z trawnika i pochylił nad rannym.

– Możecie mi wytłumaczyć, co tu się właściwie dzieje? Co to za historia z tym szpitalem?

– Kiedy zabrali cię z ogrodu, ten porucznik kazał przenieść cię do parku. Miałeś być przewieziony do szpitala. Potem, gdy zacząłeś się budzić, stwierdził, że nie jest z tobą aż tak źle i możesz tu zostać – wyjaśnił Otto z grymasem, który w założeniu miał być uspokajającą miną.

– Potrzebują miejsca w śmigłowcach – mruknął Kuna. – Coś mi się zdaje, że tu zanoszą się na nową bitwę.

– Kwiatkowski mówił coś o krzyżackiej brygadzie. – Mateusz powiódł zaniepokojonym wzrokiem po twarzach towarzyszy. – Czy to prawda?

Ci milczeli, nie kwapiąc się z odpowiedzią.

– Są już blisko – odezwał się wreszcie Dymitr. – Mogą tu być w każdej chwili.

– Co takiego? – Mateusz podniósł głowę. – Czy to znaczy, że mogą odzyskać bomby? Czy one tu jeszcze są? Nie wywieźli ich jeszcze?

– Leż spokojnie – powiedział surowo Walocha.

– Wywieźli je czy nie? Odpowiedzcie, do cholery!

– Komturialni bronili się jak lwy. – Prus westchnął ciężko. – Ci dranie wiedzieli, że nadciąga pomoc i bili się do ostatka. Dopiero kwadrans temu wasi dopadli ich w sadzie i wytłukli do nogi. Te świny za wszelką cenę chciały odwlec moment opanowania folwarku. Niestety, udało im się.

Mateusz położył głowę i przez chwilę leżał zupełnie cicho, patrząc gdzieś przed siebie.

– Co wydarzyło się we dworze? – odezwał się wreszcie. – Pamiętam tylko wybuch.

– Któryś z tych skurwieli wrzucił do środka granat – wyjaśnił Dymitr zadowolony, że Boryna przestał pytać o bomby. – Kuna i Otto wyciągnęli cię w ostatniej chwili.

– Dziękuję wam.

– Daj spokój. – Kuna machnął ręką. – Najważniejsze, że żyjesz.

– Leż spokojnie. – Dymitr poprawił koc okrywający Mateusza. – My już swoje zrobiliśmy. Teraz możemy tylko czekać.

Rozdział 21

Königsberg

22 maja 1957 roku

Grube ściany bunkra i kilka łokci ziemi tłumiły wszystkie odgłosy nalotu. Własne, niezależne zasilanie i system łączności z resztą kraju czyniły z bunkra najbezpieczniejsze z możliwych schronienie, gdy lotnictwo Rzeczypospolitej, od godziny atakowało wybrane obiekty w śródmieściu krzyżackiej stolicy. Siedziba Wielkiego Mistrza stała się celem pierwszego bombardowania, które zniszczyło również centralę telefoniczną i koszary miejskie. Kolejne fale bombowców pojawiały się w odstępach kilkunastominutowych, zrzucając swój ładunek na newralgiczne obiekty, szerząc panikę wśród ludności cywilnej.

W niewielkim pokoju, oddzielnym metalowymi drzwiami od reszty pomieszczeń schronu, panowała ponura cisza. Zawieszona nisko lampa skąpo oświetlała stół, przy którym pięciu spiskowców pochylało się nad mapą ziem Zakonu, słuchając w skupieniu relacji Wiktora von Ostena.

– Szósty i dziewiąty regiment odpiera zmasowany atak w rejonie Trenburga*, lecz wszystko wskazuje na to, że długo się nie utrzymają. Przed kwadransem otrzymaliśmy wiadomość, że Rzeplici przerwali pas umocnień pod Aris* i zmierzają w głąb kraju. Prawdopodobnie trzymamy wciąż linię Wisły, ale, niestety to nic pewnego. – Szef służb komturalnych podniósł głowę znad stołu i przetarł spocone czoło. – Z innych kierunków nie docierają, niestety, żadne wiadomości. Łączność została przerwana.

– Co z von Redowem? – Mistrz pominął milczeniem wiadomości o nadciągającej katastrofie na froncie. – Czy mamy kontakt? Czy był atakowany?

– Jak na razie jeszcze nie... – Wiktor von Osten zamilkł nagle. Sięgnął po papierosa, zapalił go i wypuszczając dym ku górze powiedział wolno: – Wszystko jednak wskazuje na to, że te świnię wysłały przeciwko niemu kilkaset bombowców.

* *niem.* Olecko

* *niem.* Orzysz

– Kilkaset? – zapytał cierpko Wilhelm Tellow. – Myślicie, że nasze lotnictwo poradzi sobie z nimi?

Jego pytanie zawisło w próżni. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że nieliczne myśliwce Zakonu nie stanowiły poważnego zagrożenia dla powietrznej armady Rzeplitów.

– Von Redow jest już pod Allensteinem – przerwał milczenie szef służb komturalnych. – Do celu pozostało mu zaledwie dwadzieścia staj, więc jeśli nasze myśliwce zdołają opóźnić nalot, powinien dotrzeć na miejsce...

– Za mało czasu! – W głosie Mistrza pojawiła się pierwsza nuta paniki. – Mamy za mało czasu!

– Von Redow zdąży – zapewnił go stanowczo Nowotny. – Najdalej za pół godziny dotrze do Novego Sadu, a wtedy Rzeplenci nie odważą się na bombardowanie. Zbyt duże ryzyko trafienia...

– Jesteś pewien, że ładunki są ciągle w ośrodku? – Von Elster zbył komtura niecierpliwym machnięciem ręki i nie odrywał badawczego spojrzenia od von Ostena.

Ten pokiwał głową i uśmiechnął się krzywo.

– Kapitan Kądziela, mimo wszystkich błędów, które popełnił, wykazał się na koniec prawdziwym męstwem. On i jego ludzie stawiają twardy opór Rzeplitom. Pilot samolotu zwiadowczego, który dotarł nad Novy Sad o godzinie trzynastej trzydzieści doniósł, że ciągle jeszcze trwa tam bitwa.

– To było dwadzieścia minut temu – parsknął Mistrz wściekle. – Co mogło wydarzyć się w tym czasie?

– Raczej niewiele. – Szef służb komturalnych zdecydowany był bronić swojej wersji wydarzeń, a w zasadzie honoru służb, którego Kądziela omal nie pogrzebał bezpowrotnie. – Być może moi ludzie ciągle jeszcze walczą...

– A jeśli nie? – odezwał się milczący do tej pory Libel. – Co jeśli już ulegli?

– Otwarcie montowni i załadunek bomb zajmie sporo czasu – odparł z wahaniem von Osten. – Według moich obliczeń, Rzeplenci nie będą w stanie uporać się z tym wcześniej, niż za jakieś...

– Detonujmy bombę w Megapolis. – Głos Wilhelma Tellowa zabrzmiał cicho, lecz nawet wystrzał nie zrobiłby większego wrażenia. Wszystkie spojrzenia natychmiast skierowały się ku niemu. Nikt się nie odezwał.

W tej krępującej ciszy słowa komtura zabrzmiały jeszcze donośniej:

– Gruber to człowiek oddany naszej sprawie. Jestem pewien, że nie zawaha się odpalić ładunku. Zrobi to. Jestem pewien, że to zrobi. Jeśli bomba atomowa zniszczy Megapolis, marsz wojsk Rzeczypospolitej zostanie powstrzymany. Moim zdaniem, to nasza jedyna szansa.

– Von Redow za chwilę dotrze do Novego Sadu... – zaczął von Osten.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?! – Tellow nie dał mu dokończyć. – Przysłuchiwałem się temu, co wszyscy mówicie i powiem wam, że słyszałem słowa ludzi, którzy starają się przekonać samych siebie, że jeszcze żyją! Na czym opieracie te swoje chore wyliczenia?! „Być może moi ludzie jeszcze walczą”, „być może Rzeplici nie wywieźli bomb!”. To brednie! Nie macie pojęcia, co się dzieje! Nawet jeśli von Redow dotrze na miejsce, to skąd wiecie, jak wielkie siły zajęły ośrodek?! Może jest ich więcej niż naszych żołnierzy?! Może von Redow nie zdoła odbić montowni? Co wtedy?

– Jak zwykle panikujesz. – Szef służb komturalnych postanowił zdyskredytować komtura. – Nie potrafisz zdobyć się na optymizm...

– Owszem! – Tellow uderzył otwartymi dłońmi w blat stołu. – Jestem ostrożny i wcale się tego nie wstydzę. Przypomnę ci, że byłem przeciwny radykalnej koncepcji użycia broni atomowej. Proponowałem inne rozwiązania, lecz wyśmialiście mnie. I cóż? Czy mimo swoich zapewnień o determinacji w dążeniu do celu, wykazaliście się stanowczością? Otrzymaliście wiarygodne dane, które wskazywały, że Rzeplici wiedzą o naszym ośrodku. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że w takiej sytuacji należało wydać rozkaz o detonacji ładunku. Do tego przygotowywaliśmy się przez długich pięć lat. Dlaczego tego nie zrobiliście? Czy możecie to wytłumaczyć?

– Nie mogłem podjąć takiej decyzji pochopnie... – Mistrz zamilkł w pół słowa i opuścił głowę.

– Po co więc w ogóle wysłaliśmy Grubera? – Libel opowiedział się po stronie elckiego komtura. – Jaki był tego sens, skoro w decydującym momencie zawahałeś się wydać stosowny rozkaz? A może to wszystko od samego początku było tylko oparte na złudnym przeświadczeniu, że nasz wróg...

– Dość filozoficznych dywagacji! – warknął Tellow. – Dochodzi druga! Za piętnaście minut nad Megapolis może pojawić się atomowy grzyb! Decyzję należy podjąć teraz albo nigdy! Konrad, decyduj do cholery!

Mistrz pobladał nagle.

– Nie słuchaj go! – wycedził przez zęby szef służb komturalnych. – Jeśli odzyskamy bomby, Chmielnicki natychmiast wycofa wojska!

– Uderzył mimo groźby detonacji! – krzyknął Tellow. – Pokażmy mu, że się mylił! Tylko w ten sposób go powstrzymamy! Czy ty nie rozumiesz, że jego decyzja o podjęciu ataku oparta jest na wielkim, bardzo wielkim ryzyku? On nie wie, ile bomb rozmieściliśmy w Rzeczypospolitej! Jeśli oznajmimy, że detonujemy kolejną za dwie, trzy godziny, ustąpi na pewno!

Konrad von Elster spojrział najpierw na komtura, potem na szefa służb komturalnych. Wbił wzrok w mapę i patrzył na nią, jakby tam spodziewał się znaleźć rozwiązanie dręczących go wątpliwości.

– Detonacja bomby w Megapolis w obecnej chwili nie wchodzi w rachubę – powiedział wreszcie. – To pociągnie za sobą nieobliczalne konsekwencje. Kiedy odzyskamy montownię, odzyskamy również inicjatywę. Chmielnicki pojmie szybko, jak wielki popełnił błąd. Cały swój plan oparł na przeświadczeniu, że nie uderzymy, nie mając kontroli nad resztą ładunków. Gdy je odzyskamy, wycofa wojska. Nie może postąpić inaczej.

– Ty pragniesz uwierzyć, że on tak właśnie myśli. – Tellow opuścił bezsilnie ręce. Już nie podnosił głosu. – Wcale nie byliśmy przygotowani na użycie tej broni. Właściwie nie wiem, po co ją zbudowaliśmy.

– Skąd to wszystko możesz wiedzieć? – Wiktor von Osten spojrzał na niego wrogo. – Być może popełniliśmy błąd, ale ciągle istnieje szansa, że ich powstrzymamy! Nie uprawiaj demagogii! Chmielnicki nie ma takiej władzy, aby w obliczu zagrożenia państwa kontynuować atak! Nie odważy się przekroczyć swoich kompetencji!

– Dobrze więc. – Głos Wilhelma Tellowa zabrzmiał podejrzanie spokojnie. – Za pół godziny będziemy wiedzieć wszystko.

Rozdział 22

Allenstein

22 maja 1957 roku

Zbliżała się druga po południu, gdy długi na dwa staje sznur wojskowych ciężarówek minął przedmieścia i wjechał na opustoszałą autostradę C-6. Ruch samochodów osobowych na odcinku Allenstein-Ortelsburg wstrzymany został już pół godziny temu. Zaraz za fabryką konsorcjum OSO, wojskowa kolumna rozlała się po całej szerokości obwodnicy. Kilka radiowozów policji krzyżackiej, prowadzących czoło kawalkady, z rykiem syren pomknęło w stronę Passenheim*, gdzie Szóstka łączyła się autostradą D-5 wiodącą do Torunia. Czwarta brygada „Allenstein” nie mogła napotkać na swojej drodze żadnej przeszkody. Liczyła się każda minuta.

Brygadier Thomas von Redow obserwował ze swojego łazika mijane podmiejskie osiedla, przesuwane się z obu stron autostrady. Nie potrafił opanować narastającego rozdrażnienia. Jego myśli nieodmiennie powracały do wydarzeń sprzed dwóch tygodni, do zagubionej pośród lasów pruskiej wioski. Kilkudziesięciu bandytów, którzy wymknęli się z zastawionej przez niego pułapki, pozbawiło Zakon tarczy chroniącej przed zemstą potężnego ciemżyciela. Czy to on właśnie zawinił? Zrobił przecież wszystko jak należy, lecz los spletał okrutnego figła.

Brygadier zacisnął usta. Dano mu szansę, by naprawił swój błąd. I naprawi go. Jeśli tylko zdoła dotrzeć na miejsce, jego żołnierze rozniosą na strzępy garstkę Rzeplitów, którzy wylądowali w majątku. Był tego pewien. Musi jednak dotrzeć na miejsce...

Spojrzał niespokojnie w niebo. Deszczowe chmury, które jeszcze nad ranem wisiały nad miastem, zniknęły bez śladu. Widok czystego błękitu był ostatnią rzeczą, której Thomas von Redow by sobie życzył. Niemalże już słyszał warkot nadlatujących samolotów. Z niepokojem spoglądał na południe. Gdzieś tam czekały na wroga najlepsze myśliwce, jakimi dysponował Zakon. Czy zdołają jednak powstrzymać powietrzną flotę Rzeplitów?

* *niem. Pasy*

– Klaus! – Trącił w plecy kierowcę. – Gaz do dechy! Za dziesięć minut musimy być w Passenheim!

Rozdział 23

Rzeczpospolita – północne Mazowsze
22 maja 1957 roku

Major Menahem Hildebrandt, dowódca czwartej Jagdgruppe*, poprawił uwierającą go maskę tlenową i omiótł uważnym spojrzeniem niebo. Trzon sił powietrznych Zakonu, osiemdziesiąt odrzutowych myśliwców typu „Trzmiel” ustawionych w schody, sunął na południe. Pod nimi leżała Rzeczpospolita. Mimo że dowódca Luftflotte upierał się, aby nie naruszać przestrzeni powietrznej wielkiego sąsiada, Hildebrandt zdołał przekonać go do swojej koncepcji uprzedzającego ataku. Uważał, że patrolowanie granicy nie ma najmniejszego sensu. Wróg z całą pewnością pojawi się w wielkiej liczbie i tylko całkowite zaskoczenie mogło nieco zniwelować olbrzymią przewagę lotnictwa Rzeczypospolitej. Jak do tej pory jego plan sprawdzał się doskonale. Zadufani w sobie Rzeplici nie brali nawet pod uwagę możliwości, iż Zakon odważy się na atak. Trzmiel czwartej Jagdgruppe przemknęły nie niepokozone w okolice Nidzicy, gdzie trafili na parę samotnych jastrzębi – przestarzałych samolotów o napędzie tłokowym, które patrolowały wyznaczony sektor. Rzeplici byli tak zaskoczeni ich obecnością, że nie oddali nawet jednego strzału. Na wspomnienie niedawnego zwycięstwa major uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego piloci wykazali się prawdziwym mistrzostwem. Był pewien, że poradzą sobie z powietrzną hordą, zbliżającą się do granic Zakonu. Zaraz jednak skupił się na obserwacji okolicy. W dole pojawiły się pierwsze zabudowania Mławy. Major oderwał wzrok od ziemi i spojrzał w błękitny przestwór nieba.

Na widok wielu czarnych kropek, które pojawiły się daleko na południu, poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Czarne punkty szybko przeistoczyły się w bombowce typu „Sum”. Było ich wiele, bardzo wiele. Znacznie więcej niż się spodziewał. Major uznał, że dalsze zachowywanie ciszy radiowej nie ma już sensu. Wcisnął przycisk uruchamiający radio i krzyknął:

– Do wszystkich! Zaczynamy!

* niem. grupa myśliwska

Ujął dźwignię gazu i przesunął ją do oporu. Podwieszono pod skrzydłami silniki trzmiela zawyły basowo. Major skupił wzrok na widocznych już dobrze bombowcach wroga. Jego plan był prosty. Zamierzał rozproszyć wielkie ugrupowanie jednym, zdecydowanym atakiem. Wiedział, że od tego, czy mu się powiedzie, zależy los Zakonu. Bombowce rosły w oczach.

Widział już dobrze ich oszklone nosy, w których czaili się groźni strzelcy pokładowi. Zerknął szybko ku górze. Zgodnie z jego przewidywaniami myśliwce osłony jeszcze nie zareagowały. Piloci zastanawiali się pewnie, kim są intruzi. Major uśmiechnął się z satysfakcją. I tu jego plan zadziałał. Tylko symbole narodowe odróżniały trzmielę Luftflotte od tych należących do sił powietrznych Rzeczypospolitej. W walce myśliwca z myśliwcem było to dużym utrudnieniem, lecz piloci Hildebrandta otrzymali kategoryczny zakaz wikłania się w powietrze pojedynki. Ich zadanie polegało na unicestwieniu bombowców. To Rzeplici zmuszeni będą do pospiesznej, a więc niedokładnej, weryfikacji celów.

Major przesunął rękę ku przyciskowi zwalniamu rakiety. Złowił w siatkę celownika czołowy bombowiec formacji i uwolnił pociski. Cztery ogniste smugi pomknęły w stronę wrogiej maszyny. Major nie widział rezultatów swojego ataku, bowiem jego myśliwiec znalazł się już poza formacją bombowców.

Zatoczył szeroki łuk i rozejrzał się na boki. Jego piloci powtarzali manewr dowódcy.

Major nakierował swojego trzmiela na lewe skrzydło formacji i z rykiem silnika pomknął do przodu. Teraz dopiero mógł ocenić efekt pierwszego ataku. Było dobrze, nawet bardzo dobrze. Kilkanaście sumów wypadło z szyku, opadając ku ziemi, po kilkunastu innych pozostały tylko kule ognia. Kompletnie zaskoczenie!

Major przesunął dźwignię gazu. Gdy jego trzmiel znalazł się już blisko bombowców, strzelcy pokładowi przywitali go lawiną ognia. Sumy, wyposażone w działka i karabiny maszynowe, posiadały potężną siłę rażenia. Major kątem oka dostrzegł z prawej strony rozbłysk eksplozji. Któremuś z jego pilotów się nie poszczęściło. Zaciśnął usta i skupił wzrok na bombowcach. Wziął na cel dymiącego Suma i wystrzelił trzy krótkie serie. Bombowiec stanął w płomieniach. Prawe skrzydło oderwało się od kadłuba. Samolot zachwiał się i runął ku ziemi. Major błyskawicznie wyrównał lot i nacisnął spust działka. Kolejny sum zadymił. Chwilę później był już poza formacją. Zataczał właśnie kolejny łuk, gdy dostrzegł nagle, jak trzy krzyżackie trzmielie eksplodowały trafione raketami. Major omiółt szybkim spojrzeniem niebo. Myśliwce osłony ocknęły się wreszcie. Podobne do rozjuszonych os ruszyły do ataku. Eksplodował kolejny myśliwiec. Rakiety nadlatywały ze wszystkich stron. Major dostrzegł jedną z nich zmierzającą w jego kierunku.

Położył samolot w ciasny wiraż, nie spuszczając wzroku z rakiety. Przeszła bokiem. Odetchnął z ulgą. Niewiele brakowało. Wyrównał lot i szukał już kolejnego celu, gdy dostrzegł nagle nową formację zbliżającą się z zachodu. Widok ten wprawił go w osłupienie. Druga formacja? Kilkadziesiąt czterosilnikowych bombowców „Tur” sunęło wprost na niego. Nad nimi wisiała chmara myśliwców, które uprzedzone o zasadzce zgotowanej przez

Luftflotte, wyprzedziły bombowce i ruszyły do ataku. Major szybko ocenił sytuację. W porównaniu z sumami, tury stanowiły po stokroć większe zagrożenie. Każdy z nich niósł bomby o masie trzech łąszków. Jeśli choć kilka z nich dotrze nad obszar Zakonu, powstanie zakończy się klęską!

Major natychmiast zapomniał o sumach. Cała jego uwaga skupiła się na czterosilnikowych olbrzymach. Zamierzał właśnie wydać swoim pilotom rozkaz zaatakowania formacji turów, gdy dostrzegł ze zdziwieniem, że wszystkie ocalałe myśliwce Zakonu wykonały nawrót, kierując się w stronę nowego przeciwnika. Miał naprawdę wspaniałych pilotów! Myśliwce robiły karkołomne uniki, próbując uniknąć rakiet wystrzelonych przez trzemie Rzeplitów.

Major Hildebrandt w jednej chwili zrozumiał, że to atak niemal samobójczy. Jego piloci nie mieli żadnych szans, aby wyjść z tego cało. Uśmiechnął się gorzko. Cóż znaczy życie osiemdziesięciu pilotów! Poświęci życie ich i własne, aby ratować swój kraj. Popchnął dźwignię gazu do oporu. Jego trzmiel osiągnął maksymalną prędkość dziewięciuset staj na godzinę. Hildebrandt nie widział już nic prócz wielkiego bombowca, który pojawił się w siatce celownika. W chwili, gdy nacisnął spust, coś uderzyło w kadłub jego myśliwca. W kabinie pojawił się ogień. W ostatnim przeblysku świadomości zacisnął dłonie na sterach. Gdy dostrzegł błyszczące w słońcu dyski śmigieł tura, zamknął oczy. Trzmiel oznaczony zieloną jedyką wbił się w kadłub bombowca, znikając w jego wnętrzu. Błysk eksplozji rozjaśnił niebo. Szczątki tura uszkodziły dwa sąsiednie samoloty, które natychmiast wypadły z formacji i ciągnąc za sobą czarne warkocze dymu, zawróciły na zachód.

Pozostałe myśliwce Zakonu wystrzeliły ostatnie rakiety i próbując wymknąć się ścigającym ich Rzeplitom, przystąpiły do kolejnego, ostatniego już ataku. Zaledwie kilka z nich dotarło do formacji bombowców. Trzy tury runęły w płomieniach ku ziemi. Ostatni bombowiec zniszczony został przez porucznika Albrechta Büchera, który poszedł w ślady swojego dowódcy. Jego samolot trafiony serią z działka zdążył jeszcze uderzyć w skrzydło tura.

Powietrzna armada, uszczuplona o sześćdziesiąt bombowców, zwarła szyk i obrała kurs na północ.

Rozdział 24

Zakon Krzyżacki – Passenheim

22 maja 1957 roku

Pierwsza fala bombowców pojawiła się kilka minut po drugiej. Nadlatywały z południa, otoczone przez rój myśliwców. Brygadier Thomas von Redow dostrzegł je dokładnie w tej samej chwili, w której od strony pobliskiego miasteczka dobiegł jęk syren.

– Na pobocze! – krzyknął do kierowcy. Szeregowiec nacisnął gwałtownie hamulec. Łazik zjechał z wąskiej, biegnącej zakosami drogi powiatowej i zatrzymał się przed gospodą, położoną na skraju wsi Trommler. Coraz więcej ludzi wychodziło na zewnątrz zwabionych zawodzeniem syren. Z zadartymi głowami przyglądali się nadlatującym bombowcom.

– Uciekajcie! Uciekajcie, do cholery! – wrzasnął brygadier. – Do lasu! Biegnijcie do lasu!

– Co się dzieje, panie oficerze? – spytał gruby karczmarz.

– Zaraz zrzucą bomby! Biegnijcie do lasu!

Ton głosu i wykrzywiona twarz oficera przeraziły przygodnych obserwatorów bardziej niż zbliżające się samoloty – w panice rzucili się między zapewniające schronienie drzewa.

Von Redow nie poświęcił cywilom więcej uwagi, teraz musiał zadbać o swoich ludzi. Wychylił się do tyłu. Kilkadziesiąt żubrów opuściło już autostradę, lecz większość tkwiła tam nadal. Jednym susem wyskoczył z łazika, wbiegł na środek drogi i zatrzymał pierwszą ciężarówkę.

– Wysiadać! Do lasu! Biegiem!

Długi sznur pojazdów zamarł. Żołnierze, posłuszni rozkazowi, opuszczali w pośpiechu ciężarówki i natychmiast znikali w pobliskim lesie.

Brygadier wrócił do łazika.

– Z powrotem! – rzucił szybko.

Kierowca zawrócił samochód i, omijając porzucone wozy, ruszył na północ. Minutę później dotarli na autostradę. Dobiegający z pobliskiego ratusza jęk syreny mieszał się z dźwiękiem klaksonów. Prerażeni kierowcy próbowali opuścić śmiertelną pułapkę, w jaką zamieniała się obwodnica. Kilka ciężarówek zjechało na łąki i utknęło tam na dobre, inne

uciekały na zachód. Większość jednak wybrała zjazd prowadzący do centrum Passenheim. Brygadier zaklął siarczyście. Nikt już nie panował nad sytuacją! Z gromady żubrów wyłonił się łaźnik pułkownika Kamińskiego. Pułkownik zahamował gwałtownie.

– Co tu robisz?! Gdzie są twoje oddziały?! – krzyknął von Redow.

– Nie wiem, do cholery! – Kamiński zerknął ku górze, gdzie pojawiło się nagle kilkanaście myśliwców Zakonu zmierzających w stronę formacji bombowców.

Brygadier odprowadził je ponurym wzrokiem. Cóż mogło uczynić tych kilka samolotów wobec takiej potęgi! Gdzieś niedaleko wybuchła pierwsza bomba.

– Thomas! Uciekajmy! Może jeszcze się uda! – krzyknął Kamiński.

Thomas von Redow nie zdążył odpowiedzieć. Kolejna seria bomb eksplodowała tuż za jego plecami. Na autostradzie rozpętało się piekło. Bombowce, pułk za pułkiem, zrzucały swój śmiertelny ładunek. Chwilę później pojawiły się tury. Sześćdziesiąt czterosiłnikowych bombowców leciało nad Passenheim. Kwadrans po drugiej pierwsze bomby uderzyły w bezbronne miasto.

Rozdział 25

Zakon Krzyżacki – Ortelsburg

23 maja 1957 roku

Kolumna transporterów sunęła ulicami opustoszałego miasta. Zamknięte na glucho okiennice świadczyły, że mieszkańcy Ortelsburga nie zamierzali stawiać oporu nadchodzącym Rzeplitom. Wieść o zniszczeniu Passenheim obiegła już cały kraj. Pospolite ruszenie, które jeszcze wczorajszego wieczoru budowało barykady, dzisiaj kryło się po domach. Bojowe nastroje zastąpiły panika i groza. Straszliwa rzeź, jakiej dopuścili się Rzepiki, pozbawiła mieszczan ducha walki.

Transportery przejechały przez przemysłową dzielnicę i zatrzymały się pod murami więzienia. Kilkudziesięciu komandosów natychmiast ustawilo się z karabinami wycelowanymi w bramę więzienia. Ci ze strażników więziennych, którzy śledzili przejazd kolumny z wieżyczek wartowniczych, szybko opuścili swoje stanowiska. Na placu przed więzieniem zapadła cisza.

Czterech ludzi wolnym krokiem zbliżyło się do bramy. Walocha, trzymając w jednej ręce karabin, drugą uderzył w metalową furtę. Cofnął się o krok i zerknął w górę. Na jednej z wieżyczek pojawił się na chwilę strażnik, lecz zaraz skrył się za murem.

– Otwierać! – krzyknął porucznik Kwiatkowski. – Otwierać, do cholery!

– Myślicie, że będą stawiać opór? – spytał niespokojnie Kostas.

– Niech tylko spróbują. – Kwiatkowski spojrzał wymownie na transportery. – Urządzą tym śmierdzielom taki bał, że długo go będą go pamiętać.

– Może lepiej poczekać na resztę twoich ludzi? – Mateusz, z ręką na temblaku, rozglądał się z uwagą. – Jeśli przyjdzie do bitwy, możemy nie dać im rady. Te mury wyglądają bardzo solidne.

– Daj spokój. – Komandos machnął niecierpliwie ręką. – Nie będzie żadnej bitwy. Nie zamierzam się z nimi cackać.

W tej samej chwili zgrzytnęła zasuwą bramy. W wąskiej szczelinie ukazała się wystraszona, pobladła twarz.

– Kim jesteście? – Ubrany w granatowy mundur człowiek spoglądał na nich wystraszonym wzrokiem.

– A ty? – huknął Kwiatkowski marszcząc groźnie brwi. – Coś za jeden?

– Jestem komendantem więzienia...

– W takim razie z tobą właśnie zamierzam pogadać. – Porucznik skierował lufę karabinu w pierś Krzyżaka. – W imieniu Rzeczypospolitej zajmuję to więzienie. Otwieraj bramę. W przeciwnym razie zostaniesz uznany za współnika waszego byłego Mistrza.

Komendant oblizał wyschnięte nagle wargi.

– Nie otrzymałem rozkazu...

– Nie otrzymałeś rozkazu? – Głos Kwiatkowskiego stał się niepokojąco słodki. – W takim razie ja ci go wydam! Otwieraj bramę, idioto! Teraz Rzeczpospolita tu rządzi!

– Tak jest! – Krzyżak wyprężył się jak struna. – Już otwieram!

– Z nimi tak właśnie trzeba! – Rzeplita uśmiechnął się szeroko. – Jak nie hukniesz, nic nie zrozumiemy. Wchodzimy!

Pewnym krokiem wkroczył na dziedziniec więzienia.

– Gdzie trzymacie Prusów? – spytał ostro komendanta, który, trzymając w ręku czapkę, spoglądał na komandosa wyraźnie zdenerwowany.

– Są we wschodnim skrzydle, panie...

– Nazywam się Kwiatkowski, a ty?

– Zygfryd Senger, panie poruczniku – odparł szybko komendant.

– W porządku Senger. Zrobimy tak. Za chwilę pojawią się tu moi ludzie. Pójdą razem z tymi tutaj do wschodniego skrzydła i uwolnią wszystkich Bojów, których tu przetrzymujecie. Ty też pójdziesz z nimi i przypilnujesz, żeby nikt ze strażników nie czynił im przeszkody. Zrozumiałeś mnie dobrze?

– Tak, oczywiście – Senger przytaknął skwapliwie. – Kazałem dobrze ich traktować...

– Wynoś się! – Kwiatkowski odprawił go pełnym zniecierpliwienia gestem. – No to sprawa załatwiona Idźcie i uwolnijcie swoich.

– Chciałem podziękować ci... – zaczął Walocha.

– Nie ma o czym mówić. – Komandos poklepał olbrzyma po plecach. – Zasłużyliście na to. Poczekam tu na was, a potem ruszymy pod ratusz. Regunis! Ty dupo wołowa! – wrzasnął pod adresem kierowcy, który wjeżdżał właśnie na dziedziniec. – Gdzie jedziesz, bałwanie?! Zaraz przypieprzysz w mur! Niech cię szlag!

Prusowie obserwowali porucznika, który, wymachując rękoma jak wiatrak, biegł w stronę transportera.

– Ten człowiek to prawdziwy wariat. – Mateusz pokręcił głową z niedowierzaniem

– Najważniejsze, że jest z nami. – Walocha spojrzął na dziesięciu swoich, tych, którzy wyszli cało z bitwy o majątek. – Każdy wie, co ma robić?

Bojowie przytaknęli zgodnie.

– Ruszamy.

Zatrzymali się dopiero w budynku pośrodku korytarza na wprost gromady strażników, którzy spoglądali na nich ponuro. Walocha wystąpił krok naprzód.

– Proszę nakazać swoim ludziom otwarcie cel. Komendant odwrócił się do strażników.

– Otwierać! Szybko!

Chwilę później radosne okrzyki wypełniły korytarz.

– Chodźmy do Witolda! – Kostas pociągnął za rękaw dowódcę Legionu. – Chcę go wreszcie zobaczyć!

– Gdzie przetrzymujecie Witolda Kaunigasa? – Walocha spojrzął na komendanta.

– Cela numer dwadzieścia.

– Prowadź!

– Tak, oczywiście. – Senger, trzymając w ręku pęk kluczy, wszedł na schody prowadzące na piętro. – Za mną proszę.

Po minucie komendant otworzył metalowe drzwi i szybko cofnął się do tyłu. Kostas wpadł do celi jak burza.

– Bracie kochany! To ja! – Dopadł Witolda, który, siedząc na pryczy, spoglądał zdumionym wzrokiem na niezwykłych gości.

– Skąd wy tutaj... – Witold ucałował brata. – Jak to możliwe... Nie mogę w to uwierzyć...

– Witaj, Witoldzie. – Walocha objął go serdecznie. – To naprawdę wielka radość znów cię widzieć.

– Mateuszu. – Kaunigas uściskał przemytnika. – Witaj, przyjacielu.

– Witaj, stary druhu. Przyznaj, że nie spodziewałeś się nas prędko zobaczyć?

– Jaki to cud sprawił, żeście się tu znaleźli? – Witold, obejmując ramieniem Kostasa, spoglądał roziskrzonym wzrokiem na Walochę.

– Długo opowiadać. Dowiesz się wszystkiego po drodze.

– Czy to znaczy, że jestem wolny?

– Nie tylko ty! Uwolniliśmy wszystkich! – krzyknął Kostas. – Krzyżacy pokonani! Zdobyliśmy bomby!

– O czym on mówi? – spytał niepewnie Witold.

– Wydarzyło się naprawdę wiele ważnych rzeczy. – Walocha uśmiechnął się lekko. – Ale najważniejsze jeszcze przed nami. Zabieramy cię z tego chlewu. Czas ruszać na ratusz.

* * *

Na rynku w Ortelsburgu panowała kompletna cisza. Wszystko zamarło w bezruchu. Wyloty Kirchstrasse i Bischofstrasse zamykały pobudowane z worków z piaskiem barykady. Pośrodku placu, na wprost pomnika Ulryka von Jungingena, stała porzucona armata przeciwlotnicza. Z okien ratusza zwisały białe flagi.

Dochodziła trzecia po południu, gdy od strony Stellmahrestrasse* nadjechały transportery czwartego pułku pancernego „Poznań”, które porucznik Kwiatkowski wypożyczył na dwa dni od zaprzyjaźnionego oficera. Maszyny wjechały na rynek. Za nimi pojawiła się długa kolumna Prusów, którzy natychmiast ruszyli w stronę ratusza. Stanęli przed budynkiem w równym szeregu, oczekując głowy klanu. Chwilę później podjechał zarekwirowany komendantowi więzienia Toor 540. Ze środka wysiedli Witold i Kostas.

– Walocho! – Starszy Kaunigas skinął na stojącego wśród Bojów dowódcę Legionu. – Wchodzimy!

Kilkunastu Prusów ruszyło w stronę wejścia. Jeden z nich pchnął drzwi, reszta wbiegła do środka.

– Droga wolna! – rozległ się okrzyk.

Witold przekroczył próg i skierował się na piętro, prosto do gabinetu burmistrza.

Pokój, tak jak i korytarze ratusza, był pusty.

– Uciekli dranie – powiedział z satysfakcją Kostas. – Zwyciężyliśmy! Naprawdę zwyciężyliśmy!

Witold usiadł za biurkiem i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Działają – odetchnął z ulgą. – Walocho!

– Jestem. – Dowódca Legionu pojawił się w gabinecie.

– Wyślesz Wulkasa do Rhein*. Trzeba jak najszybciej uwolnić Zambrowicza i resztę ludzi. Kolejna sprawa to broń dla legionistów. Czy rozmawiałeś o tym z Rzeplitami?

– Trudna sprawa. – Dowódca Legionu pokręcił głową. – Trzeba zorganizować coś na miejscu.

– Zostawiam to na twojej głowie. Za kilka godzin chcę mieć wszystkich pod bronią.

– Oczywiście.

– Do północy miasto musi być już w naszych rękach. Zorganizujesz patrole i obsadzisz posterunki policji. Na rogatekach chcę mieć barykady. Czy przekonasz tego porucznika, żeby został z nami do jutra?

– Myślę, że nie będzie z tym problemu.

– Do roboty. – Witold odprawił Walochę ruchem ręki. Gdy ten wyszedł z gabinetu, sięgnął po słuchawkę telefonu. Wybrał szybko numer.

– Witaj, Antas, Witold z tej strony. Tak, jestem już na wolności. Posłuchaj mnie uważnie. Wydarzyło się coś bardzo ważnego. Opanowaliśmy Ortelsburg. Tak, całe miasto. Powiadom wszystkich, żeby zebrali ludzi i ruszyli nam na pomoc. Nie ma chwili do stracenia... Po co? Po wolne Prusy, Antas. Nie, nie przesłyszałeś się. Rzeplici mają wobec nas dług wdzięczności. Tak, wytłumaczę ci wszystko na miejscu. Ruszajcie bez chwili zwłoki. Musimy ubiec knechtów.

* niem. ulica Kołodziejów

* niem. Ryn

Rozdział 26

Königsberg

23 maja 1957 roku

Główny port wojenny Ostseeflotte opustoszał. Niemal wszystkie okręty opuściły już Bałtyk, kierując się na Morze Północne. Na miejscu pozostało tylko kilka kutrów obrony wybrzeża, zbyt powolnych i słabo uzbrojonych, by przemknąć przez blokadę okrętów Rzeczypospolitej. Przy wschodnim nabrzeżu sterczały z wody maszty niszczyciela „Bartenstein”*, którego załoga zbyt późno dostrzegła zbliżające się samoloty. Nad rumowiskiem, które do wczoraj było kapitanatem portu, ciągle jeszcze unosiły się kłęby dymów. Nalot wyrządził wielkie szkody. Zginęło osiemdziesięciu marynarzy, niemal dwa razy tyle było rannych. Dowódca floty, kontradmirał Aleksander Book, nie zwlekał z rozkazem złożenia broni. Kilkudziesięciu saperów zakładało jeszcze ładunki wybuchowe w magazynach. Rzeplici mieli przejąć port niezdatny do użytku.

Okolo godziny trzeciej po południu na puste nabrzeże wjechały dwa nieoznakowane kobyzy. Z pierwszego samochodu wysiadło kilku komturalnych, którzy natychmiast ruszyli w stronę okrętu podwodnego cumującego w pobliżu zatopionego niszczyciela. „Herman von Salza” oczekiwał na swoich ostatnich pasażerów. Pięciu mężczyzn z drugiego wozu ponuro spoglądało na ruiny kapitanatu.

– Rozpieprzyli, dranie, wszystko w drobny mak. – W głosie Nowotnego drgała wściekłość. – Przekłęci barbarzyńcy!

– Przyjdzie jeszcze czas, że zapłacą nam za to – zapewnił go Libel.

– Uciekamy jak szczury z tonącego okrętu. – Konrad von Elster, błąd i osowiały, spoglądał tępy wzrokiem na wystające z wody maszty niszczyciela. – Zostawiamy kraj na pastwę Rzeplitów...

Reszta spiskowców opuściła w milczeniu głowy.

– Będziemy kontynuować walkę. – Libel wciąż był pełen wiary. I nienawiści. – Nie wolno nam popadać w rozpacz.

* *niem.* Bartoszyce

– Powinniśmy tu zostać i zginąć z honorem. – Mistrz westchnął ciężko. – Jak Toor. Nie uciekł, lecz został. Do końca nie wyparł się naszej sprawy. Zginął jak bohater.

– Pospieszmy się – ponaglił Tellow. – Jeśli odetną nam drogę na zachód...

– Zamknij się, do cholery! – warknął Libel. – Czy choć w takiej chwili nie mógłbyś zachować się jak człowiek?

– O co ci chodzi? – spytał ze złością komtur. – Gadacie tu o jakichś wzniosłych rzeczach, a Rzeplici lada moment mogą przysłać bombowce. Zamiast się mazgać, wsiądźmy na ten cholerny okręt! Myślicie, że mnie jest lekko? Nie, wcale nie jest! Podjęliśmy jednak decyzję, że odpływamy i koniec! Nie czas na rzewne pogadanki!

– Willi ma rację. – Von Osten skinął na oczekujących komturalnych. – Zabierajcie bagaże!

Żołnierze bez słowa sięgnęli po walizki. Pięciu Krzyżaków ruszyło w milczeniu za nimi.

Rozdział 27

Zakon Krzyżacki

24 maja 1957 roku

Komtur malborski Franc Minimus odsunął talerz z resztką niedojedzonej zupy. Złożył naczynia na tacy i spojrzał w stronę drzwi. Jego opiekun, apatyczny sierżant służb komturalnych, pojawił się jak zwykle chwilę później. Zabrał tacę i bez słowa opuścił pokój.

– Dziękuję, jedzenie było podle – powiedział głośno komtur.

Miał nadzieję, że usłyszeli. Wiedział, że był obserwowany. Nawet nie starali się tego przed nim ukrywać. Pokój, w którym go więziono, został na pewno odpowiednio do tego przygotowany. Nie tylko pokój zresztą. Gdy wyprowadzano go na krótkie, pięciominutowe spacerki, zauważył, że obsada leśniczówki, w której był przetrzymywany, liczyła co najmniej dziesięciu ludzi. Tylu widział, jednak mogło być ich więcej. Wszyscy, co do jednego, zachowywali się powściągliwie. Mimo że przebywał tutaj już od trzech tygodni, z żadnym nie udało mu się zamienić więcej niż kilka słów. Jego prześladowcy widać starannie wybrali strażników. Czego się obawiali? Że przeciągnie ich na swoją stronę? Albo że będzie próbował ucieczki? Nie miał nawet pojęcia, gdzie jest.

Przez jakiś czas żył nadzieją, że jego przyjaciele rozpoczną poszukiwania, lecz gdy minął tydzień, zrozumiał, że karmił się złudzeniami. Nikt nie próbował go odbić. Być może nawet nikt go nie szukał. Starał się przekonać sam siebie, że poszukiwania, z pewnością zakrojone na odpowiednią skalę, po prostu skończyły się fiaskiem. Jego więzienie było przecież świetnie ukryte. Jednak w głębi ducha wiedział, że najprawdopodobniej nie było komu szukać. Opozycja została rozbita. Ta myśl sprawiła, że niepokój, który tak bardzo starał się stłumić, powrócił ze zdwojoną mocą. Minimus nie miał bladego pojęcia, co dzieje się w kraju. Wiedział jednak, że coś się dzieje. Coś niedobrego. Wczoraj nad ranem usłyszał odgłosy kanonady artyleryjskiej. Po kilku godzinach wszystko umilkło, lecz niepokój jeszcze się nasilił.

Komtur podniósł się z krzesła, podszedł do okna, otworzył je na oścież i odetchnął rześkim powietrzem. Jeden z komturalnych, który akurat przechodził przez podwórko, zatrzymał się nagle.

– Piękna pogoda – powiedział z niewinnym uśmieszkiem Minimus.

– Rzeczywiście piękna. – W głosie strażnika pojawiło się zakłopotanie. Więzień nie otrzymał pozwolenia na otwieranie okna, ale uporczywie ignorował ten zakaz.

– Niech pan zamknie okno, wie pan przecież, że nie wolno...

– Daj pan spokój. – Komtur machnął ręką. – Nie myśli pan chyba, że ucieknę. Chcę tylko pooddychać świeżym powietrzem.

Strażnik rozejrzał się niepewnie na boki.

– Jak porucznik się dowie, będzie miał pan problemy.

– Ach tak? – Minimus pokiwał głową i uśmiechnął się złośliwie. – Obijecie mnie kijami czy wsadzicie do mrowiska?

– Niech pan nie żartuje – burknął komturalny. – Niech pan zamknie to okno.

– Nic z tego. Proszę poskarżyć się porucznikowi, że więzień odmawia wykonania polecenia.

– Jak pan chce. – Strażnik obrócił się na pięcie i ruszył w stronę głównego wejścia.

Franc Minimus poczuł, jak wzbiera w nim lęk. Dowódca komturalnych, młody porucznik Heinz, miał spojrzenie sadysty. Minimus wiedział, że tylko rozkazy powstrzymują porucznika przed folgowaniem swoim skłonnościom. Ta jedna rzecz była pocieszająca. Skoro zachowali go przy życiu i dobrze traktowali, to może jeszcze kiedyś opuści ten przeklęty las.

Heinz pojawił się nagle. Wyszedł na podwórko i szybkim krokiem podszedł do okna. Jego widok sprawił, że komtur mimowolnie cofnął się w głąb pokoju. Nie znosił serdecznie brutalnej siły, której tamten był ucieleśnieniem. Starając się nadać swojej twarzy wyraz powagi, zamierzał właśnie dać godny odpór napaści i obelgom, gdy dostrzegł ze zdziwieniem, że porucznik stoi przed nim na baczność. Co się dzieje? Minimus zamrugał niepewnie.

– Jest pismo dla pana – odezwał się dowódca straży tonem, jakim podwładny zwraca się do zwierzchnika.

– Od kogo? – spytał ostro Minimus.

– Niech pan przeczyta. – Heinz podał komturowi białą kopertę i szybkim ruchem przywołał swoich ludzi. Stanęli przy nim, cała dziesiątka, wyprężeni na baczność. Idealni wręcz żołnierze. A jednak we wzroku każdego z nich czaiło się coś dziwnego, coś, czego Minimus nie umiał określić, ale jednego był pewien, to zapowiadało zmiany.

Zerknął na kopertę. Jego czoło przecięła głęboka bruzda.

– Od Mistrza? – mruknął zaskoczony. – Czegóż on ode mnie chce?

Otworzył szybko kopertę i zaczął czytać.

„Drogi panie, zdaję sobie sprawę, jak wielkie zaskoczenie wywrze na panu ten list, lecz zaszyły pewne okoliczności, które zmuszają mnie do jego napisania. Podjęta przez nas próba

wyswobodzenia Zakonu zakończyła się niepowodzeniem. Pewnie i tak dowie się pan o przebiegu zdarzeń, więc nie będę się nad tym rozwodził. To, co zrobiliśmy, oceni historia. Piszę do pana, bo wiem, że mimo dzielących nas różnic, pan również ponad wszystko przedkłada dobro naszej ojczyzny. Nie będę ukrywał, że sytuacja jest tragiczna. Wojska Rzeczypospolitej okupują ziemie Zakonu i tylko pan może uratować kraj przed inkorporacją. Wiem, jak trudne zadanie pana czeka. Cóż mogę więcej powiedzieć? Chyba nic. Z poważaniem, Konrad von Elster”.

Franc Minimus podniósł wzrok znad listu i zmierzył komturalnych przenikliwym wzrokiem.

- Czy sytuacja jest aż tak zła? – spytał z wymuszonym spokojem.
- Chcą z nas zrobić dwudzieste dziewiąte województwo – odparł niechętnie porucznik. Komtur zacisnął usta i spojrzał na zegarek.
- Przygotujcie samochód – rzucił energicznie. – Za pięć minut wyruszamy do stolicy.

Rozdział 28

Ortelsburg

25 maja 1957 roku

Na rynku w Ortelsburgu panował gwar jak w dzień targowy. Zniknęły już barykady, lecz widok wielu uzbrojonych ludzi świadczył, że wojna tak naprawdę jeszcze się nie skończyła. Ulice miasta patrolowała powołana poprzedniej nocy policja pruska, a na przedmieściach trwała pospieszna koncentracja wszystkich sił, jakie zdołały zebrać klany Kaunigasów, Trokajłów i Waldiusów. Nad ranem, około godziny piątej, nowa stolica Prus zaatakowana została przez niedobitki armii krzyżackiej. Liczący kilkuset żołnierzy oddział wdarł się niemal do centrum miasta, powstrzymywany z trudem przez słabo uzbrojonych Bojów. Z północy i wchodu dochodziły informacje o ciężkich walkach toczonych przez klany z okolicy Wielkich Jezior z krzyżackim pospolitym ruszeniem, które na wieść o powstaniu państwa pruskiego natychmiast chwyciło za broń. W Aris, Lizen* i Sensburgu doszło do walk ulicznych, w których śmierć poniosło niemal dwa tysiące ludzi. Wojska Rzeczypospolitej dopiero kilka godzin temu otrzymały rozkaz rozdzielenia zwaśnionych stron. Oddziały Drugiej Armii Litewskiej opuszczały w pośpiechu Königsberg, kierując się na południe. Mimo ciągle niepewnej sytuacji, w Sensburgu trwały gorączkowe przygotowania do zaprzysiężenia pierwszego w historii Kanclerza pruskiego. Pięciu przemytników, stojąc na piętrze ratusza, obserwowało z zaciekawieniem przygotowania do uroczystości.

– Która godzina? – Otto zerknął niecierpliwie na Mateusza. – Mówiłeś, że Witold przyjmie cię o pierwszej, a jest już wpół do drugiej.

– Myślisz, że on ma teraz czas na takie pierdoły jak gadanie z nami? – burknął Sołtys. – Mówię wam, że zapomniał o nas.

– Dajże spokój. – Dymitr machnął ręką i uśmiechnął się powściągliwie. – Przyjdzie właściwy czas, to nas wezwie.

– Drugi dzień już mija... – zaczął Otto, lecz na widok groźnego spojrzenia Mateusza zamilkł zaraz.

* niem. Giżycko

Na chwilę zapadła cisza.

– Wiecie co, tak się zastanawiam, czy mimo wszystko powinniśmy się ujawniać – odezwał się nagle Kuna. – Myślicie, że nie zamkną nas, jak wrócimy do domu?

– Co ty pieprzysz?! – Sołtys wyjął z kieszeni wczorajszą „Gazetę Wileńską”, gdzie na pierwszej stronie widniały zdjęcia całej piątki. – Jesteśmy bohaterami! Obiecali nam przecież amnestie.

Przemytnicy, po raz nie wiadomo który, zaczęli przyglądać się zdjęciom.

– Ty, Kuna, wyglądasz, jakbyś był pijany – powiedział złośliwie Sołtys.

– Spójrz lepiej na siebie – burknął góral.

Zdjęcia Sołtysa i Kuny pochodziły z akt policyjnych. Wyretuszowano je starannie, lecz ostrzyżone na zero głowy świadczyły o niechlubnej przeszłości dwójki przyjaciół. Wydrukowany jednak wielkim literami nagłówek „Bohaterowie z Novego Sadu” i treść artykułów opisujących ich barwne życie świadczył dobitnie, że przemytnicy stali się narodowymi bohaterami.

– O tobie napisali, żeś ryzykował życiem. – Kuna spojrzał na Mateusza i wzruszył ramionami. – Przecież myśmy wszyscy ryzykowali...

– Nie wspomnieli nic o moim obywatelstwie – odezwał się z obawą Brandenburczyk. – Myślicie, że zapomnieli? Nie będą chyba czynić przeszkód...

– Zaraz jak wrócimy, złożysz podanie – pocieszył go Dymitr. – Jak będą ci robić problemy, zawołamy kogoś z pismaków i tyle. W końcu gdyby nie ty, nic byśmy nie wiedzieli o tych bombach.

– Tak myślisz? – spytał z nadzieją Otto.

– Pewnie – potwierdził Dymitr. – Zasłużyłeś na obywatelstwo jak mało kto.

Drzwi gabinetu byłego burmistrza otworzyły się z impetem. Na korytarz wybiegł Kostas, trzymając przewieszony przez ramię zwój materiału.

– Tu jesteście! – zawołał radośnie.

– A ty co? Zostałeś krawcem? – zakpił Sołtys.

– Zobaczcie. – Młodzian przewiesił przez poręcz zszyte razem dwa kawałki czerwonej i zielonej materii.

– Co o tym myślicie? – spojrzał na przemytników wyczekująco.

– Co to jest? – spytał niepewnie grubas.

– Nasza nowa flaga – odparł z przejęciem w głosie Kostas. – Czerwień oznacza krew, zieleń nadzieję. Sam to wymyśliłem.

– Może być. – Kuna skinął łaskawie głową. – Tylko na twoim miejscu dałbym odwrotnie. Zielone u góry, a czerwone na dole. Będzie chyba lepiej wyglądało.

– Tak uważasz? – Chłopak przyglądał się fladze z namysłem. – Może masz rację. Muszę zapytać Witolda. Ach tak, zapomniałbym. Witold czeka na ciebie, Mateuszu. Idź do niego. – Prus zwinął flagę i zbiegł pędem na dół.

Mateusz, nie zwracając uwagi na resztę kamratów, ruszył w stronę gabinetu.

– Ciekawe, o czym będą rozmawiać. – Brandenburczyk kręcił się niespokojnie, zerkając co chwila ku drzwiom. – Witold to fajny chłop, chyba wynagrodzi nas jakoś za poświęcenie...

– Na miłość boską, nie potrafisz mówić o niczym innym jak tylko o pieniądzach? – spytał Dymitr.

– Trelemorele! – Otto wzruszył ramionami. – Wojna się skończyła i czas pomyśleć o przyszłości. Każdy z was zastanawia się, co dalej. Nie mam może racji?

– Zaraz wszystko będzie wiadomo. – Dymitr zapalił papierosa, otworzył szerzej okno i przysiadł na parapecie. – Zaraz wszystkiego się dowiemy.

Czekali kwadrans. Nikt się nie odzywał, każdy z nich snuł w myślach własny scenariusz rozmowy, która odbywała się właśnie za zamkniętymi drzwiami. Wreszcie Mateusz zszedł wolno po schodach i zatrzymał się przy oknie.

– I co? – spytał niecierpliwie Otto. – Co powiedział?

Na twarzy przemysłowca błąkał się tajemniczy uśmiech.

– Sami zobaczcie. – Podał Dymitrowi złożoną na pół kartkę papieru.

– Pokaż, co tam jest napisane? – Otto omal nie wyrwał dokumentu.

– Poczekaj – zgromił go Kuna. – Podrzesz jeszcze.

– Niewiarygodne! – Dymitr podniósł zdumiony wzrok znad kartki. – Czy to możliwe?

– Widzisz przecież – odparł spokojnie Mateusz.

– Pokaż mi to wreszcie! – Brandenburczyk odebrał dokument i począł czytać go zachłannie. – Jezu najśłodszy, ale numer! – Podskoczył z radości. – Mamy wyłączność na uzbrojenie pruskiej armii!

– Że co? – Zdumiony Sołtys przechwycił kartkę. Zaczął czytać, a w miarę czytania na jego twarzy pojawiał się rumieniec. – Nieprawdopodobne! Jak tego dokonałeś?!

– Nie ja, a Witold. Sam zaproponował. – Mateusz uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Panowie, koniec z przemytem! Za kilka dni otwieramy firmę i zaczynamy działać legalnie! Będziemy mieli co robić. Pruska armia liczyć ma pięć tysięcy żołnierzy! Rozumiecie, co to znaczy?!

– Skąd weźmiemy pieniądze? – spytał niepewnie Kuna.

– Myślisz, że nie dadzą nam kredytu? – Sołtys pomachał dokumentem. – Bankierzy stać będą w kolejce!

– Panowie! Kocham was! – Otto objął Kunę i mimo protestów ucałował w oba policzki. – Koniec z łażeniem po lasach! Urządzimy biuro w Poznaniu albo w Warszawie! To się jeszcze zobaczy! Mój Boże! Za rok będziemy milionerami!

– Wystarczy – uciął te marzenia Boryna i rozejrzał się po korytarzu. – Będzie czas na świętowanie, teraz musimy jednak zająć się interesami. Ja pójdę pogadać z Walochą. Jako dowódca pruskiej armii, on teraz zajmuje się zamówieniami. Wy zaś zejdziecie na dół i

zaczekacie, aż rozpocznie się uroczystość. Macie stać w pierwszym szeregu, zaraz przy podium. Będzie dużo reporterów i kronika filmowa. Chcę, żeby było nas widać.

– Będą nas filmować? – Otto spojrzał krytycznie na swój kaftan. – Powinniśmy chyba się przebrać. Nie wypada występować w łachmanach.

– Dobry pomysł. – Mateusz skinął głową. – Przebierzcie się, a potem na dół. Pamiętajcie, żeby godnie się pokazać.

– Jasne! – wykrzyknął Otto. – Już czuję się jak milioner!

Rozdział 29

Jalta. Biały Pałac
26 maja 1957 roku

Franc Minimus, nowo mianowany Mistrz Zakonu Krzyżackiego przechadzał się nerwowo pustym korytarzem, łączącym wschodnie skrzydło pałacu z ogrodem. Panowała cisza. Odgłos jego kroków niósł się echem po marmurowej posadzce. Wskazówki wielkiego zegara zawieszzonego nad wejściem do Błękitnej Sali, w której obradowali Rzeplenci, wskazywały godzinę trzecią po południu.

Nowy Mistrz westchnął ciężko. Czekał już niemal dwie godziny, lecz jak do tej pory nikt nie okazywał najmniejszego zainteresowania jego osobą. Jedynym znakiem, że wiedzą o jego obecności, było wystawione na korytarz krzesło. Godzinę temu przyniósł je jeden z agentów. Czyżby w ten sposób chcieli go jeszcze bardziej upokorzyć? Czy to w ogóle było możliwe? Czuł się i tak wystarczająco podle. On, głowa państwa, czekał pod drzwiami, aż łaskawie go wezwą. Mimo że postanowił tego nie robić, usiadł wreszcie. Dwie godziny oczekiwania zmęczyły go bardzo. Położył na kolanach teczkę i rozprostował z ulgą nogi. Zza drzwi Błękitnej Sali dobiegł nagle czyjś podniesiony głos. Przez twarz Minimusa przemknął cień niepokoju. Czyżby kłócili się? Czy to dobry, czy zły znak? Otarł spocone czoło i zamyślił się głęboko. Od kilku dni jego mózg pracował usilnie, by ratować Zakon przez inkorporację. Nie spał prawie wcale, podróżując bez chwili przerwy po całej Rzeczypospolitej. Szukał rozpaczliwie sojuszników, lecz większość tych wysiłków spełzła na niczym. Jego poprzednik obudził gniew potężnego ciemżyciela. Niewielu było takich, którzy pragnęli utrzymania autonomii Zakonu. Wprawdzie kilku wpływowych ludzi obiecało wstawić się za nim, ale nie liczył na nich zbyt wiele. Jakby Zakon spotkało mało nieszczęść, jeszcze ci przekłęci Prusowie opanowali kilkanaście powiatów, niemal dwie komturie i poczęli pospiesznie wprowadzać tam własną administrację.

Na myśl o tym zacisnął bezwiednie dłonie w pięści. To właśnie Prusowie zdobyli bomby, istniała więc realna groźba, że Rzeczpospolita poprze ich dążenia zmierzające do stworzenia własnego państwa. Umysł Mistrza pracował gorączkowo. Wiedział, że musi uczynić

wszystko, by zapobiec powstaniu państwa pruskiego. Jak jednak to zrobić? Nie miał, niestety, niczego, co mógłby oddać Rzeplitom w zamian za zachowanie stanu poprzedniego. Rzeczpospolita przejęła bomby atomowe i zdobyła pełny dostęp do technologii. Jego poprzednik pragnął uwolnić Zakon od tyranii, lecz okrutny kaprys losu sprawił, że tylko ją umocnił. To właśnie dzięki bombom atomowym Turcja zapowiedziała przekazanie Rumunii kilku nadgranicznych powiatów, o które toczył się wielowiekowy spór, a Hamburg wahał się, czy nie odesłać spiskowców. To właśnie dzięki nowej broni Rzeczpospolita uzyskała atut nie do pobicia, ważący argument w każdej dyskusji. Dzięki Zakonowi zyskali władzę, o której mogli tylko marzyć. Może powinien im o tym przypomnieć? Uśmiechnął się gorzko. Pokonani nie mogą liczyć na litość.

Drzwi gabinetu otworzyły się nagle. Jeden z agentów ochrony przywołał go ruchem ręki.

– Jest pan proszony.

Franc Minimus podniósł się z krzesła i wolnym krokiem wszedł do niewielkiej sali. Za długim stołem siedziało kilkunastu ludzi. Podkanclerzy Aleksander Mazur zajmował miejsce obok Chmielnickiego, który rozmawiał cicho z siedzącym po jego prawicy księciem Adamem Radziwiłłem. Mistrz zmierzył ich uważnym spojrzeniem. Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. Była tu niemal cała Wielka Rada*. Wszyscy, nie wyłączając Kanclerza, należeli do Frakcji Zielonej – konserwatywnej części Stronnictwa Herbowych. Wszyscy byli potomkami ludzi, którzy w 1902 roku, gdy zapadała haniebna decyzja o przyłączeniu Memla do Rzeczypospolitej, bez chwili wahania wydali rozkaz zbrojnego opanowania miasta. Mistrz zbyt dobrze znał układ sił w Stronnictwie, by zachować nadzieję na łagodny wyrok. Skoro w tej sali nie było nikogo z Frakcji Białej, los jego kraju malował się w coraz czarniejszych barwach.

– Witam panów – odezwał się spokojnym, wyważonym tonem.

– Niech pan usiądzie. – Mazur wskazał na fotel.

Mistrz zajął miejsce i zamarł w oczekiwaniu.

– Panie Minimus, domyśla się pan pewnie, że wezwaliśmy pana, aby zakomunikować naszą wolę dotyczącą dalszych losów protektoratu. – Głos Kanclerza był oschły.

Mistrz z trudem przełknął ślinę.

– Żywię głęboką nadzieję, że wasza decyzja będzie wyważona i nie podyktowana emocjami. W piśmie, które przesłałem w dniu wczorajszym, starałem się wyjaśnić, w jaki sposób doszło do pożałowania godnych wydarzeń, które naruszyły panującą pomiędzy naszymi krajami przyjaźń. Chciałbym zwrócić uwagę, że naród nasz nie może ponosić odpowiedzialności za kilku szaleńców...

– Czytałem pańskie pismo – przerwał mu ostro Chmielnicki. – Wiem doskonale, że w spisku brała udział ograniczona liczba ludzi. Nie zamierzam karać całego narodu za haniebny

* Rząd Rzeczypospolitej

postępek pana Konrada von Elstera. Z drugiej jednak strony nie uczyniono wiele, żeby ich powstrzymać. Działali swobodnie, wspierani przez ludzi, do których mieliśmy zaufanie.

– Jest prawdą, że spiskowcy zaskoczyli nas wszystkich. – Mistrz zaakcentował ostatnie słowo. – Ja i moi towarzysze nie mieliśmy pojęcia o ich zamierzeniach. Większość z nas została uwięziona. Teraz jednak wszystko wraca już do normy. Pragnę pana poinformować, że na początek lipca wyznaczono termin przyspieszonych wyborów, które wyłonią nowych komturów. Ze swojej strony dodam, że jako nowy Mistrz Zakonu dołożę wszelkich starań, aby ludzie ci byli odpowiednio dobrani...

– O to akurat jestem spokojny – odezwał się Mazur. – Sami tego dopilnujemy.

– Rozumiem więc, że wojska Rzeczypospolitej przez jakiś czas stacjonować będą na terenie Zakonu? – spytał z pozornym spokojem Minimus.

– Co najmniej przez rok – odparł Kanclerz. – Zaostrzona zostanie również kontrola wszystkich urzędów, podwoimy liczbę delegatur, służby komturalne zostaną rozwiązane. Królewiec zaś przestanie pełnić funkcję stolicy waszego państwa. Takie właśnie podjęliśmy decyzje.

Mistrz skinął głową. Warunki były bardzo ciężkie, lecz nie padło ani jedno słowo o inkorporacji.

– Jestem wdzięczny za tak łagodne warunki...

– To jeszcze nie wszystko. – Mazur uniósł ostrzegawczo dłoń. – Pozostaje jeszcze jedna sprawa.

Minimus poczuł na grzbiecie nieprzyjemne mrowienie.

– Myśli pan zapewne o Prusach – powiedział ostrożnie. – Doszły mnie niepotwierdzone plotki, że Rzeczpospolita zamierza poprzeć klany pruskie, które, wykorzystując sytuację, dążą do utworzenia na terenie Zakonu osobnego państwa. Mam nadzieję, że to nieprawda.

– Niestety, drogi panie – Kanclerz zmierzył Krzyżaka chłodnym spojrzeniem – muszę pana rozczarować. Prusowie okazali się wiernymi sojusznikami Rzeczypospolitej i byłoby z naszej strony wielką niegodziwością odebrać im to, co sami sobie wywalczyli.

– Państwo pruskie naruszy równowagę na północy! – zaprotestował gwałtownie Mistrz, podnosząc się z fotela. – Zgoda na powstanie ich państwa stanie się zarzewiem nowych konfliktów! Nigdy nie zgodzimy się na jego istnienie!

– Proszę nie podnosić głosu – powiedział ze złością Chmielnicki. – Nie przybył pan tu, aby dyktować nam warunki.

– Przepraszam. – Minimus opanował się szybko. – Czy mógłbym poznać przebieg przyszłej... granicy?

– Proszę. – Zamojski przesunął w stronę Minimusa leżącą z boku mapę.

Mistrz nabrał głęboko powietrza i zerknął na rozłożony przed nim papier. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Spojrzał na Chmielnickiego wzrokiem przepełnionym rozpaczą.

- Mój naród na to nie zasłużył. Odbieracie nam niemal połowę państwa.
- Zostanie wam przecież druga połowa – stwierdził spokojnie Mazur.
- Ten podział nie ma nic wspólnego z rzeczywistym rozmieszczeniem pruskiej ludności.
- Mistrz przesunął drżącą ręką po mapie. – Olsztyn? Ełk? W tych miastach mieszka zaledwie garstka Prusów!

Chmielnicki pochylił się w stronę Mazura. Zapytał o coś szeptem, Podkanclerzy wzruszył ramionami. Kanclerz bez słowa ujął mapę i przyglądał się jej przez chwilę.

- Janie, bądź łaskaw – przywołał ministra spraw zagranicznych.

Trzech dostojników pochyliło się nad papierową płachtą. Mistrz ze wszystkich sił starał się uchwycić strzępki cichej rozmowy.

- Nie wiem, dostałem ją dziś rano! – Usłyszał oburzony głos Podkanclerzego.

- Ciszej! – Chmielnicki spojrzał szybko na Krzyżaka.

Mistrz opuścił głowę, wbijając wzrok w blat stołu. Co tu się dzieje?

– Panie Minimus, zaszło rzeczywiście nieporozumienie... – Mazur wydawał się być zakłopotany.

- Nieporozumienie? – Krzyżak był wyraźnie zdezorientowany. – Jak mam *to* rozumieć?

– Wszystko jest w porządku. – Chmielnicki spiorunował Mazura wzrokiem. – Przychyłamy się po prostu do pańskich sugestii. Niech pan uzna to za przejaw naszej dobrej woli.

Założył okulary i pochylił się nad mapą.

- Które to miasta?

Mistrz pojął nagle sens tego, co właśnie się wydarzyło.

- Mówiłem o Olsztynie i Ełku, ale rzecz dotyczy również Ostródy – powiedział szybko.

- Gdzie to jest? – Chmielnicki wodził wzrokiem po mapie.

- Tutaj. – Radziwiłł wskazał na niewielkie miasto leżące przy granicy z Rzeczpospolitą.

- Już widzę. – Kanclerz sięgnął po pióro i powolnym ruchem począł kreślić nową linię.

Mistrz spoglądał na jego rękę jak zahipnotyzowany. Gdyby tylko potrafił oddziaływać na wolę drugiego człowieka...

Chmielnicki zamknął pióro i przesunął mapę w stronę Krzyżaka.

- Oto ostateczna wersja. Nie będzie ona podlegać już dalszym zmianom.

- Oczywiście, rozumiem.

Nowa granica wyglądała dziwnie. Namalowana drżącą ręką przypominała szlaczek, lecz pozostawiała po krzyżackiej stronie najważniejsze miasta. Zamiast czterech, Zakon tracił dwie komturie.

– To wszystko, panie Minimus – odezwał się Chmielnicki tonem, który wykluczał dalsze dyskusje. – Proszę teraz wracać do siebie i zająć się sprawami swojego kraju.

Mistrz podniósł się z miejsca, skłonił się nisko i opuścił salę. Gdy stanął na korytarzu, poczuł, jakby opuściły go wszystkie siły. W głowie czuł zamęt. Czy to, co uzyskał, było

wszystkim, co można było uzyskać? Kilka powiatów uratowanych, to już coś. O reszcie wolał w tej chwili nie myśleć. Przełożył teczkę z ręki do ręki i ruszył wolnym krokiem w stronę wyjścia. Gdy dotarł do schodów, dostrzegł trójkę ludzi idących w jego stronę. Zatrzymał się gwałtownie. Z naprzeciwka, w towarzystwie dwóch agentów ochrony, nadchodził człowiek, którego postać wydała mu się znajoma. Tak, to na pewno Witold Kaunigas, Kanclerz Prus. Szedł szybko, trzymając w ręku teczkę bardzo podobną do jego własnej. Minimus poczuł w gardle suchość. Rozejrzał się bezradnie na boki. Nie mógł nigdzie skręcić, musiał przejść obok Prusa. Witold Kaunigas również rozpoznał nowego Mistrza. Zmierzył swojego przeciwnika chłodnym spojrzeniem.

– Dzień dobry – powiedział po polsku.

Minimus zacisnął usta. Chwycił mocno teczkę i bez słowa ruszył do wyjścia.

Rozdział 30

Megapolis

26 maja 1957 roku

We wnętrzu wielkiego halowca sieci „Sowa” należącej do jednego z najbogatszych ludzi Europy, Dymitra Sowy, panował trudny do zniesienia hałas. Dziś sobota, więc jak co tydzień zaczynały się liczne wyprzedaże, które ściągały tłumy mieszkańców Młyńca. Okna wystawowe halowca, rozbite w zamieszkach, jakie wybuchły na wieść o możliwości eksplozji bomby atomowej, zastąpiono już nowymi. Zdecydowana akcja policji i wojska szybko przywróciła porządek zarówno w Młyńcu, jak i w całym Megapolis. Ludzie pędzili na wyprzedaż, jakby obniżka cen była gwarantem powrotu do normalnego życia. Nikt nie chciał pamiętać o zamieszkach.

Sierżant Freitag i Gruby, pchając przed sobą metalowy kosz, przeciskali się z trudem przez wrzeszczący tłum Turczynek, które skupione wokół stoiska z naczyniami, wydzierały sobie z rąk tandetne rondle po dwa moresy za zestaw. Komandosi minęli dział przemysłowy i wkroczyli do działu spożywczego. Natychmiast ogarnęła ich intensywna woń czosnku i ziół. Na olbrzymich stoiskach, zajmujących centralną część halowca sprzedawano baraninę kupowaną chętnie przez muzułmańskich mieszkańców Młyńca. Freitag zatrzymał się przed jednym ze stoisk i obrzucił nieufnym spojrzeniem wyłożony towar. Halowce „Sowa”, lokowane w najbiedniejszych dzielnicach, słynęły z fatalnej jakości oferowanych produktów. Sprzedawano tutaj towar najniższej jakości, którego próżno by szukać w „Odessie” czy „Klimczuku”.

Sierżant popchnął wózek i ruszył w stronę regałów z konserwami. Obrzucił niechętnym spojrzeniem stopy puszek, których zawartość nie miała wiele wspólnego z opisem na etykietach.

– Znowu to samo – mruknął ze złością. – Co dziś bierzemy?

– Czy ja wiem? – Gruby rozejrzał się po regałach z wyraźnym obrzydzeniem. – Weźmy pasztety, to jedyna rzecz, którą można zjeść bez ryzyka zatrucia.

– Przeklęty chlew! – Freitag skierował wzrok na kilku rosyjskich chłopów, którzy, stojąc nieco dalej, pakowali do kosza najtańsze puszki „Złota Rybka” po dwadzieścia dziewięć groszy za sztukę. – Od dwóch dni mam rozwolnienie! To od tego gówna co tu sprzedają!

– Weźmy pasztety i wracajmy. – Gruby wrzucił do koszyka kilka puszek.

Kupili jeszcze trzy bochenki chleba i poszli do kasy.

– Ja zapłacę, pan niech odstawi wózek – zaproponował uprzejmie Gruby.

Freitag skinął twierdząco głową i pchnął wózek w stronę wyjścia. Chwilę przeciskał się między Turkami i Rosjanami, z których niemal każdy niósł kilka wyładowanych siatek. Wreszcie rozejrzał się po pustym placu. Gruby stał przed pojemnikiem z gazetami i wpatrywał się w tytułową stronę „Życia Młyńca”.

– Co jest?

– Niech pan potrzyma. – Komandos wcisnął sierżantowi w ramiona szarą torbę z zakupami, wyjął z kieszeni dziesięć groszy, wrzucił monetę do pojemnika i sięgnął po gazetę. Niemal całą stronę zajmował artykuł poświęcony wczorajszym zamieszkom. Na kilku zdjęciach widniały płonące budynki, jedno przedstawiało bitwę policji z tłumem w okolicy Starej Cerkwi położonej dwie przecznice dalej.

– No i co? – Freitag wzruszył ramionami.

– Niech pan spojrzysz tutaj! – Gruby wskazał na niewielkie zdjęcie umieszczone u dołu strony.

Sierżant wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym wyszarpnął gazetę z rąk komandosa, niemalże upuszczając przy tym torbę. Na jego twarzy pojawiła się wściekłość.

– Przecież to Ortelsburg! To mój Ortelsburg!

– Teraz to już nowa stolica Prus.

Freitag odstawił torbę i przebiegł wzrokiem treść krótkiego artykułu.

– Zabierają nam dwie komturie – powiedział z niedowierzaniem.

– Moja wioska leży teraz w Prusach! – Gruby zacisnął dłonie w pięści i zaśmiał się szyderczo. – Jesteśmy teraz Prusami!

– Tak więc to ma wyglądać... – Sierżant cisnął gazetę do kosza. – Idziemy – rzucił krótko.

– Co pan zamierza? – Do Grubego dopiero teraz dotarło, że sierżant nie zachowuje się zupełnie normalnie.

– Zobaczysz. – Freitag odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę ulicy.

Komandos zabrał torbę z zakupami i podążył za nim.

Stara fabryka mydła leżała nieopodal halowca. Gdy dotarli na miejsce, sierżant otworzył bramę i wśliznął się na wewnętrzny dziedziniec. Gruby spoglądał na niego z rosnącym niepokojem.

– Sierżancie, nie zamierza pan chyba...

– To właśnie zamierzam zrobić. – Freitag otworzył drzwi ciężarówki. – Pomożesz mi?

– Tak nie można, nie było rozkazu...

– Mam to w dupie! – wybuchnął Freitag. – Te świny z mojego miasta zrobiły pruską stolicę! Odpłacę skurwysynom tą samą monetą!

– Freitag, cofnij się! – Rozległ się nagle zdecydowany głos. – Jeśli dotkniesz bomby, zastrzelę cię.

Major Gruber, z pistoletem wycelowanym w sierżanta, stanął pośrodku dziedzińca.

– Cofnij się, drugi raz nie powtórzę.

Freitag odwrócił się w stronę dowódcy. Na bladej twarzy perlily się kropelki potu, w oczach miał szaleństwo.

– Uczynili z mojego miasta swoją stolicę... – niemalże zaskomlał.

– Dość tego, sierzancie! Jesteś żołnierzem, zachowuj się jak żołnierz!

Reszta komandosów wyległa na dziedziniec. Stali teraz, spoglądając w napięciu na rozgrywającą się scenę.

– Nie żartuję. – Gruber nie spuszczał wzroku z sierżanta. – Naprawdę cię zastrzelę.

Freitag cofnął się wreszcie. Odszedł od ciężarówki, przysiadł na stercie skrzynek i objął głowę rękoma. Major schował pistolet i powiódł wzrokiem po twarzach reszty swoich podwładnych.

– Wiem, co czujecie – powiedział po chwili. – Mój majątek również znalazł się w granicach państwa pruskiego. Nie myślcie, że to, co spotkało naszą ojczyznę, przyjmuję spokojnie. Los okrutnie obszedł się z Zakonem, lecz nie wszystko stracone. Konrad von Elster, Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego, nie złożył broni! W Hamburgu tworzy się nowy, emigracyjny rząd! Godzinę temu otrzymałem rozkaz, by udać się na północ. Zamierzam ten rozkaz wykonać. Jeśli któryś z was uzna, że dalsza walka nie ma sensu, nie będę go zatrzymywał.

– Jadę z panem – odezwał się Ditrich.

– Ja też – powiedział Gruby.

– I ja – mruknął Zygfyd.

– A ty? – Gruber spojrzał na milczącego sierżanta.

– To chyba oczywiste. – Freitag podniósł się ze skrzynek i stanął przed majorem na baczność. – Jadę z panem. Przepraszam też za moje zachowanie. Poniosły mnie nerwy.

– W porządku. – Gruber uśmiechnął się nieznacznie. – Przygotujcie się do drogi. Za pół godziny opuszczamy Megapolis.

KONIEC